

ZESŁANIEC

PISMO RADY NAUKOWEJ
ZARZĄDU GŁÓWNEGO
ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
PL ISSN 1426-2126

50 2012



Leopolda Niemirowskiego

Podróż po
SYBERII WSCHODNIEJ
Путешествие по
ВОСТОЧНОЙ СИБИРИ

Леопольда Немировского



„Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przed wszystkim radosna.”

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Do Czytelników „Zesłańca”

Tradycyjnie już zwracamy się z prośbą o wspieranie „Zesłańca”, który cieszy się zainteresowaniem Czytelników. Ich opinie dodają nam sił, by pismo ukazywało się regularnie. Sił tych nam jeszcze wystarcza. Niestety brakuje pieniędzy! Często otrzymujemy z Rosji interesujące teksty, które w miarę możliwości finansowych, potrzebnych na ich przetłumaczenie, ukazują się drukiem. Ostatnio pismo zostało wsparte przez Oddziały i Koła naszego Związku oraz innych darczyńców z kraju i zagranicy. Dziękujemy im za ten wyraz troski.

Drodzy Czytelnicy!

Wydawanie „Zesłańca” to wiele czynności redakcyjnych oraz systematyczne dostarczanie go do Oddziałów naszego Związku w ilościach (± 1 egz. na 200 członków!). Niestety Oddziały zalegają z wpłatami, a przecież bieżące wpływy pokryłyby część kosztów wydawniczych. Prosimy zatem Oddziały by uporządkowały zaległości płatnicze za otrzymane egzemplarze.

„Zesłaniec” przynosi wiele ważnych informacji dotyczących historii związków polsko-syberyjskich dawnych oraz nowszych, aż po współczesność, bo ciągle przecież mieliśmy i mamy związki z Syberią gdzie od lat mieszkają nasi Rodacy. Losy i dokonania Polaków w Rosji, aż po Władywostok, Kamczatkę i Sachalin, to pasjonujący i ciągle nierozpoznany temat. Ponadto artykuły ukazujące się na łamach „Zesłańca” to także rodzaj kroniki wydarzeń Związku Sybiraków.

Informując o tym, rodzi się refleksja, że gdyby co dziesiąty Członek naszego Związku wpłacił raz w roku pięć złotych, a każde Koło pięćdziesiąt złotych, „Zesłaniec” mógłby ukazywać się jako dwumiesięcznik. Prosimy zatem Oddziały Związku Sybiraków by rozważyły możliwość wspomżenia pisma, by nie zalegały z wpłatami za przekazywane egzemplarze i zechciały skuteczniej go kolportować. Kwoty przeznaczone na ten cel prosimy wpłacać na konto:

Zarząd Główny Związku Sybiraków
PKO BP S.A. I O/Warszawa
nr 85-1020-1013-0000-0502-0149-8617

Wiesław K r a w c z y ń s k i
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

„Zesłaniec” nadal w potrzebie

Dobroczynność jest nie tylko ważna,
lecz przede wszystkim radosna.

S. Kowalski, *Księga aforyzmów*

Szanowni Państwo!

Dziękuję serdecznie za listy pełne troski o dalszą edycję „Zesłańca” oraz za przyjazne słowa podkreślające ważność historii naszych syberyjskich losów, tak by przetrwały one w dziejach Ojczyzny i pamięci Narodu. Z goryczą informuję jednak, że coraz trudniej jest ze zdobyciem dotacji na wydawanie naszego kwartalnika.

W Apelu z dnia 15 grudnia 2011 roku zwróciłem się do Prezesów Oddziałów i Kół naszego Związku o finansowe wsparcie „Zesłańca”. Do tej pory na 50 wysłanych listów otrzymaliśmy zaledwie 19 odpowiedzi informujących o przekazaniu na konto Zarządu Głównego dotacji na cele wydawnicze „Zesłańca”. Mimo skromnych efektów mojego Apelu nie zaniedbujemy dalszych starań by „Zesłaniec” istniał. Pragnę także poinformować, że wszelkie środki dotacyjne na ten cel oraz odpłatność za kwartalnik wpłacane są przez Oddziały na konto Zarządu Głównego naszego Związku.

Dziękując za ofiarowane fundusze podaję listę Oddziałów i Kół, które już odpowiedziały na Apel: Oddział w Gdańsku – 1000 zł; Oddział w Gorzowie Wielkopolskim – 300 zł; Oddział w Opolu – 300 zł; Oddział w Zielonej Górze – 270 zł; Oddział w Płocku – 260 zł; Oddział w Kaliszu – 250 zł; Oddział w Katowicach – 200 zł; Oddział w Krakowie – 250 zł; Oddział w Radomiu – 200 zł; Oddział w Tomaszowie Mazowieckim – 200 zł; Oddział w Ostrołęce – 100 zł; Oddział w Przemyślu – 100 zł; Oddział w Puławach – 100 zł; Oddział w Stargardzie Szczecińskim – 100 zł; Oddział w Siedlcach – 70 zł; Oddział w Częstochowie – 50 zł; Oddział w Krośnie – 30 zł; Koło w Ostródzie – 200 zł; Koło w Węgorzewie – 30 zł.

Nadal oczekujemy na kolejne wpłaty. Tak jak w każdym przedsięwzięciu, tak i tu, zbiorowe tylko działania pozwolą uniknąć trudności w edycji „Zesłańca”.

Szanowni Państwo! W poprzednich latach wydaliśmy cztery monotematyczne zeszyty „Zesłańca” poświęcone Matkom na zesłaniu, zesłańczym losom dzieci, gen. W. Andersowi i M. Jonkajtysowi. Teraz natomiast postanowiliśmy grudniowy numer (53/2012) naszego kwartalnika poświęcić Wigiliom i Świętom Bożego Narodzenia jakie wypadło nam przeżywać na Nieludzkiej Ziemi oraz po jej opuszczeniu wraz z Armią Polską gen. Władysława Andersa i przebywaniu w innych miejscach, które wyznaczył nam czas wojny – Indie, Persja, Afryka czy Nowa Zelandia. Proszę więc o przysyłanie krótkich wspomnień z tego zakresu oraz materiałów z tym związanych np. karty świąteczne, teksty życzeń, kolędy, wiersze, fotografie, rysunki itp.

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

Wrocław, marzec 2012 rok

Z e s ł a n i e c

PISMO RADY NAUKOWEJ ZARZĄDU GŁÓWNEGO
NR 50 ZWIĄZKU SYBIRAKÓW ROK 2012

<i>Spis treści</i>	
• Sergiusz Leończyk <i>Polonia w Minusińsku...</i>	3
• Anna Milewska-Młynik <i>Droga do Syberii...</i>	15
• Andrzej Niedziela <i>Od Klukwiennej do Harbina</i>	21
• Danuta Siwiec <i>Wołyńska lekcja historii...</i>	41
• Marzena Pleszkun <i>Sybiracy na Ziemi Kłodzkiej...</i>	47
• Zofia Wężyk-Machowska <i>Podróż do przeszłości</i>	53
RELACJE Z ZESŁANIA	
• Ryszard Glijer <i>Droga Sybiraka do wojska gen. Władysława Andersa</i>	67
KRONIKA	
• Zofia Daniszewska <i>„Klub pod Baobabem”</i>	83
• Bożena Dudzińska <i>XII Zjazd Sierot Syberii</i>	87
• <i>Jan Stanisław Tumiłowicz – Wspomnienie</i>	88
• Antoni Kuczyński <i>Zmarł nagle – wspomnienie o Krzysztofie Walczaku</i>	90
REGAŁ Z KSIĄŻKAMI	
• <i>Martin J. Bollinger, Flota Gułagu. Stalinowskie statki śmierci: transporty na Kotymę, Zakrzewo i Poznań 2010. (Zygmunt Jancewicz)</i>	91

Od redakcji

Szanowny Czytelniku! Od ilu lat jesteście z „Zesłańcem”? To nie do uwierzenia, ale już siedemnaście! Oto trafia w Twoją rękę 50-ty jego numer. Jubileuszowy. Można nawet szumnie powiedzieć „złoty numer”! Ukazuje się on, rzecz można, w trudnych warunkach, kiedy wszyscy na wszystkich oszczędzają, ograniczają dotacje, w tym także na kulturę i badania historyczne. My również doświadczamy tych trudności, i tylko z pozoru wydaje się, że ich nie mamy, bo „Zesłaniec” ukazuje się w miarę systematycznie, życzliwie wspierany od lat przez Radę Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa, Koła i Oddziały naszego Związku oraz indywidualnych Darczyńców.

Prezentowane przez nas związki polsko-syberyjskie postrzegane są na wielu płaszczyznach. Współistnieją w nich różne konteksty dotyczące tych dziejów. Przenikają się wielorakie wątki, wszakże taki był los naszych Rodaków na tej ziemi. Stałym kanonem publikacji ukazujących się na łamach „Zesłańca” jest polskie dziedzictwo naukowe, gospodarcze i cywilizacyjne za Uralem oraz problem deportacji Polaków na Syberię. Są to tematy nadal mało znane, interesujące naszych Czytelników a bywa, że nieraz nawet odkrywczycy. Taki zakres tematów pozwala na opisywanie bogatej faktografii, charakteryzowanie różnych wydarzeń z realnego życia zesłańców i ich dróg ku wolności.

Upadek komunizmu w Polsce umożliwił prowadzenie badań naukowych dotyczących tematyki polsko-syberyjskiej. Włącza się w to także kwartalnik „Zesłaniec”, jedyne w tej chwili czasopismo poświęcone wyłącznie tej problematyce. Tematyka syberyjska zaproponowana przez nasze piśmo ma zróżnicowany charakter przez co dokonuje się jej zbliżenie do różnych odbiorców z wyraźną jednak sygnaturą skierowaną ku dopełnieniu edukacji szkolnej. Jest to ważne, zwłaszcza obecnie, gdy

- E. N. Tumanik, *Józef Adamowski i stanowienie parashodstwa w Zapadnoj Sibiri...*, Nowosibirsk 2011. (Bolesław Orłowski) 92
 - *Leopolda Niemirowskiego podróż po Syberii Wschodniej*, red. J. Dobrynina, Irkuck 2010. (Anna Milewska-Młynik) 94
 - *My, Sybiracy*”, nr 22/2011 (Wiesław Krawczyński) 96
 - S. Teresa Antonietta Frącek RM, *Zesłaniec nad brzegami Wołgi...* Wrocław 2011. (Maria Ziegler) 98
- LISTY DO REDAKCJI** 99

Na okładce: Leopolda Niemirowskiego album „Podróż po Syberii Wschodniej”, Irkuck 2010 (s. 1); Uczestnicy XII Zjazdu Sierot Syberii (Karpacz, 30.VIII. – 1.IX.2011 r.), fot. archiwum, (s. 4).

Zeszyt opublikowany dzięki dotacji Rady Ochrony Pamięci Walk i Męczeństwa

Wydawca: Zarząd Główny Związku Sybiraków,
ul. Mazowiecka 12
00-048 Warszawa, tel. 22/827 93 71

Redakcja: A. Dobroński,
A. Dzienkiewicz, W. Krawczyński,
A. Kuczyński (red. nacz.), S. Sikorski,
P. Zworski
Sekretarz redakcji: M.B. Kuczyńska

Wykonawca: Skład, druk i oprawa –
QUAESTIO Przemysław Włodarczyk,
ul. Paczkowska 26; 50-503 Wrocław

Copyright nazwy „Zesłaniec”
by A. Kuczyński
Adres redakcji: ul. Bystrzycka 61/3
54-215 Wrocław, tel. 71/351 10 94

historia zaczyna być minimalizowana w programach szkół podstawowych i średnich. Zaakcentowanie, że u podstaw patriotyzmu leży znajomość dziejów ojczystych stanowi wyróżnik o podstawowym znaczeniu dla kultury i tożsamości narodowej. Często nasz Czytelnik odnajduje to w różnych fragmentach publikowanych artykułów. Patriotyzm był ważnym elementem naszego przetrwania w trudnych czasach zaborów. On też stanowił istotny składnik przemian, które doprowadziły do upadku komunizmu nad Wisłą. Polskość to historyczne dziedzictwo, klejnot narodu, to część ojczystego języka i kultury, tak jak religijność. Dzięki patriotyzmowi, językowi i religii przetrwaliśmy lata zaborów oraz inne formy zniewolenia. Uczyły nas tego nasze matki na syberyjskim zesłaniu i tułaczym szlaku.

„Zesłaniec” jest ważnym zapisem polskiego dziedzictwa naukowego i kulturowego na Syberii. Utrwała on liczne świadectwa z tego zakresu, przypomina zesłańców-badaczy, którzy obdarzali naukę interesującymi opisami kultury autochtonicznych ludów Syberii i jej rozległych przestrzeni dokonując tam odkryć geologicznych, ustaleń geograficznych oraz innych rzeczywistości przyrodniczych. Tematyka ta posiada szczególne znaczenie dla bliższego poznania związków Polski z Syberią i stanowi cenne dopełnienie zobiektywizowanych współczesnych ujęć historycznych autorstwa badaczy rosyjskich i polskich. Ponadto nasza obecność na Syberii, zwłaszcza w latach drugiej wojny światowej jest stałym źródłem refleksji historycznej, która ani na chwilę nie zatrzymuje się w drodze poprzez stały dział na łamach „Zesłańca” noszący nazwę „Relacje z zesłania.”

Dziękujemy wszystkim, którzy przyczyniają się do istnienia „Zesłańca”, zwłaszcza Autorom i Darczyńcom, bez pomocy których trudno wyobrazić sobie nasze trwanie już 17 lat. Dziękujemy też za wszechobecne wspieranie nas przez Czytelników, których listy sprowadzić można do refleksji, że „Zesłaniec” jest potrzebny!

Wiesław Krawczyński
Przewodniczący Rady Naukowej
Zarządu Głównego Związku Sybiraków

SERGIUSZ LEOŃCZYK

POLONIA W MINUSIŃSKU – WCZORAJ I DZIŚ

W guberni jenijskiej miastami z liczną polską diasporą były, oprócz Krasnojarska, Kańsk i Minusińsk. Polscy zesłańcy mieszkający pod koniec XIX wieku w Minusińsku oraz powiecie minusińskim rejony te nazywali „rajem Sybiru”, bo było tam „ciepło, dobre plony, spławne rzeki.”¹ Maria Wojciechowska-Korzeniowska tak wspominała Minusińsk owych czasów:

O ile pamiętam Minusińsk liczył może 14 000 mieszkańców. Miasto przeważnie o budynkach drewnianych, tylko parę domów kupców minusińskich było murowanych, jak również murowane były cerkwie, Muzeum Minusińskiego kraju i przytułek dla starców. Miasto położone jest przy samym brzegu „Protoki” (miasto leży na wyspie na Jenisieju). W głąb lądu miało 5-6 ulic ciągnących się równoległe do pierwszej „Nabereżnej” (przybrzeżnej) i parę ulic poprzecznych. Ulice bruku nie miały, chodniki były przeważnie na głównej ulicy i tylko przy tych domach, gdzie właściciele sami to zrobili (chodniki z płaskich płyt wyrąbywanych z okolicznych gór, koloru zielono-szarego). Ale ponieważ gleba była dość piaszczysta, nie pamiętam, abyśmy tonęliśmy w błocie. Przeważnie każdy dom miał gospodarcze zabudowania, bo mieszczanie trzymali krowy, konie i inne domowe zwierzęta oraz drób. Życie toczyło się spokojnie, bez pośpiechu, ruch w mieście był nieduży, tylko w dni targowe zjeżdżały się okoliczne wsie na targ. Ponieważ były 3 place targowe, to we wtorek, piątek i sobotę kolejno na tych placach można było kupić wszystko. Najlicniejszy targ był zwykle w sobotę na tym placu, gdzie stał dom, w którym myśmy mieszkali, ale najatrakcyjniejsze były jarmarki doroczne Minusińskie. Zjeżdżało się moc ludzi i z bliska, i z daleka, włościanie i kupcy. Licznie też przyjeżdżali Tatarzy² z ułusów (osiedli) rozrzuconych po Stepie Abakańskim, w swoich regionalnych strojach, w baranich futrach skrojonych na ich modą: były to futra czarne lub białe z przodu długości normalnej, a z tyłu miały półokrągły niby tren obramowany futrem lub ozdobiony haftem. Na nogach mieli swego wyrobu miękkie skórzane obuwie ściągnięte przy kolanie rzemykiem, na głowach futrzane czapki. Tatarki ubrane tak samo z masą warkoczyków z obydwóch stron głowy.³

Istotnie tak było, bowiem Minusińsk jakkolwiek był maleńkim miastem odgrywał jednak wówczas w tym rejonie Syberii znaczącą rolę handlową i był dobrze rozwijającym się ośrodkiem kupieckim. Widać było tu problem wza-

¹ E. Kaczyńska, *Syberia największe więzienie świata (1815-1914)*, Warszawa 1991, s. 39.

² W XIX i na początku XX wieku tak nazywano przodków dzisiejszych Chakasów.

³ M. Wojciechowska-Korzeniowska, *Wspomnienia*, mps, s. 50-51, kopia w Archiwum Haliny Wojciechowskiej, cz. III.

jemnych relacji pomiędzy gospodarczym statusem a dążeniem lokalnych władz do jego rozwoju kulturalnego. Rzec też można, że miasto to stało się wówczas prawdziwą „stolicą” Polonii południowej Syberii a ośrodkiem łączącym polską społeczność w tym niewielkim kupieckim mieście było Muzeum Krajoznawcze utworzone w 1877 roku przez Mikołaja Martjanowa. Założyciel muzeum urodził się w (1844) w rodzinie strażnika leśnego służącego w guberni wileńskiej, a jego matka była Polką, która zadbała o wykształcenie syna. W 1872 roku uzyskał on dyplom prowizora, tj. tytuł zawodowy nadawany w ówczesnej Rosji pracownikom aptek po dwuletnim kursie uniwersyteckim oraz praktyce zawodowej i rozpoczął pracę w aptece w Kazaniu. Niebawem jednak rozstał się z tym miastem i wyjechał na Syberię, tam bowiem widział szersze możliwości do rozwoju swoich zainteresowań przyrodniczych. Nie znamy dzisiaj motywów osiedlenia się jego w Minusińsku, skądinąd jednak wiadomo, że to niewielkie miasteczko leżące w Kotlinie Minusińskiej miało swój specyficzny „klimat” społeczny stanowiący swoistą podniętę do wielorakich działań przyczyniających się do jego rozwoju. Tu znalazł więc M. Martjanow sprzyjające okoliczności do różnego rodzaju działań jako człowiek naznaczony ideą tworzenia rzeczy nowych. W centrum jego zainteresowań znalazła się myśl utworzenia w mieście muzeum krajoznawczego, i to nie tylko jako placówki gromadzącej różnego eksponaty, lecz również jako ośrodka kulturotwórczego integrującego jego społeczność, stanowiącego żywe źródło myśli i wiedzy o regionie oraz jego historii. Była to trafna decyzja, której sprzyjała akceptacja miejscowych władz, dodajmy akceptacja administracyjna bo na utworzenie tej placówki niemałe sumy wyasygnował sam inspirator.

Z założycielem muzeum znającym język swojej matki współpracowali mieszkający w Minusińsku Polacy – Narcyz Wojciechowski, Władysław Korzeniowski, W. Nikitska, J. Kochanowski, Aleksander Stankiewicz, Aleksander Rzyszewski i Dominik Przygodzki. Byli oni aktywnymi współpracownikami muzeum, dostarczali do niego różne eksponaty, nieraz zasilali go jakimiś kwotami, uczestniczyli w opisywaniu i katalogowaniu zbiorów. Wacław Świącicki prowadził obserwacje meteorologiczne od sierpnia 1883 do marca 1884 roku (wyniki jego pracy opublikowane są w gazecie „Sybir”). W. Nikitska przygotowała zielniki flory południowego Jeniseju. Eugeniusz Różycki i A. Kondratowicz zorganizowali ekspedycję na ujbatski step i dostarczyli do muzeum okazy węgla kamiennego z uroczyska Czarny Jar. To wszystko potwierdza w jakimś stopniu współudział Polaków w życiu tej placówki, którym zesłańczy nieraz los nie przeszkadzał w tym by dać coś pożytecznego miastu, w którym wypadło im żyć, wpisując się przez to w jego historię, jak np. Narcyz Wojciechowski jeden z aktywniejszych współpracowników wspomnianego muzeum, wchodzący w skład jego zespołu naukowego, wielokrotnie wybierany był ławnikiem Rady Miejskiej (Dumy) w Minusińsku. Dodajmy zarazem, że jego postać utrwalona została w powieści pt. *Wzgórze błękitnego snu*, autorstwa Igora Newerlego.⁴ Nie będzie też nic z przesady jeśli przypomnimy, że oprócz przedsiębiorczości, która cechowała N. Wojciechowskiego, Człowieka cieszącego się szacunkiem władz miejskich Minusińska i całej społeczności tego miasta był on

⁴ W. Masiarz, *Prawda i fikcja literacka w powieści Igora Newerlego „Wzgórze błękitnego snu”*, „Zesłaniec” nr 4, 1999, s.100-122.

otwarty na niesienie pomocy innym. W swoich wspomnieniach powracając do różnych form działalności społecznej na Syberii napisał:

Wszystko to razem nie tylko stanowi moją moralną nagrodę za uczciwą, szereg lat dla społeczeństwa, z którym zmuszony byłem żyć, lecz niezbitym służy dowodem, że my Polacy mogliśmy w tych moskalach, w których ryczałtowo zmuszano nas widzieć wrogów, mieć życzliwych i szczerych przyjaciół, gdyby pomiędzy nami ludem Polskim i ludem Rosyjskim nie stał na straży rosyjski rząd, co z własnych interesów nie dopuszcza do wzajemnego porozumienia się narodów, a przeciwnie stale, wszelkimi środkami stara się wzbudzać wzajemną nienawiść.⁵

Kreśląc skrótowy obraz minusińskiego muzeum wspomnieć też należy, że jego twórca i dyrektor M. Martjanow przebywał w 1896 roku w Królestwie Polskim na zaproszenie kupcowej Jewdokji Kuzniecovej, gdzie zapoznał się z działalnością placówek muzealnych w Warszawie i nawiązał kontakty naukowe z polskimi uczonymi. Minusińskie Muzeum Krajoznawcze współpracowało też z botanikiem Edwardem Janczewskim z Uniwersytetu Jagiellońskiego, który opracował opis minusińskiej flory oraz z profesorem tegoż uniwersytetu, antropologiem Julianem Talko-Hryncewiczem, założycielem muzeum w Troiskosawsku na granicy Rosji z Mongolią, wybitnym badaczem ludów mongolskim na Zabajkale. Dodajmy tu zarazem, że pogłos działalności tego muzeum utworzonego i kierowanego przez M. Martjanowa rezonował dość szeroko w ówczesnej Rosji, a ichtiolog z Sankt Petersburga Nikołaj Warpachowski usystematyzował gatunki ryb i wysłał swoje opracowania do biblioteki muzeum.⁶

Biblioteka przy muzeum była jedną z pierwszych publicznych placówek tego typu na Syberii i została utworzona na początku 1878 roku. Pod koniec XIX wieku jej księgozbiór liczył już ponad 20 000 książek, obecnie zaś posiada ponad 100 000 egzemplarzy. W większości książki były darowane przez autorów, towarzystwa naukowe oraz różne prywatne osoby, a tylko znikomą część nabywano drogą zakupu. Największym księgozbiorem w języku obcym jest zbiór literatury w języku polskim. Obecnie polski księgozbiór liczy 1051 egzemplarzy, w tym 592 książki i 459 czasopism oraz gazet. Wśród ofiarodawców byli m.in.: zesłaniec polityczny Gleb Krzyżanowski, który podarował muzeum 44 książki, Wiktor Kurnatowski – 27 książek, Mikołaj Podwysocki z Jenisejska oraz przedstawiciele rodzin Wojciechowskich i Korzeniowskich, a także felczer Jan Rożański (książki oznaczone imiennym ekslibrisem).⁷ Najwięcej książek o charakterze naukowym nadsyłało do Uniwersytetu Warszawskiego i Państwowego Muzeum Zoologicznego w Warszawie. Znaczną część polskiej literatury

⁵ N. Wojciechowski, *Moje wspomnienia*, Archiwum Haliny Wojciechowskiej zdeponowane w Archiwum Zarządu Głównego Związku Sybiraków w Warszawie, obecnie przekazane w depozyt Ośrodka „Karta” w Warszawie, s. 19-20. Niech mi wolno będzie tu wyrazić opinię, że decyzja o tym depozycie pozbawiła w jakimś stopniu znaczenie naukowe Zarządu Głównego Związku Sybiraków, z którego archiwum tak skrzętnie tworzono przez śp. Janusza Przewłockiego korzystali badacze stosunków polsko-rosyjskich zajmujący się wiekiem XIX oraz zesłaniami i deportacjami do Związku Radzieckiego w okresie drugiej wojny światowej i w pierwszych latach po jej zakończeniu.

⁶ L. N. Jermołajewa, *Muzeum a Polacy*, „Rodacy” 2000, nr 3 (11), s. 7, Abakan.

⁷ Archiwum Regionalnego Muzeum Krajoznawczego im. N. M. Martjanowa w Minusińsku, zespół rękopisów, inw. 1, vol. 79, k. 24; vol. 84, k. 33.

otrzymano od Eugeniusza Sawienkowa, który w latach 1900-1907 pracował w Warszawie, a w latach 1908-1911 był dyrektorem minusińskiego muzeum. Najstarszą w księgozbiornie polskim jest książka pt. *Szachy grać przez Fieldinga*, wydana we Wrocławiu (1809). Swoje naukowe opracowania z dedykacją dla założyciela muzeum i jego wieloletniego dyrektora M. Martjanowa ofiarował wspomniany już Julian Talko-Hryncewicz. Wśród polskiej literatury znajduje się też unikatowe dzisiaj pierwsze paryskie wydania poezji Adama Mickiewicza. Przekazywane książki były wydawane przeważnie w Warszawie, Krakowie i Lwowie oraz w Sankt Petersburgu. Wśród czasopism zgromadzonych w bibliotece są: „Atheneum”, „Ziemia”, „Widnokrąg”, „Przegląd Tygodniowy”, „Życie Polskie”, „Myśl Polska” oraz wydawana w Piotrogradzie w latach 1915-1917 gazeta „Głos Polski”. Polską literaturę pozyskiwano w miarę możliwości aż do 1939 roku; zatem późniejszych wydań w języku polskim jest niewiele i dopiero od pewnego czasu po rozpadzie Związku Radzieckiego polski księgozbiór zaczyna się powiększać.⁸

Największy wkład w rozwój nowo powstałego muzeum wniósł zesłaniec polityczny z Królestwa Polskiego Feliks Kon. W pamięci minusińskich krajoznawców zapisał się on jako autor monografii tej placówki pt. *Istoriczeskij oczerk Minusinskogo miestnogo muzieja za 25 let (1877–1902)*, wydanej w Kazaniu w 1904 roku. („Studium historyczne minusińskiego miejscowego muzeum za okres 25 lat...”). Publikacja to swoiste kompendium wiedzy dotyczącej dziejów tej placówki i jej różnorodnych zbiorów, która gdy rozpoczynała swoją działalność w roku 1887 liczyła 1362 eksponaty, natomiast na początku wieku XX zbiór ten liczył już 65 000.⁹ Dużą rolę w kompletowaniu eksponatów dla muzeum przypisuje się wspomnianemu już F. Konowi, który aktywnie uczestniczył w ekspedycjach organizowanych przez tę placówkę oraz prowadził korespondencję z wieloma uczonymi z Sankt Petersburga. W Minusińsku napisał on na podstawie materiałów zebranych w Jakucji, pracę z zakresu etnografii pt. *Fizjologiczne i biologiczne dane o Jakutach*, wydaną w 1899 roku. Eseje i opowiadania F. Kona były drukowane m.in. w rosyjskich gazetach i czasopiśmie: „Wostocznoje Obozrienije” (Irkuck), „Stiepoj Kraj” (Omsk), „Sibirskaja Żyźń” (Tomsk), „Sibir” (Sankt Petersburg). W „Rosyjskim Dzienniku Antropologicznym” wyszło jego opracowanie dotyczące Kaczyńców (dzisiejszych Chakasów). W 1902 roku został wydrukowany zbiór opowiadań z życia minusińskich staroobrzędowców (Rosjanie mieszkający na Syberii od dwóch i więcej pokoleń) pt. *Skazki sibirskoj diejstwitielnosti* („Bajki o syberyjskiej rzeczywistości”). Na podstawie własnych obserwacji i materiałów archiwalnych minusińskiego muzeum F. Kon napisał opracowanie pt. *Swadiebnyje obyczaje u minusińskich starożyłow* („Obyczaje ślubne u staroobrzędowców Minusińska”). Dzięki rekomendacji dyrektora M. Martjanowa, osoby powszechnie szanowanej w środowiskach naukowych, F. Kon został wybrany na członka Wschodniosyberyjskiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego w Krasnojarsku. W latach 1902-1903 kierował on ekspedycją do Kraju Urianchajskiego (była Republika Tuwa). Wkrótce jednak okazało się, że do przekro-

⁸ S. Leończyk, *Polskij fond naucznoj biblioteki regionalnogo krajevedceskogo muzea im. N. M. Martjanowa w g. Minusinske. Polska kniga w prijenisejskom kraje. Sbornik katalogov i nauczno-informacionnych materialov*, Abakan 2008, s. 57-60.

⁹ G. Jaworskij, *N. M. Martjanow*, Krasnojarsk, 1969, s. 44.

czenia granicy nieodzowne było posiadanie paszportu ponieważ Tuwa znajdowała się wówczas poza granicą rosyjskiego imperium i F. Kon zmuszony był powrócić do Minusińska. Telegram do Petersburga wprowadził zamieszanie wśród petersburskiej elity uczonych – o ekspedycji było już wiadomo w europejskich kręgach naukowych! Dzięki staraniom Dmitrija Klemenca i wiceprzewodniczącego Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego Piotra Siemionowa Tianszańskiego badacz ten otrzymał szybko paszport i udał się do Tuwy. Ekspedycja trwała od wiosny do zimy 1902 roku i od wiosny do jesieni 1903 roku, a jej pokłosem dzięki zapobiegliwości F. Kona była unikatowa kolekcja 2300 przedmiotów związanych z życiem codziennym Tuwińców i Chakasów. Najwięcej było w niej obiektów związanych z lamaizmem i szamanizmem. Na inne eksponaty składały się narzędzia tortur oraz przedmioty związane z rolnictwem i środkami transportu Tuwińców (m.in. model łodzi „onczaga”, siodła dla koni, byków i reniferów). Szczególnie ciekawy jest zbiór sztuki tuwińskiej – przedmioty ozdobne wykonane z kamienia, drewna, kory i żelaza. W większości kolekcje te są obecnie przechowywane w rosyjskim Muzeum Etnograficznym w Sankt Petersburgu¹⁰. Kilka pochodzących z tej ekspedycji przedmiotów stanowi do dzisiaj dumę minusińskiego muzeum. Cenne są też pamiętniki pisane przez F. Kona podczas wyprawy. W czasie ekspedycji prowadził on też Tuwińcom szczepienia przeciwko ospie, bo w Tuwie nie było wówczas żadnych lekarzy. W sierpniu (1903), po zakończeniu ekspedycji, F. Kon wystąpił w Irkucku z wykładem na posiedzeniu Wschodniosyberyjskiego Oddziału Rosyjskiego Towarzystwa Geograficznego. Posiedzenie to miało charakter zamknięty, gdyż prelegent jako zesłaniec polityczny nie dostał od generała-gubernatora pozwolenia na publiczne wystąpienie¹¹. Antropologiczny wydział Towarzystwa Przyrodników w Moskwie wyróżnił go złotym medalem i prestiżową nagrodą im. Rascwietowa, co przeraziło miejscowego isprawnika – bowiem wedle jego przekonania przestępcy polityczni nie mogli i nie mieli prawa otrzymywać tego rodzaju wyróżnień! Autorytet naukowy F. Kona był jednak tak wielki, że władze uczyniły w tym przypadku odstępstwo od tej zasady – co zresztą stosowano nieraz wobec zesłańców politycznych, np. wobec B. Dybowskiego czy W. Sieroszewskiego i zezwoliły mu na wyjazd z Syberii do europejskiej części Rosji.¹²

Historia minusińskiego muzeum to nie tylko udział Polaków w różnorodnych formach jego działalności – organizatorskiej, naukowej, bibliotecznej ale również wspierali oni budowę nowego gmachu tej placówki, przekazanego jej w maju 1890 roku, w którym działa ona do dni dzisiejszych. Wielkim fundatorem budowy był zesłaniec postyczniowy Narcyz Wojciechowski. Rodzina Wojciechowskich i Korzeniowskich położyła wielkie zasługi na polu integracji polskiej społeczności w Minusińsku i na południu guberni. Maria Korzeniowska-Wojciechowska tak to wspomina:

Z opowiadań Rodziców i braci wiem, że w Minusińsku dom Rodziców był często odwiedzany przez znajomych Polaków, przeważnie zesłańców i Rosjan.

¹⁰ P. Karalkin, *Etnograficzeskije kollekciji*, „Sibirskije ogni” 1967, nr 5, s. 144.

¹¹ S. I. Wajnsztejn, *Antropologiczeskije i etnograficzeskije kollekciji*, „Sowietskaja Etnografia” 1965, nr 4, s. 123; zob. też artykuł tego autora, zatytułowany *Feliks Jakowlewicz Kon kak etnograf*, „Oczerki istorii russkoj etnografii, folkloristiki i antropologii”, t. III, Moskwa 1965, s. 196-220.

¹² Ibidem, s. 124.

Najbliżsi przyjaciele to była rodzina dr. Daniłowicza Michała.¹³ On zesłany był jako przestępca polityczny, będąc jeszcze studentem ostatniego roku Wojskowej Akademii Medycznej w Petersburgu. Dyplom dostał po latach, kiedy złożył egzaminy dyplomowe, ale jako lekarz już pracował i miał wielkie uznanie. Żona jego, przyjaciółka Mamusi po silnym rozstroju nerwowym, który przeżyła jako 16-letnia panienka, Aleksandra Emangułowicz-Daniłowicz należała do grupy rewolucjonistów. Koledzy jej i ona byli sądzeni (zdaje się za akt terrorystyczny) i skazani na powieszenie. Ona jako niepełnoletnia uniknęła śmierci i czy dostała właśnie zesłanie na Sybir – nie wiem. Zapadała czasem w chorobliwy stan, robiła się nienormalna, co później spowodowało umieszczenie jej w zakładzie, ale w tamtych czasach był to miły dom i dzieci, nasi rówieśnicy, rosły zdrowo i szczęśliwie. Dr Daniłowicz po ukończeniu zesłania, gdzie miał praktykę, nie wiem dlaczego został lekarzem więzienia, ale jak widać było mu tam ciężko. Porzucił zupełnie praktykę lekarską i przeszedł do pracy do urzędu akcyzowego i z całą rodziną przeniósł się do Astrachania. Bardzo często odwiedzał Rodziców pan Chmielewski, który mieszkał w powiecie. Bywał i pułkownik Sokołowski, którego bracia starsi (tzn. bracia Cioci) przybiegali powitać.¹⁴

W archiwum wspomnianej już Haliny Wojciechowskiej, która urodziła się w Minusińsku (1918) znajduje się sporządzona w języku rosyjskim lista Polaków odgrywających na początku XX wieku dużą rolę w życiu społecznym i kulturalnym Minusińska oraz w minusińskim powiecie. Należeli do nich:

Astaszewski G.A. – w 1910 r. członek Towarzystwa Opieki nad Edukacją Początkową; Banaszewski B.A. – w 1909-1910 r. członek Towarzystwa Opieki nad Edukacją Początkową; Bartaszewska Maria Iwanowna – w 1918 r. miała 20 lat, była krawcową; Bartoszewicz Stanisław, syn Onufrego – mieszkał we wsi Judinej w 1900-1903 r.; Brzeziński Wiktor, syn Hugona – w 1900 r. wiejski lekarz; Dolecki W.I. – zarządzający leśnictwem okręgu minusińskiego w 1910 r.; Dąbrowski Romuald, syn Henryka – kierownik szpitala m. Minusińska, lekarz miejskiej czteroklasowej szkoły w 1907-1909 r.; Griglaszewski Julian – w 1918 r. zastępca przewodniczącego Polskiego Komitetu Narodowego; Gromadzki Hipolit – szlachcic, naczelnik oddziału straży pożarnej braci Daniłowów przy aleksandrowskiej fabryce, 1909-1911 r.; Gromadzki Borys, syn Hipolita – urodzony w 1900 r., w 1918 r. uczył się w szkole realnej; Judycki Ludwik, syn Józefa – współwłaściciel części kopalni złota Narcyza Wojciechowskiego i Kompanii, mieszkał w Minusińsku nie krócej niż do 1910 r.; Jaźwiński A. – w 1918 r. zastępca przewodniczącego Polskiego Narodowego Komitetu w 1918 r.; Kotwicki P.W. – członek Towarzystwa opieki nad edukacją początkową w 1909 r.; Kraśzewski Jan, syn Józefa – inżynier cywilny, w 1898 r. wziął w dzierżawę od Narcyza Wojciechowskiego i Kompanii Sofijską i Znamieńską kopalnię złota; Kublicka A.A. – członkini Towarzystwa Opieki nad Edukacją Początkową na początku 1900 r.; Ołtarzewski Mikołaj, syn Michała – asesor kolegialny, okręgowy lekarz weterynaryjny w 1891-1906 r.; Petrożycki Wiktor, syn Dominika – asesor kolegialny, notariusz w 1906-1909 r.; Przewuski Paweł, syn Stanisława –

¹³ Michał Daniłowicz – ur. w 1853 r., student Medyczo-Chirurgicznej Akademii aresztowany i był sądzony w tzw. „procesie stu trzydziestu siedmiu” za agitację wśród robotników Warszawy. Dnia 2 kwietnia 1880 r. został skazany na zesłanie do Syberii Wschodniej. Od początku lat osiemdziesiątych mieszkał w Minusińsku i Krasnojarsku. Od 1887 r. posiadał status lekarza i w 1900 r. zatrudniony został w Krasnojarsku jako lekarz więzienny.

¹⁴ M. Wojciechowska-Korzeniowska, op. cit., s.11-12.

wiceprokurator w 1911 r.; Przymakowski N.A. – rzeczywisty członek Towarzystwa opieki nad edukacją początkową; Przelaskowski Mikołaj, syn Antoniego – radca dworski, zarządca chłopski w 1909 r., członek Towarzystwa Opieki nad Edukacją Początkową; Przygodzki Dominik, syn Wincentego – asesor kolegiálny, sekretarz okręgowej administracji w 1863-1903 r.; Przeździecki Aleksander, syn Tomasza – syn powstańca 1831 r., współwłaściciel Sofijskiej i Znamieńskiej kopalni złota Narcyza Wojciechowskiego i Kompanii; Różycki Eugeniusz, syn Ludwika – mieszkał we wsi Karatuz, inżynier górniczy w 1889-1901 r.; Rzyaszewski Adam, syn Aleksandra – hrabia, członek Francuskiego Stowarzyszenia Astronomicznego, współpracownik francuskiego czasopisma astronomicznego, zesłany do Minusińska, według słów Feliksa Kona, za szpiegostwo. Był właścicielem młyna. Udzielał pomocy muzeum i osobiście Mikołajowi Martjanowowi. Mieszkał w Minusińsku nie krócej niż do 1910 r.; Skoczyński A.M. – członek Towarzystwa Opieki nad Edukacją Początkową pod koniec XIX wieku; Staszewski Wacław, syn Józefa – sędzia pokojowy, asesor kolegiálny w 1909 r.; Wierzbicki Jan – w 1919 r. pełnomocnik Polskiego Komitetu Narodowego; Wierzbowicz N.K. – członek Towarzystwa Opieki nad Edukacją Początkową w 1910 r.; Więckowski Aleksander, syn Jana – zesłaniec polityczny, mieszkał w Minusińsku prawdopodobnie w 1897-1910 r.; Wodzicki Antoni – w 1900 r. wiejski lekarz; Żerdziński Innocenty, syn Józefa – pomocnik sekretarza okręgowego inżyniera górniczego¹⁵.

Wśród 31 nazwisk zamieszczonych w tym spisie było tylko 2 zesłańców. Nie ma też w nim bliskiego przyjaciela Wojciechowskich dr Michała Daniłowicza, również zesłańca. Natomiast inne osoby znajdujące się w tym wykazie przyjechały do Minusińska i w jego okolice dobrowolnie lub byli prawdopodobnie zesłańcami, którzy po odbyciu kary pozostali na Syberii. Ale były także wśród nich osoby urodzone na Syberii jak np. Aleksander Przeździecki, którego ojciec Tomasz (1807) pochodził z Podlasia i w okresie powstania listopadowego sprawował urząd kancelisty w Lublinie. Obwiniono go o prowadzenie korespondencji z polskimi emigrantami oraz rozpowszechnianie „przestępczych informacji” otrzymywanych z Francji, w 1833 roku został zesłany na Syberię z pozbawieniem praw stanu. Przybywał na zesłaniu w okręgu minusińskim we wsi Jermakowskoje następnie w osadzie Komskiej. W 1855 roku mieszkał w Karatuzie z żoną i dziećmi a gdy dwa lata później (1857) uzyskał zgodę na powrót do kraju na mocy manifestu koronacyjnego z 26 sierpnia 1856 roku i osiadł dobrowolnie na Syberii, gdzie pozostawał jednak pod tajnym dozorem policji. W 1865 roku mieszkał we wsi Szoszyno w powiecie minusińskim. Był żonaty i miał wówczas dwóch synów oraz trzy córki, prowadził gospodarstwo rolne, w czym pomagały mu dzieci.¹⁶ Jeden z synów o imieniu Aleksander – razem z Narcyzem Wojciechowskim, Janem Kraszewskim i Ludwikiem Judycim był współwłaścicielem kopalni złota. Na cytowanej powyżej liście Polaków jest także dwóch Gromadzkich – Hipolit i jego syn Borys urodzony na Syberii. W swoich wspomnieniach Narcyz Wojciechowski wymienia także innych polskich współników, którzy w latach 1870-1900 razem z nim zajmowali się wydobywaniem soli i złota – Skoczyńskiego (wspomina go także Maria Korze-

¹⁵ *Lista Polaków*, mps., s. 1, kopia w Archiwum Haliny Wojciechowskiej, cz. III.

¹⁶ W. Śliwowska, *Syberia w życiu i pamięci Gieysztorów – zesłańców postyczniowych*, Warszawa 2000, s. 484.

niowska-Wojciechowska), Stanisława Gutowskiego, Bronisza, Teofila Chmielewskiego, kupca Popławskiego (były zesłaniec), Józefa Fiałkowskiego, Ziółkowskiego (zesłaniec postyczniowy), Józefa Wróblewskiego (zesłaniec postyczniowy). Wszyscy oni rzućeni losem w te strony zostali w ciągu 10-15 lat najbogatszymi ludźmi na południu guberni jenińskiej.

Ten polski krąg diasporalny, preferował różne formy działalności zawodowej, społecznej i kulturalnej, częstokroć wspierając się w tym trudzie nie zapominając jednak o uczestnictwie w kulturze i edukacji.¹⁷ Oprócz działalności w lokalnych stowarzyszeniach oświatowych, miejscowi Polacy uczestniczyli życiu kulturalnym Minusińska, jak na przykład świetny baryton Bolesław Wojciechowski (syn zesłańca postyczniowego Narcyza Wojciechowskiego), który studiował w moskiewskim konserwatorium i przyjeżdżał na koncerty do Minusińska. Zawody prawnicze w mieście należały częstokroć do Polaków, oto np. notariuszem był Aleksander Romanowski, wiceprokuratorem Paweł Przewuski a Wacław Staszewski piastował stanowisko sędziego pokoju. Na początku XX wieku w powiecie minusińskim pracowało pięciu lekarzy Polaków – Michał Daniłowicz, Antoni Wodzicki, Wiktor Brzeziński, Romuald Dąbrowski, Mikołaj Ołtarzewski. Wszystko też wskazuje na to, że na południu guberni jenińskiej Polacy pracowali w wymiarze sprawiedliwości, górnictwie, medycynie, szkolnictwie i przyczynili się w jakimś stopniu do jej funkcjonowania administracyjnego, kulturalnego czy gospodarczego.

Początki polskiej diaspory w tym regionie sięgają roku 1864, kiedy to na tereny południowej części guberni napływali zesłańcy po powstaniu styczniowym. Jednak tak szybkiego i sprawnego modelu działalności społeczności polskiej, jak w Irkucku czy w Tomsku, na południu guberni jenińskiej nie udało się stworzyć. Jednak już początek XX wieku można uważać za największy rozkwit życia polonijnego w Minusińsku i okolicach, wówczas bowiem polską diasporę stanowili ambitni, wykształceni Polacy szukający tutaj intratnej pracy. Za podstawowe przyczyny, które hamowały tworzenie aktywnej polskiej społeczności w Minusińsku, można uznać brak kościoła katolickiego oraz szkół, np. do 1907 roku nie było tu gimnazjum żeńskiego, w wyniku czego rodziny Wojciechowskich i Daniłowiczów wyjechały w 1889 roku do Krasnojarska by zapewnić wykształcenie córkom. W Minusińsku, centrum okręgu nie powstała jednak parafia katolicka chociaż w mieście mieszkało na początku XX wieku już sporo Polaków. Na przełomie XIX i XX wieku Minusińsk należący do parafii krasnojarskiej odwiedzali księża z Krasnojarska. Tak oto wspomina to Maria Korzeniowska:

Ksiądz do Minusińska przyjeżdżał nie wiem ile razy, 1 czy 2 na rok. Było to wielkim wydarzeniem dla kolonii polskiej. Zwykle zatrzymywał się u kogoś z Polaków. Pamiętam, że w świątecznych sukienkach jesteście w naszej bawialni urządzonej na kaplicę. Jakież to dla mnie niezwykle. Okna przy jednej ścianie zamknięte i jest tu ołtarz z zapalonymi świecami. Mamusia, Babunia i p. Dąbek siedzą na krzesłach. Michasia stoi koło Mamusi, ja koło Babuni. Pokój jest wypełniony przez rodaków. Modlą się klęcząc i na nogach (stojąc). Będąc już starszą zrozumiiałam, ile w tym było wzruszenia, gorących modlitw i łez. Ksiądz przez parę dni, które był w Minusińsku, odprawiał Msze św., spowiadał, chrzczył,

¹⁷ N. Wojciechowski, *Moje wspomnienia*, Archiwum Regionalnego Muzeum Krajoznawczego im. N. M. Martjanowa w Minusińsku.

dawał śluby i odprawiał egzekwie na mogiłach osób zmarłych i pochowanych przez rodaków bez księdza.¹⁸

Pochówki na miejskim cmentarzu w Minusińsku zaczęto od 1864 roku, kiedy zbudowano tu cerkiew. Katolicka część cmentarza znajdowała się za ogrodzeniem cerkiewnym a dzięki staraniom miejscowej Polonii najbardziej okazałe nagrobki są obecnie odnawiane. Wśród dobrze do dziś zachowanych nagrobków z widniejącymi na nich epitafiami są nagrobki adwokackiej rodziny Petrożyckich. Na pierwszym, o marmurowej stelli, czytamy:

**Tu spoczywa
ŚP. ANNA PETROŻYCKA
Usnęła w Panu 17 grudnia 1915 r.
Prosi o Anioł Pański**

Na drugim, o stelli z piaskowca, widnieje napis:

**ŚP. WIKTOR PETROŻYCKI
Zmarł 2 października 1917 r.**



Centralny Plac Minusińska. Rycina Georgia Frosta (1879 r.)

Są też katolickie groby bezimienne, na co wskazuje charakter i sposób wykonania nagrobków, przyozdobionych np. wizerunkiem Matki Boskiej wykonanym w tradycji rzymskokatolickiej. Materiałem, z którego robiono nagrobki, był przeważnie piaskowiec. Dużo grobów Polaków jest w prawosławnej części cmentarza, z nagrobkami w języku rosyjskim. Szacunkowo na starym cmentarzu w Minusińsku znajduje się ok. 60 polskich grobów¹⁹.

*

¹⁸ M. Wojciechowska-Korzeniowska, op. cit., s. 10.

¹⁹ S. Leończyk, *Nekropolia polska w Minusińsku*, „Rodacy” 2003, nr 2 (22), s. 30.

Odrodzenie polskości na ziemi minusińskiej zaczęło się ponownie dopiero pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku. Dzień 29 maja 1999 roku stał się okresem narodzin organizacji polonijnej, która przybrała nazwę „Polonia Minusińska”. Na prezesa nowo powstałego stowarzyszenia wybrano Olgę Tiemierową, zaś na wiceprezesa Elżbietę Laskowską. Zebranie założycielskie połączyło w tym stowarzyszeniu 65 członków, Polaków i osób polskiego pochodzenia. Pierwszym ważnym przedsięwzięciem, w którym wzięli udział członkowie nowopowstałej organizacji było święto miasta Minusińska, którego obchody odbyły się w czerwcu 1999 roku. Wówczas w staraniem „Polonii Minusińskiej” zorganizowano wystawę rękodzieła swoich członków, a zespół polonijny „Syberyjski Krakowiak” z Abakanu wystąpił z publicznym koncertem wpisując się w popularyzację tradycyjnych polskich tańców oraz wzajemnie przenikanie i zazębianie się różnych dziedzin folkloru.

Ważnym przedsięwzięciem nowopowstałego stowarzyszenia było rozpoczęcie w dniu 3 października 1999 roku działalności Szkoły Języka i Kultury Polskiej. Jej uczniami są prawie wszyscy członkowie organizacji – dzieci i dorośli. Przy szkole powstały dwa zespoły polonijne: zespół wokalny „Czerwone Jagody” (kierownik Helena Jaszczuk) i dziecięcy zespół taneczny „Wesołe obcasiki” (kierownik Irena Masztarowa). Obie grupy można było podziwiać po raz pierwszy 23 października 1999 roku podczas występów w Dniu Kultury Polskiej w Minusińsku. Na polonijne święto przybyła wówczas delegacja, w której skład wchodził: konsul Ambasady RP w Moskwie Janusz Jabłoński, senator z Łomży i Prezes tamtejszego Oddziału „Wspólnoty Polskiej” dr Jan Stypuła²⁰, dyrektor Domu Polonii w Łomży Mirosława Cholewicka, goście z Gdyni i Poznania. Główne uroczystości odbyły się w salach minusińskiego muzeum. Dzięki dyrektorce tego muzeum, Ludmile Jermołajewej, muzeum znów, tak jak przed stu laty, staje się domem dla minusińskiej Polonii. Dzięki zaproszeniu senatora, nieodżałowanej pamięci Jana Stypuły, ośmioosobowy zespół „Czerwone Jagody” uczestniczył w składzie delegacji chakaskiej (zespoły chakaskie i polonijne) w Dniach Kultury Syberyjskiej Łomża–Białystok–Ostrołęka–Wyszków–Ciechanowiec 26-31 sierpnia 2000 roku.

Od października 1999 roku rozlega się w eterze Radia Minusińsk polska audycja „Rodacy”. Od roku 2001 dzięki Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, która audycje te finansuje, emitowane są one co tydzień w dwóch wersjach językowych: po polsku i rosyjsku. Polskie audycje prowadzone są w trzech cyklach tematycznych. „Dzień za dniem”, to audycja opowiadająca o działalności „Polonii Minusińskiej” i jej oddziałach terenowych. „Historia i kultura Polski” oraz „Polskie spotkania”, które informują słuchaczy o ważnych wydarzeniach historycznych, które stały się przyczyną przybycia Polaków na Syberię, o życiu minusińskiej Polonii w XIX wieku i przedstawiają historie niektórych polskich rodzin.

W 2000 roku przy „Polonii Minusińskiej” powstały rejonowe oddziały w Szuszenskoje i Karatuszkoje, gdzie dzięki pomocy Stowarzyszenia „Wspólnota Polska” z Warszawy urządzono klasy do fakultatywnego nauczania języka polskiego. Oddziały te są obecnie chlubą Stowarzyszenia. Liczba ich członków,

²⁰ Dr Jan Stypuła zmarł 9 czerwca 2001 roku.

szczególnie w Karatuszkoje ciągle wzrasta. Od 2002 roku w miejscowości tej regularnie odbywają się msze katolickie, od 2004 roku zajęcia z języka polskiego prowadził raz na dwa tygodnie ks. Radosław z Abakanu.

29 września 2001 roku, z inicjatywy Ogólnopolskiej Federacji Stowarzyszeń Sybirackich w Małej Minusie były wychowanek, obecnie wiceprezes tej federacji, Bolesław Włodarczyk z Wrocławia, odsłonił tablicę pamiątkową na ścianie dawnego polskiego domu dziecka, a obecnie siedziby wiejskiej administracji. W tym samym dniu w Muzeum Krajoznawczym im. M. Martjanowa w Minusińsku otwarto wystawę „Polacy w Kraju Minusińskim”, która była wspólnym projektem tej placówki oraz Fundacji „Pomoc Polakom na Wschodzie”, Senatu RP, Fundacji Kultury Polskiej, Kongresu Polaków w Rosji oraz Bolesława Włodarczyka, wychowanka Domu Dziecka we wsi Mała Minusa. Autorami scenariusza ekspozycji, która spotkała się z dużym zainteresowaniem wśród miejscowej społeczności byli Sergiusz Leończyk i Elżbieta Laskowska. Pokazano tu eksponaty i dokumenty ze zbiorów Muzeum im. N. M. Martjanowa, Archiwum Miejskiego w Minusińsku, Archiwum Zarządu Głównego Związku Sybiraków, Muzeum-Skansenu w Szuszenskoje, a także materiały ze zbiorów prywatnych. W 2003 roku przy wsparciu finansowym Wydziałów Konsularnych Ambasady RP w Moskwie i Irkucku została przygotowana wersja planszowa tej wystawy.



Muzeum w Minusińsku (początek XX w.).

Zdjęcie z Archiwum Muzeum Krajoznawczego w Minusińsku.

W 2001 roku dzięki pomocy Fundacji Kultury Polskiej z Warszawy, przeprowadzono kosztowną konserwację starego polskiego księgozbioru w bibliotece naukowej muzeum w Minusińsku. Natomiast Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” sfinansowała przygotowanie kartoteki danych o zesłańcach polskich w miejscowym archiwum państwowym. W dniach 20-25 maja 2003 roku stowarzyszenie „Polonia Minusińska” zorganizowało w Małej

Minusie i Minusińsku pierwsze spotkanie byłych wychowanków polskiego Domu Dziecka., w którym wzięły udział dzieci Janiny i Józefa Bogusławskich, trzy siostry Bogusławskie: Honorata, Henryka i Danuta. Inicjatorem tego spotkania był Bolesław Włodarczyk, wiceprezes Ogólnopolskiej Federacji Organizacji Syberyjskich, jej sekretarz generalny oraz dzisiaj już śp. prof. Antoni Giza z Uniwersytetu Szczecińskiego. Zaangażowanie władz wiejskich i powiatowych uczyniło z tego spotkania wzruszające święto dla gości i całej wioski. W dniu 2 października 2004 roku szkoła w Małej Minusie obchodziła swoje 100-lecie. Z tej okazji otwarto w jej murach szkolne muzeum – większość ekspozycji było związanych z historią polskiego Domu Dziecka. Na uroczystości 100-lecia przybył wspomniany już Bolesław Włodarczyk z Wrocławia, a także Jerzy Lewicki z Kołobrzegu, wychowanek Domu Dziecka w Małej Minusie, który pierwszy raz po tylu latach odwiedził kraj swego zesłańczo-tułaczego losu. Goście przecięli wstęgę w drzwiach nowego muzeum oraz dowiedzieli się, że od tego roku szkolnego do programu będzie wprowadzony jako dodatkowy przedmiot język polski i zostanie oddana do użytku, wyposażona z pomocą Konsulatu RP w Irkucku dla tych celów, nowa klasa języka polskiego. B. Włodarczyk przekazał szkole nowy komputer, aby, jak powiedział, uczące się w niej dzieci łączyły się z dziećmi ze szkoły w Malborku, do której trafiły dzieci z Małej Minusy po opuszczeniu Syberii.

11 listopada 2003 roku w Muzeum Krajoznawczym w Minusińsku odbyła się konferencja archiwistów, pracowników muzealnych, nauczycieli historii i działaczy polonijnych pod hasłem „Polski temat w pracach archiwów i muzeów Chakasji i Kraju Krasnojarskiego”, poświęcona 85-leciu odzyskania przez Polskę niepodległości i 140-leciu wybuchu powstania styczniowego, 2 grudnia 2004 roku odbyła się już druga taka konferencja.

W 2007 roku na prezesa stowarzyszenia „Polonia Minusińska” wybrano Jelizawietę Laskowską, natomiast była prezes Olga Tiemierowa dalej prowadzi polonijne audycje w Radiu Minusińsk. W lipcu 2007 roku na cmentarzu w Minusińsku odsłonięto pomnik „Polskim matkom i dzieciom, pochowanym w tej ziemi”. Powstał on z inicjatywy miejscowej organizacji polonijnej, Związku Sybiraków oraz przy finansowym wsparciu byłych wychowanków (Jerzy Lewicki i Bolesław Włodarczyk) Domu Dziecka w Małej Minusie istniejącego tam w okresie drugiej wojny światowej. W 2009 roku „Polonia Minusińska” obchodziła swoje 10-lecie. Niedługie dzieje tej organizacji polonijnej są ściśle związane z bogatą i ciekawą historią diaspory polskiej w Minusińsku na przełomie XIX i XX wieku. Z tej okazji gościła w Minusińsku ekipa Oddziału TVP we Wrocławiu, która dokonała filmowego zapisu dotyczącego różnych form „związków polsko-minusińskich”, pozwalającego zorientować się w podstawowych wydarzeniach z tym związanych.²¹ Popularyzacji tej wiedzy nigdy u nas za wiele, a przecież nasi rodacy mieszkający na Syberii zachowali poczucie swoich polskich korzeni i stopniowo dokumentują je mając pomoc od Macierzy, chociaż może nie w takim wymiarze na jaki oczekują. Ale to już temat do innych refleksji.

²¹ B. Włodarczyk, *Syberyjska opowieść*, „Zestaniec” nr 42, 2010, s. 106-110.

ANNA MILEWSKA-MŁYNIK

DROGA DO SYBERYI CZYLI PODRÓŻ WIĘŹNIA

Młodego autora dziennika, ukrywającego swoją tożsamość pod kryptonimem A.W. mogliśmy poznać dzięki opracowaniu białoruskiego historyka Walerego Czerepicy. W 1996 roku, na łamach „Niepodległości i Pamięci” opublikował on krótki artykuł *Droga do Syberii, czyli podróż więźnia*¹, w którym zamieścił ogólną charakterystykę anonimowego rękopisu, znajdującego się w zbiorach Państwowego Muzeum Historyczno-Archeologicznego w Grodnie. Nieco później pani Krystyna Żemralska z Warszawy przekazała mi kopię tego dokumentu. Przeczytałam go z dużym zainteresowaniem, gdyż ze względu na osobę autora, należy do rzadkości. Pisał go bowiem kilkunastoletni chłopiec, który na bieżąco notował wydarzenia i własne obserwacje. Dodatkowym walorem tego obszernego, liczącego 180 stron manuskryptu, są ciekawe rysunki wykonane kredką i tuszem, przedstawiające, zdaniem Czerepicy, pomniki historii i kultury polskiej, które nie zachowały się do naszych czasów².

Sam kronikarz niewiele napisał o sobie. Z informacji zawartych w dzienniku wiadomo, że urodził się ok. 1849 roku w rodzinie drobnoszlacheckiej i za udział w Powstaniu Styczniowym został wraz z ojcem zesłany na Syberię. Jedyną wskazówką, dotyczącą jego nazwiska, jest rysunek Eskimosa, zamieszczony na końcu manuskryptu. W jego prawym dolnym rogu znajduje się napis: „2 maja 1867 r. Omsk /A. W” [dalej-prawdopodobnie trzy nieczytelne litery]. Informacje te musiały mi wystarczyć do podjęcia prób identyfikacji autora.

Na stronie internetowej kdkv.narod.ru/1864³ podany jest wykaz Polaków z Litwy i Białorusi, represjonowanych za udział w powstaniu – „Spiski polityczeskich prestupnikow, liszennyh po sudu praw sostojanija, imuszczestwo koich podležit konfiskacji w kaznu” (oryginalne dokumenty znajdują się w mińskim archiwum: NIAB (Nacjonalnyj istoriczeskij archiw Biełarusi – fond 29 i 296). Ponieważ na wygnaniu przebywał zarówno młody kronikarz, jak i jego ojciec, poszukiwałam zesłańców o inicjałach A.W., zaliczanych do stanu szlacheckiego i pochodzących z guberni mohylewskiej oraz osób o tym samym nazwisku, statusie społecznym i miejscu zamieszkania. Powyższe kryteria spełniali: Wojniłowicz Aleksiej (Aleksy) z mohylewskiego powiatu, „gdzie jego ojciec miał 3 włóki ziemi” oraz Wojniłowicz Łuka (Łukasz), szlachcic z mohylewskiej guberni.

¹ W. Czerepica, *Droga do Syberii, czyli podróż więźnia*, „Niepodległość i Pamięć” 1996 nr 2, s. 149-152.

² Kopia, którą otrzymałam, jest zła jakościowo i rysunki są na niej mało czytelne. Nie rejestrują one jednak obiektów związanych z polską kulturą.

³ Dostęp: 9.11.2011 r.

Więcej informacji zawiera wykaz „Spisok uczestników wosstania 1863-1864 gg., sossłanych w Zapadnuju Sibir”, sporządzony na podstawie opracowania Swietłany A. Muliny „Uczestniki polskiego wosstania 1863 goda w zapadnosibirskoj ssyłkie”, Omsk 2005. Oto one:

Wojniłowicz Aleksiej Łukin, 17 lat, szlachcic z mohylewskiej guberni, zesłany z pozbawieniem praw na „żitielstwo” (osiedlenie), przebywał w tobolskiej guberni, mieście Turyńsku, później w Omsku, kawaler (notę opracowano na podstawie dokumentów oznaczonych sygnaturami: GU GAOO (Gosudarstwiennoje Uczreżdijenije / Gosudarstwiennyj Archiw Omskoj Obłasti) f. 3, op. 4, d. 6277, l. 3, op. 6, d. 7918, l. 17 ob.-17, f. 14, op. 1, d. 520, l. 13-14).

Wojniłowicz Łuka, 64 lata, szlachcic z mohylewskiej guberni, zesłany na „żitielstwo”, przebywał w tobolskiej guberni, mieście Turyńsku, później w Omsku, w 1867 roku wyjechał do guberni kostromskiej, zesłany razem z synem (źródło: GU GAOO f. 3, op. 6, d. 7918, l. 21-22).

Z dziennika wiadomo, że autor zamieszkał najpierw w Turyńsku, a później w Omsku, zaś jego ojciec opuścił miejsce zesłania w 1867 roku. Można więc z dużą dozą prawdopodobieństwa przyjąć, iż chodzi tu o Aleksego i Łukasza Wojniłowiczów.

Autor dziennika rozpoczął wygnańczy rozdział swojego życia 11 listopada 1863 roku w Mohylewie. Prawdopodobnie pochodził z tego właśnie miasta lub z jego okolic, gdyż napisał, że wyruszając w drogę na zesłanie spotykał na ulicach znajomych. Był wówczas czternastoletnim uczniem gimnazjum. Według Czerepicy, „nie ulega wątpliwości, że od lat najmłodszych posiadał zdolności do pracy literackiej i naukowej”⁴.

Na zesłanie wyruszył z dużą partią skazańców i przeszedł szlak, wiodący m.in. przez Kazań, Tobolsk, Turyńsk, by ostatecznie zamieszkać w Omsku, gdzie żyło mu się biednie. Wiadomo, że powrócił do kraju, choć nie udało się ustalić, kiedy to się stało. Ostatni zapis w jego pamiętniku został sporządzony w 1867 roku, jednak jest mało prawdopodobne, by wkrótce potem opuścił Syberię. Odnosił bowiem, że na powrót do kraju nie miał wystarczających środków. Wyjechał wówczas tylko jego ojciec, z którym mieszkał przez pewien czas w Omsku. Pozostanie zresztą zagadką, dlaczego w związku z brakiem pieniędzy na opłacenie podróży dla dwóch osób, ojciec zostawił na Syberii niespełna osiemnastoletniego syna. Być może ich wzajemne stosunki nie układały się najlepiej, gdyż pamiętnik kończy następujący zapis: „W marcu miesiącu 1867 roku, ojciec mój z innymi kolegami podał na imię Gubernatora dokładną zapiskę⁵, prosząc o wydanie biletów na drogę z Rossji, wymieniając rozumie się iż mają jechać na własny koszt, na którą odpowiedzi nie otrzymali, więc po Wielkanocy ponowili swoją prośbę znowu i zaledwie w końcu maja odebrali bilety i pozwolenia. W dokładnej zapisce Ojciec o mnie żadnej wzmianki nie zrobił, chociaż ja tego nawet nie spodziewałem się”⁶.

Jak potoczyły się dalsze losy młodzieńca, pewnie pozostanie tajemnicą. Wiadomo tylko, że wiele lat później, w drugim dziesięcioleciu XX wieku przebywał w Grodnie, ponieważ właśnie wtedy przekazał swój diariusz do muzeum.

⁴ W. Czerepica, op. cit., s. 149.

⁵ *dokładna zapiska* (ros.) – raport na piśmie, memoriał

⁶ *Droga do Syberyi*, rękopis. Pozostałe cytaty pochodzą z tego samego źródła.

Początkowo autor *Drogi do Syberii* zamierzał skoncentrować się na opisie swoich zesłańczych losów. Skrupulatnie, choć niezbyt składowo, notował nowe doświadczenia, o czym możemy się przekonać już z pierwszych zdań relacji: „Teraz moje bracia zanotujcie to że odzież nasza składała się z płaszczka [z] czarnym łapikiem na plecach i czapka z dwoma szarymi uszami z szarego sukna i płaszcz / ten z szarego także sukna / płaszcz ten aresztanci nazywają Brodziaga.”

Smutno moje najukochańsze Bracia w młodych swoich latach opuszczają swoją Rodzinę. Chłopi którzy stali w szeregu na ulicach całego Miasta patrzyli na nas z wielką ciekawością i każdy prawie jakby umówiwszy się krzycał „Miatieźniki! Polaki!”. Wyjechawszy jak mgła za miasto starszy żandarm pozwolił nam nałożyć swoje własne czapki i tak jechali dalej. – Za nami krok w krok postępowali dwie powózki, to byli krewni kolegów; na koniec o piątej godzinie stanęliśmy na pierwszej pocztowej stacji pod nazwiskiem Fojnia to za 19 wiorst od Mohilowa po szosie”.

Autor dołączył do dziennika „Tablicę etapów dla lepszego rachunku”, w której wymienił nazwy mijanych miejscowości, daty i czas pobytu „na stacji”, odległości między poszczególnymi osadami, stan dróg i formy odpoczynku. Przemierzając gubernię mohylewską dzielił się z czytelnikami refleksjami na temat doli zesłańcy, podając wiele ważnych informacji. Pisał na przykład: [Za Dnieprem] „stoi wielki kamienny smoleński ostrog gdzie nas i zawieźli. Zawoławszy nas do kantorki zrobili ścisła rewizja i wszystkie nasze rzeczy zabrali [...] a nas zaprowadzili do kamery gdzie my swoich znaleźli mnóstwo, jedni jak i my wędrujące na Sybir a drudzy tutejsi więźniowie i jeszcze przed sądem.”

Ostrog smoleński wart jest nazwiska Ostroga – korytarz przeciągający się z jednego końca poprzedzielany na kilka przegródek jest maleńki i ciemny po obydwóch stronach kamery których okna znajdują się pod samym sufitem – podłoga kamienna i wszystko zasługuje nazwiska prawdziwego więźnia”.

Później, pod wpływem wielu nowych wrażeń, zainteresowania kronikarza skupiły się na otoczeniu. W rezultacie relacja zaczęła nabierać charakteru przewodnika krajoznawczego.

Młody zesłańca notował wszystko, co zaobserwował w czasie drogi lub czego się wówczas o mijanych okolicach dowiedział. Zapisywał podstawowe wiadomości z zakresu historii, podawał informacje o cechach krajobrazu, charakterystycznych budowlach czy różnych miejscowych osobliwościach (zawarł tam na przykład stwierdzenie, że „Niżnij Nowogrod sławi się targiem po całej Imperii”, zaś w Kazaniu „jest monastyr, w którym mieści się słynna cudami Kazańska Boga Rodzica”). Wymieniał też z nazwy albo szerzej opisywał mieszkańców poszczególnych okolic; chłopów białoruskich, smoleńskich, Czeremisów (Maryjczyków), Czuwaszów, Wotiaków (Udmurtów)⁷.

⁷ Maryjczycy – rdzenna ludność dzisiejszej Republiki Maryjskiej, mieszkają też w Baszkirii, Tatarstanie, Udmurcji i in.; tradycyjne zajęcie: rolnictwo, poza tym zajmowali się hodowlą koni, bydła rogatego i owiec, polowaniem, bartnictwem, rybołówstwem, splawem drewna i in.; Czuwasze – rdzenna ludność dzisiejszej Czuwaszji, poza tym mieszkają w Tatarstanie, Baszkirii, obw. samarskim i uljanowskim; podstawowe zajęcie – rolnictwo, uprawa chmielu, pszczelarstwo, poza tym hodowla owiec, krów, trzody chlewnej, koni i in.; Udmurci – rdzenna ludność Udmurcji, żyją też w Tatarstanie,

W guberni kazańskiej napotkał osady tatarskie⁸, co upamiętnił w dzienniku taką notatką: „Odjechawszy od Czypczugowa wjechaliśmy do tatarskiej wsi, gdzie to pierwszy raz zobaczyli tatarską cerkiew czyli mieczet skromnie z drzewa wybudowany z niebieskimi kopułkami, kończąca się połuksiężycami.

Wyjechawszy z tej wsi ze wszystkich stron porozrzucane były tatarskie wsi, z których sterczała tylko wieża Mieczetu i opodal od każdej wsi zasadzona kępka [świerkowych] drzew, stanowiących cmentarz wioskowy. Powodczyki byli Tatarzy i stąd my mniej więcej mogli przypatrzeć się do tych ludzi”.

Niestety, efekt owego „przypatrywania się” był dość skromny, gdyż jak się wydaje kultura „ruskich Tatarów” nie zaciekała autora. Napisał, że w kazańskiej guberni mieszkają oprócz nich inne narody – Czuwasze i Czere-misy (Maryjczycy) i tym właśnie ludom poświęcił w swoim dzienniku sporo uwagi. Dość szczegółowo scharakteryzował ich wierzenia, obrzędy weselne, podał też nieco informacji o instrumentach muzycznych i specyficznym charakterze wyznawanego przez nich prawosławia. Uzupełnieniem relacji jest słownik polsko-czeremisko-czuwaski oraz rysunek przedstawiający miejscowe kobiety. Wydaje się więc, że o ludach tych posiadał dużo wiadomości, chociaż ich przedstawiciele spotykał tylko przejazdem. Najpewniej część informacji uzyskał od miejscowych furmanów, z którymi lubił wdawać się w rozmowy.

O Tatarach zaledwie wspominał, odnotowując kiedy napotkał ich wsie lub zauważył meczety. Przyczyna pobieżnego charakteru tych opisów nie jest zupełnie jasna. Być może uważał, że Tatarzy nie są tak oryginalni jak Maryjczycy i Czuwasze, albo trafił na mniej rozmownych informatorów. Jak by nie było, musiał posiadać o nich pewne wiadomości, gdyż powoływał się na nie w swoich relacjach. Pisał, że Czuwasze „pochodzą od Tatarów”, zaś napotkani później Kazachowie pod wieloma względami przypominali mu ich społeczność.

Po kilkumiesięcznej podróży autor dziennika osiedlił się Turyńsku. Chciał wówczas zakończyć swoją kronikarską działalność, jednak później zmienił zdanie. Jego ostatnie zapisy pochodzą z Omska i w większości dotyczą Kazachów⁹.

W dzienniku stwierdził, że dobrze poznał ten lud. I rzeczywiście wykazał się sporą wiedzą na jego temat. Kazachom poświęcił znacznie więcej uwagi, niż tubylcom napotkanym w czasie drogi na zesłanie. Relacje o ich kulturze zajmu-

Baszkirii, R. Maryjskiej i in.; podstawowe zajęcie – rolnictwo, hodowla bydła roboczego, krów, trzody chlewnej, owiec, poza tym bartnictwo, rybołówstwo. (wg. *Narody Rosсии* red. Tiszkow 1994). Czuwasze należą do grupy językowej tureckiej, pozostałe narody do ugrofińskiej.

⁸ Tatarzy syberyjscy – zamieszkują obwody: kemerowski, nowosybirski, omski, tomski, tiumeński i Kazachstan; dzielą się na kilka odłamów; należą do grupy językowej tureckiej z rodziny altajskiej; tradycyjne zajęcia - rolnictwo (w niektórych grupach jeszcze przed przybyciem Rosjan) i hodowla bydła.

⁹ Kazachowie – rdzenna ludność Kazachstanu (poza tym żyją w Kirgizji, Uzbekistanie, Turkmenii, Tadżykistanie, Chinach, Mandżurii); należą do grupy językowej tureckiej z rodziny altajskiej; tradycyjne zajęcia - koczownicze pasterstwo (owce, bydło rogate, kozy), hodowla koni i wielbłądów, po przyłączeniu do Rosji rozwój rolnictwa (proso, pszenica).

ją 10 stron rękopisu, tyle samo co fragment dotyczący Maryjczyków i Czuwaszów, jednak w opisie tych ostatnich najbardziej rozbudowany jest słownik miejscowych wyrazów, zaś w charakterystyce ludów zostały wyeksponowane jedynie wątki wesela i wierzeń. Pisząc o Kazachach, najszerzej omówił ich pożywienie, odzież, sposób zawierania małżeństw i ulubione rozrywki. Wspominał też o rodzajach hodowanych przez nich zwierząt, koczowniczym trybie życia, związkach form bytowania z warunkami przyrodniczymi, a także o zasadach budowania jurty, wielożeństwie oraz charakterystycznych cechach języka. Uzupełnieniem relacji jest słowniczek polsko-kirgiski, zaś całość opracowania kończy nowelka „Na kumysie”, napisana po rosyjsku. Do tekstu dołączone są ilustracje przedstawiające Kazacha z wielbłądem i konstrukcję szkieletu jurty.

Młody kronikarz zaobserwowane fakty relacjonował w sposób w miarę obiektywny. Nie oburzały go obce kulturze europejskiej cechy obyczajowości Kazachów. O ich wielożeństwie pisał na przykład: „Który Kirgiz¹⁰ bogatszy, ma żon więcej, a biedny korzysta z jednej, a to dla tej przyczyny, że oni za żonę płacą kałym, tj. jednym słowem kupują sobie żonę.[...] Z tego można wnioskować, że takowi liczą za szczęśliwego człowieka, który ma najwięcej córek, a nie synów, bo córki to są towar, za których pieniądze będą brać, a dla synów to trzeba jeszcze tego towaru kupić”. Jako rzecz naturalną przyjął golenie głów przez mężczyzn, tłumacząc, że jest to sposób ochrony przed upałem. Nawet pisząc o napadach Kazachów na karawany nie wykazywał oburzenia. Bez komentarza podał też wiadomość, że są oni mahometanami.

Zdarzało mu się jednak wtrącić opinię, wyrażającą poglądy wychowanego w innej kulturze Europejczyka. Stwierdził mianowicie, że jest to naród dziki i dosyć gruby w swoich obyczajach. Niesmak budził w nim również praktykowany przez Kazachów sposób przygotowania posiłków, ponieważ w kotle z pożywieniem znaleźć można było nogi zwierząt z kopytami. I to w zasadzie wszystko, co miał im do zarzucenia.

Bywało, że niektóre zachowania tubylców śmieszyły go. Pisał na przykład: „Kirgizi lubią konno jeździć, więc kiedy nawet jedzie na krowie konno, to i tam jakieś diabelskie zrobione z drzewa siodło, i rzadko kiedy on usiądzie w sanie, chociaż oni będą i puste”.

Ten sam fakt budził w nim również smutniejsze refleksje. W dzienniku odnotował: „Malczyzki, tj. uliczne chłopaki zawsze usiadłszy się na kirgiskie sanie jadą i do tego jeszcze, kiedy co to i wybatożą biedaka, a on i milczy”.

W dalszej części relacji jednoznacznie określił swoją postawę wobec tubylców. Napisał tam: „Nieraz nawet żal robiło się nad tymi biedakami, jak ulicznicy ich prześladują i nieraz wybawiałem od tych swawolników”. Dowodzi to, że traktował Kazachów jak upokorzonych ludzi, a nie tylko lokalną ciekawostkę.

Chociaż autor dziennika nie lubił rozwodzić się na temat własnych poglądów o ludach tubylczych, z jego relacji można wyciągnąć kilka ogólniejszych wniosków, dotyczących jego stosunku do rdzennych mieszkańców, żyjących po obu stronach Uralu. Szczególnie istotne wydaje się to, że „ludy wschodnie” wydały mu się podobne pod względem antropologicznym i kultu-

¹⁰ W XIX wieku Kazachów nazywano Kirgizami.

rowym. Dostrzegał więc liczne analogie między Czuwaszami, Tatarami, Kazachami, Udmurtami i Maryjczykami, choć jednocześnie zdawał sobie sprawę z ich różnego pochodzenia (dwa ostatnie zaliczył do ludów fińskich). Przyczyny podobieństw nie usiłował jednak dociekać, zaś w stosowaniu porównań nie był zbyt skrupulatny. Uważał na przykład, że wiele łączyło Tatarów i Kazachów, choć na podstawie jego opisów można by sądzić, iż tych pierwszych bliżej poznał jeszcze w Europie, czyli jak sam to określił, był to ich odłam „ruski”. Z relacji chłopca wynika również, że do tubylców odnosił się z życzliwością, choć jednocześnie większość z nich oceniał krytycznie. Ta negatywna opinia wynikała z założenia, iż ludzie ci byli dzicy i mieli nikczemny język.

Ponieważ autor dziennika nie rozwijał szerzej swoich myśli, nie bardzo wiadomo, co kryło się pod tymi pejoratywnymi określeniami. Z kontekstu jego wypowiedzi można wnioskować, że „nikczemność języka” polegała na braku tworzonej w nim literatury, zaś „dzikość” oznaczała przede wszystkim nieznaną zdobycy cywilizacji zachodniej. W swoim dzienniku zawarł bowiem zdanie: „Te Czuwasze, których my widzieli są jeszcze ludzkie, bo żyją przy drodze, ale ci którzy mieszkają w lasach, którzy nic więcej nie widzieli oprócz lasów dzikich i swoich chałup, możemy tylko przedstawić takiego dzikiego człowieka”. Ten mało składny opis wskazuje, że autor miał kłopot ze zdefiniowaniem znaczenia użytego sformułowania. Dokładnie nie wiadomo, co powinni zobaczyć Czuwasze mieszkający w lasach, aby wyjść ze stanu dzikości. Prawdopodobnie autorowi chodziło o możliwości kontaktu z ludźmi, reprezentującymi wyższy poziom cywilizacyjnego rozwoju.

Z innej relacji młodego zesłańca wynika, że wystarczył czasem sam wygląd człowieka, by zasłużył sobie w jego oczach na taki epitet. O Kazachach napisał: „Naród ten podobny na Tatar, ciało ich ciemnoczerwone, rysy twarzy jak we wszystkich wschodnich narodach, gruby i dziki, jednym słowem wszystko świadczy o ich dzikości”.

Wydaje się więc, że często używane w dzienniku pejoratywne określenie było dla autora nie tylko synonimem odmienności wobec dobrze mu znanego świata Europejczyków, ale też wyrazem braku aprobaty wobec niektórych cech i zachowań, charakteryzujących obce społeczności. Generalnie jego interpretacja nieznanego dotąd rzeczywistości jest dosyć nieporadna, co tłumaczy przede wszystkim młody wiek kronikarza. Wydawane opinie są natomiast cennym świadectwem mentalności autora. Sporą wartość dokumentacyjną mają sporządzone przez niego szczegółowe opisy niektórych przejawów kultury autochtonów. Nie są one jednak rezultatem własnych obserwacji, gdyż w czasie zesłańczej drogi nie miał wystarczająco dużo czasu, aby uczestniczyć w lokalnych obrzędach czy poznawać obyczaje tubylców. O wiele bardziej jest prawdopodobne, że spisywał zasłyszane opowieści.

ANDRZEJ NIEDZIELA

OD KLUKWIENNEJ DO HARBINA

Andrzej Niedziela urodził się 28.11.1883 r. w Czmońskich Olędrach w powiecie średzkim. Pochodził z poznańskiego, ale gdy ożenił się w 1907 r. wyjechał z żoną do Niemiec w poszukiwaniu pracy. Osiedlił się w Westfalii, w Wanne, gdzie pracował jako górnik w kopalni węgla. W Wanne udzielał się społecznie w organizacjach polskich i wkrótce został wybrany sekretarzem w Towarzystwie Oświata, a później pełnił funkcję prezesa Towarzystwa Wyborczego w Wanne. Kiedy w 1914 r. wybuchła wojna, będąc poddanym cesarza Wilhelma II, został zmobilizowany do armii pruskiej.

Opuszczał w wielkiej rozterce moralnej żonę i trójkę małych dzieci nie wiedząc jak długo będzie trwało to rozstanie, ani czy jeszcze zobaczy się z nimi. Przydzielony do 3 batalionu fizyliarów 2 Pułku Grenadierów w Szczecinie, walczył najpierw na Froncie Zachodnim, a gdy batalion został rozbity i wycofany z boju, Andrzej Niedziela przeniesiony do dywizji rezerwowej, którą przerzucono na Front Wschodni i w czasie walk w Kurszanach pod Dyneburgiem, w listopadzie 1915 r., dostał się do niewoli rosyjskiej. W obozie jenieckim w Katazinie nad Wołgą, a także w innych obozach, pracował od świtu do nocy, przy wyrębie lasów w śniegu metrowej grubości, przy silnych mrozach i na głodowych racjach żywnościowych.



Andrzej Niedziela w 1907 r.,
służba zasadnicza w wojsku pruskim.

Po przewrocie bolszewickim przedostał się za Ural. W Czelabińsku spotkał pierwszego emisariusza armii polskiej, który poradził, aby jechać do Omska, gdzie znajduje się Komitet Organizacyjny Legionu Omskiego. Legioniści omscy ochraniali magazyny i transporty kolejowe z produktami spożywczymi przed grabieżą bolszewików. W połowie czerwca 1918 r. jako żołnierz ochotniczy wstąpił do Wojska Polskiego. Został plutonowym 1-go Pułku Ułanów V Dywizji Syberyjskiej. Już po trzech tygodniach wyjechał z 1-szym szwadronem ułanów, jako pierwsze kadry bliżej frontu, do Ufy i Bugurusłana, a potem do Nowonikołajewska, gdzie był stały garnizon Wojsk Polskich w centrum Syberii.



Andrzej Niedziela z żoną Marią
z domu Markowską.

Przez całą zimę 1918/1919 r. brał udział w ochronie kolei transsyberyjskiej przed napadami band chłopskich i bolszewickich. W grudniu 1919 r. rozpoczęła się ewakuacja całości wojska V DS z Nowonikołajewska na Daleki Wschód. Polska Dywizja była tylną strażą cofających się wojsk sprzymierzonych. Eszelony czeskie, rosyjskie i polskie dotarły do Krasnojarska, a potem do stacji Klukwiennaja oddalonej o 20 km. Tory były zablokowane czeskimi transportami i zamrzniętymi lokomotywami. W Krasnojarsku władzę zdobyli bolszewicy i otoczyli polską straż tylną ewakuowanych transportów. W takiej sytuacji 10 stycznia 1920 r., pod Klukwienną, V Dywizja Syberyjska skapitulowała, a oficerowie i żołnierze zostali zamknięci w obozie jenieckim w Krasnojarsku, gdzie czekał ich tragiczny los. Andrzej Niedziela uciekł z obozu w Krasnojarsku i mając fałszywe dokumenty wyjechał do Aczyńska, a stamtąd przebył jeszcze 240 km w Góry Altaju do kopalni złota. Pracował w sztolni górniczej, przy zakładaniu ładunków wybuchowych do rozsadzania skał. Kiedy we wrześniu 1920 r. nadarzyła się okazja powrotu chorych jeńców niemieckich, zorganizowana przez Amerykański Czerwony Krzyż, wy dostał się z kopalni, dotarł do Aczyńska i zaryzykował stanąć przed komisją lekarską. Po zakwalifikowaniu do powrotu do Niemiec, wyjechał najbliższym transportem kolejową transsyberyjską przez Krasnojarsk, Irkuck, Wierchniudińsk i Czytę do Harbina w Mandżurii.

Była już połowa października 1920 r. W Harbinie działał wówczas Polski Konsulat, który umożliwił zorganizowany powrót do kraju. Wszyscy żołnierze byłej V Dywizji Syberyjskiej, którzy różnymi drogami ucieczki z niewoli bolszewickiej, dotarli wtedy do

Harbina, odbyli wspólną podróż do Polski. Po czterech tygodniach oczekiwania na transport, wyjechał pociągiem z Harbina do portu Dauren, a potem statkiem japońskim Kobe Maru do Szanghaju. Stamtąd na francuskim parowcu Cordellere przez Morze Chińskie, Hong-Kong, Singapur, Ocean Indyjski, Kanał Sueski do Marsylii. Z Marsylii pociągiem przez Francję i Niemcy do Polski, gdzie w Grudni 10 stycznia 1921 roku został zwolniony z wojska. Wracał z Harbina do Ojczyzny z grupą 34 żołnierzy byłej V Dywizji Syberyjskiej, jeńców bolszewickich, uciekinierów z jenieckich obozów pracy.



Maria i Andrzej Niedzielowie z córkami Pelagią, Marią i Rozalią oraz z synem Stefanem.

Po powrocie do Polski zamieszkał w Poznaniu i sprowadził tu rodzinę. W odzyskanej Ojczyźnie, niepodległej Rzeczypospolitej Polskiej, udzielał się społecznie i politycznie w Stronnictwie Narodowym. Pracował w Elektrowni Miejskiej aż do emerytury. Zmarł w wieku 86 lat.

Swoje przeżycia z walk na frontach wielkiej wojny, niewoli rosyjskiej i bolszewickiej, walki w Wojsku Polskim na Syberii, ucieczki i powrót z Harbina przez egzotyczne porty do Ojczyzny, opisał w grubym brulionie, który przez długie lata był ukrywany w rodzinie. Przedstawiony poniżej fragment jest częścią pozostawionych wspomnień o swym tułaczym losie.

Z obszernego tekstu wspomnieniowego dokonaliśmy wyboru fragmentu związanego z syberyjskimi doświadczeniami, poprzedziliśmy go jednak czymś w rodzaju inwokacji poprzedzającej pamiętnikarski zapis gdy autor zmobilizowany do wojska niemieckiego udawał się na front.

Elżbieta Gruchot

*

• Wielka Wojna 1914-1921

Rok 1914, 2-gi sierpnia, choć nie z dokładną datą, był to rok, na który czekał cały Naród Polski, modląc się o wojnę Powszechną prosimy Cię Panie.

Stało się zadość miłosierdzia Bożego, bo wysłuchał Bóg męczeńskiego, tułaczego narodu i daje mu możliwość by wyciągnął swą prawicę po wolność i niepodległość, którą był utracił przez lekkomyślność swoją.

Obyście się opamiętali wy, którzy na straży stoicie, obyście zrozumieli, dlaczego 150 lat trzeba było cierpieć, ażaliż niezgodą, ambicją, pychą, zarozumiałością, krzywdą, niesprawiedliwością, bezprawiem, grabieżą, mordem, zdradą. Polska ma stać się Przewodniczką Narodów.

Wszak Polska ma misję do spełnienia, nie zaś bawienie się w Bożyszczów, uwielbianie heretyków, odstępców wiary i Kościoła Katolickiego. Cóż, na takich proroków 300 lat naród czekał.

Cóż to, Polska po to jest by ją kuć w nowe kajdany?

Cóż to, Polska po to jest by się sama ośmieszala wśród narodów otoczenia?

Polsko Zmartwychwstała, na takich Geniuszów stać cię tylko?

Och, wynijdźcie [z] zakamarków wy dusze, które nie w kieszeni, lecz w sercu Polskę nosicie, nadajcie jej kierunek podróży ziemskiej.

Ogłoszenie mobilizacji i stanu wojny pomiędzy Niemcami i Francją w 1914 roku, było największą depresją moralną dla żołnierzy Polskich, narodowców, a zarazem poddanych niemieckich. Zdając sobie sprawę, czym jest wojna, z kim i przeciw komu walczyć będzie trzeba, było owo roztargnienie moralne niejednego żołnierza Polaka.

Nie było czasu i możliwości na niejedno skupienie myśli, bo [mijają] 24 godziny, a już trzeba było opuścić rodzinę. To też pierwsze miejsce u każdego Polaka, tak jak z historii Ojców, stosunek duszy względem Boga zajmował.

Po skutecznieniu wszystkich formalności, co do duszy i rodziny, zbliżał się moment pożegnalny, aby jeszcze raz, wraz z Żoną, skłonić kolana przed obrazem Matki Boskiej Pocieszenia; był [on] punktem kulminacyjnym, gdyż już żadne z nas modlić się nie umiało.

Boleść przejmującą sprawiło troje dzieci, trzy, dwu i półtoraroczne, w głowie kotłowała [się] myśl czy rodzinę jeszcze raz w życiu oglądać będę. Żegnam rodzinę, aby wśród tłumy na dworcu już nie okazywać żalu i bólu serca.

*

• Ewakuacja V Dywizji Syberyjskiej

Ewakuacja V Dywizji Syberyjskiej z Nowonikołajewska na Daleki Wschód rozpoczęła się dnia 5-go grudnia 1919 roku. Przygotowanie ewakuacyjne było doskonałe, bo całe formacje były ruchome, w pociągach wszystko było zarządzane, a więc przygotowanie na przejazd do kraju na pół roku i wszelka żywność dla całej armii.

Jechała również cała masa cywilnych rodzin żołnierskich i oficerskich, co było kulą u nogi tej ewakuacji, lecz nie chciano zostawić owych rodzin na pastwę losu bolszewickiego, a trzeba było to w pierw skutecznić osobną wysyłką na Daleki Wschód.

Pociągi ruchome, każdy, miały swe kuchnie, sypialnie, piekarnie, zbrojownie i wszystko, co trzeba było mieć dla walczącej armii. Szedł, więc pociąg za pociągiem na przestrzeni 150 km, jeden od drugiego oddalony o 200-500 metrów. Każdy pociąg składający się z 50-80 wagonów miał jedną lub dwie lokomotywy.

Lokomotywy były nie najgorsze, lecz wymagały częstego remontu, a więc gdzie była jedna to była dobra, lecz gdzie dwie to częsta była naprawa jednej lub drugiej. Największym nieszczęściem był brak węgla lub drzewa opa-

łowego i wody, bo pompy na stacjach były poniszczone. Te trudności opałowe i braki wody, choć były dużym ciężarem, były do pokonania, bo obfitość lasów pozwalała [zdobyć] opał, to też rąbano drzewo w lesie i znoszono do parowozów i wagonów, a obfitość śniegu pozwalała na dostarczanie wody. Kilka razy, przez dzień i noc, trzeba było uzupełniać [powtarzać] te czynności, lecz każdy z chęcią oddawał swe usługi, byle jechać naprzód i nawet niewiasty jadące nie wzbraniały się tych czynności, a nie było to łatwe na mrozie od 27-35 stopni mrozów syberyjskich.

Więc jechaliśmy, lecz dokąd wiedział tylko Bóg. Zależało to od waleczności żołnierza, który zasłaniał tyły przed bolszewikami. Żywność dla żołnierza była, amunicji nie brak, a więc można było uratować się i wyjechać z piekła bolszewickiego. Żołnierz bił się dobrze, a dwa „broniewiki”, czyli pancerne pojazdy na tyłach, wstrzymywały najazd bolszewicki, ale że z wszystkich stron byliśmy osaczeni, nawet o kilkaset kilometrów naprzód, to walka nie była łatwa i nie wiadomo, jaki weźmie obrót, czy ta zgoda słowiańska nie zostanie zakłócona jakąś sprawą jeszcze dotąd niewyłonioną. W tyle za nami trwają utarczki, lecz te dla nas nie mają przykrego znaczenia, bo żołnierz dobrze wyposażony jest siebie pewien i każdy napór nieprzyjaciela odrzuci.

Jednak posuwanie się żółtym krokiem owe 150 km przestrzeni naszej ruchomej armii, nie dało się na długą metę utrzymać. Muszę zaznaczyć, że przed nami nasi sojusznicy Czesi zajmowali przestrzeń kilka tysięcy kilometrów, bo aż do Władywostoku. Jeszcze jedna trudność była w tym, że mieliśmy dwa pociągi sanitarne, które z chorymi i rannymi [żołnierzami] też nie mogły się wydostać do przodu, w bezpieczne miejsce. Cała zaś linia kolejowa zajęta była przez ewakuację Piotrogradu, Moskwy i Omska i zajmowała całą przestrzeń lewego toru kolejowego, jedynie prawa strona służyła dla formacji wojsk syberyjskich z wymijaniem nie na wszystkich stacjach. Wyobraźmy sobie napór na tyłach naszych, kiedy nie ma gdzie się usuwać. Jak to może paść (wpływać) na tę armię walczącą i ochraniającą tyły?

Dojeżdżamy do Aczyńska, cała stacja zatarasowana pociągami na wszystkich torach. Ponieważ pociąg, którym jechałem znajdował się za Sztabem Dowództwa, więc niedługo czekaliśmy na odjazd. Wyjechaliśmy, byliśmy już o kilka kilometrów [dalej], wtem ogromna detonacja za nami, aż się nasz Kary wzdrygnął, coś się stało. Oto przy wjeździe jakiegoś pociągu szukano [czegoś] po wagonach i ktoś nieostrożny trafił na wagon dynamitu, który eksplodował niszcząc wszystko, co na nim było. Zmiecione zostały siłą wybuchu wszystkie pociągi i dworzec, raniąc i zabijając bardzo wielu. Tor, który był wolny został cały, usunięto narzucone części gruzów i pociągi dalej przejeżdżały. Tam też była kopalnia złota i gdyby nie kapitulacja, o której będzie później, niejeden miałby pełny portfel, bo eksplozja rozbiła ewakuowane wagony złota. Czy straty w ludziach były duże, nie wiem, gdyż niczego nie można było się dowiedzieć.

Jechaliśmy, a wojska nasze w dalszym ciągu posuwały się za nami. Bolszewicy także nacierali, aby nikogo nie wypuścić z Syberii ze zdobyczą, bo ją przecież mieli wszyscy. Miasta, przez które przejeżdżało się, były zbolszewiczałe i wrogie dla wszystkich opuszczających Sybir.

Ostatnia bitwa, jaką stoczyliśmy z bolszewikami, była pod Tajgą. Tu zdecydował się los czy walczyć dalej czy to już koniec. Tu stało się coś, czego ja, żołnierz, pojąć nie mogłem, bo po zwycięstwie żołnierza polskiego, nastął ko-

niec walki. Bolszewicy pobici na łeb stanęli i ani rusz dalej, całe 4 tygodnie [nie zrobili] ani kroku. Żołnierze nasi przyszli do wagonów, [mogli] jeść i pić i spać, a bolszewicy zostawili nas w spokoju i tylko po kilku [razem] przechodzili koło naszych wagonów. Szli na Daleki Wschód, zaś reszta traktem sybirskim szła na Krasnojarsk, Irkuck itd.

Po tym zwycięstwie i zdradzie, która stała się tam już faktem dokonanym, oddano żołnierzy do wagonów i już zamiana wojujących nie nastąpiła. Jednakże część [naszych żołnierzy] zmieszała się z Siemionowem, atamanem Kozaków i szła traktem na wschód, a reszta naszych wojsk jechała pociągami. Jechaliśmy dalej.

Dojechaliśmy Krasnojarska, było rano, godzina 9-ta. Na peronie pełno ludności, zamęt i harmider, bo nie wiadomo, co się dzieje. Co się stało? Już się zorientowałem, że wojska nasze już nie są gotowe do obrony i że już nie ma rozporządzeń itd. Czekamy na wyjazd i przyglądamy się, co się dzieje. Oto żołnierz konny z opaską czerwoną na rękawie wjechał na peron dworca i wyganiał harapem tumult tam się znajdujący, bijąc na lewo i prawo i tak też jeden w uniformie żołnierza czeskiego, został porządnie poharatany. Był to czeski jeniec wojenny, który zapędzony z tumultem tych ludzi zabłąkał się i oberwał porządnie nic nikomu niewinny. Widocznie zemsta bolszewicka nie mogła już ścierpieć munduru czeskiego.

Odjeżdżamy z dworca przez most na rzece i powoli jesteśmy już za miastem. Teraz dopiero widać uchodzącego Siemionowa ze swoimi Kozakami. Kilka wystrzałów armatnich i grzechot karabinów maszynowych otworzył drogę zatrzymania Kozaków, jeno kurz i huragan śnieżny kopyt końskich i szczęk oręża siecznego i już droga wolna od [bolszewickiej] przeszkody krasnojarskiej.

Smutno zrobiło mi się na sercu, czy i nam taka droga nie była możliwa, wszak rzeki, jeziora i błota nie stanowiły przeszkody do dalszej podróży. Stojąc tak jak oniemiały na myśl, co to będzie, pomyślałem o pójściu samemu, [za nimi], lecz po namyśle i z rozważeniem, że „jesteś żołnierzem i należy ratować się nawzajem”, [odstąpiłem od tego zamiaru].

Cały sztab wojsk znajdował się przed nami. Wielka [ilość] oficerów znajdowała się rozproszona na tej przestrzeni [150 km], a zanim razem można coś obmyślić, czas upływał na bezczynności. Teraz już każdy myślał tylko o sobie. Wyplacono żołąd w bezwartościowej pożyczce amerykańskiej dla Rosji; schowałem ją, bo miała ważność do 1928-go roku, lecz i to nic [nie dało], bo bolszewicy nie uznali żadnych długów carskich i kołczakowskich. Po kilku dniach otrzymujemy telefon od bolszewików z zapytaniem: „którędy wy Polacy chcecie jechać do kraju, wszak droga do Polski to [kierunek] powrotny, i nic wam się nie stanie, [jeśli zawrócicie], ale musicie poczekać, aż droga zostanie naprawiona, którą żeście popsuli, to potem pojedziecie na zachód”, no i [przedstawili] takie i owe zagadnienia dotyczące żołnierzy polskich.

Żołnierze zdumieli na takie i one propozycje; łatwowierność polska takich wynurzeń, zawróciła w głowach wielu żołnierzom, jedni byli za tym, aby wracać drogą powrotną, drudzy natomiast nie wierzyli w szczerą katów bolszewickich. Sztab został uwięziony, bo były uzasadnione obawy ucieczki, otoczono wagon czterema kulomiotami, nie wolno z wagonu wychodzić. Twierdzono, że jeżeli mamy cierpieć lub ginąć, to razem, wspólnie, wszyscy. Nastę-

nie przyszedł jeden z pułkowników i mówi żołnierzom do serca, że to co robią, [jest niedobre], iż więżą swoich, nie zezwalając na należyte działania dowództwa; żołnierze zdjęli dwa kulomioty i pozostawili tylko dwa.

Zaczął się rozstrzyganie, co robić, czy iść na wschód czy pozostać i tak zdecydowano: jechać, a był to [jeden], 1-szy Szwadron, reszta to bezbronne narzędzia, gotowe kark położyć katu na pień. Powstały szmery, złorzeczenia, zbiera się konnica z pułkownikiem na czele i już wszystko gotowe, tylko siadać na koń i odjeżdżać, lecz cóż się dzieje? Jak człowiek rażony paraliżem serca się wywraca, tak [jakby] zarazą rażeni ułani, skamienieli na wszystko, zarzucają podjęty czyn. Scena tragiczna, gdy wspomnę to dreszcz [mnie] przechodzi, iż ten żołnierz nieustannie, od początku trwały i zdolny do poświęcenia, stał się tak lekkomyślnym na swój los.

Cóż był powodem tej tragedii żołnierza polskiego V-tej Dywizji Syberyjskiej? Kiedy walczone razem i wstrzymywano wroga wspólnymi siłami, szło sprawnie i gładko, kiedy zaś Czesi, Serbowie i inni sojusznicy, zaczęli się wycofywać z bojów pozostawiając Polaków samych dla odgradzenia tyłów, zaczął upadać duch bojowości żołnierza polskiego, a to dlatego, że widział się żołnierz polski zdany na pastwę losu w obronie dla sojuszników i tak się stało.

Polacy chcieli, aby przepuszczono dwa pociągi sanitarne, to targi były takie, że za przepuszczenie pierwszego pociągu Czesi wzięli jedną dobrą lokomotywę, zaś za drugi pociąg zażądali więcej lokomotyw, co stało się powodem zatargu. Gdzie utkwiał drugi pociąg [sanitarny] nie wiem, gdyż go nie przepuszczono. Stojący Czesi przed nami, zabawiali się ze swymi bogdankami, bagatelizowali i wyśmiewali polskich żołnierzy, ten widząc niewdzięczność swych towarzyszy broni, wystawił armaty przeciw nim, widząc to Czesi, na co się zanosili, opuścili kilka eszelonów z zamarzniętymi lokomotywami, i uszli naprzód pozostawiając puste pociągi. Dojechaliśmy więc do Klukwiennej i tu stop.

Widząc to oficerowie polscy i także żołnierze, którzy poznali się na farbowanych lisach bolszewickich, na co się zanosili, zdecydowani na wszystko wiali, gdzie kto mógł i każdy jak mógł tak się urządzał. Dużo wojska uszło na wschód to ci, co wrócili do kraju na czas, na odsiecz bolszewicką pod Warszawą, było ich około tysiąc żołnierzy z V Dywizji Syberyjskiej, którzy wracali drogą okrężną: Japonia, Ameryka, Gdańsk.

Jaki to był żołnierz niech świadczy [taki] fakt, że kiedy przyjechali do Gdańska dano im dwie propozycje rządu polskiego, albo na krótki czas do swych rodzin, albo na front pod okrążaną [przez bolszewików] Warszawę, zuchy wybrały front, obronę zagrożonej ojczyzny i tam niejeden wślawił się w bojach zdobywając Virtuti Militari, ale też wielu co nie widzieli swych najbliższych legło, lecz za to na łonie ojczyzny.

- **Kapitulacja V Dywizji Syberyjskiej pod Klukwienną, została podpisana 10 stycznia 1920 roku.**

Skończyły się rozporządzenia władz, przełożonych i ani nie wiem jak i gdzie się podzieli, pracowałem jak mogłem i radziłem jak mogłem. Mając klucze do wszystkich wagonów i pomoc kilku jeńców wojennych, odżywiałem rodziny i pozostałych do ostatniej godziny, myślałem też o sobie, lecz jeszcze więcej o żołnierzach i rodzinach znajdujących się w mym pociągu. Wkrótce przyjdzie koniec,

że trzeba będzie samemu opuścić ten przytułek i iść szukać schronienia, lecz jak i co czynić wypada, długo się nad tym zastanawiałem, sen nie dawał mi spokoju, a tu czas przynagłał, bo pociąg za pociągiem odciągano z powrotem do Krasnojarska.

Przy układzie, jaki zawarto, bolszewicy mieli odebrać broń, pozostawić po kilka karabinów na każdy wagon, a żywność miała pozostać, po uprzątnięciu toru, na podróż powrotną do kraju – tak wyglądała obietnica. I co się dzieje, po ściąganiu pojedynczych pociągów, bolszewicy zabierali resztę broni, żołnierze szli do obozu, zaś załadowany prowiant danego pociągu miał iść na przechowanie do magazynów. Jednak, kiedy żołnierze byli za bramą w obozie to prowiant szedł dla zgłodniałych bolszewickich żołnierzy, a o ubraniach i reszcie zdobyczy, które miał dany pociąg dla półrocznej wyprawy do kraju już nie było mowy, bo żołnierz był bez broni i już nic nie miał do mówienia, bo był już niewolnikiem. I tak z każdym pociągiem postępowano, jedni byli w obozie, innych się rozbrajało łagodnie i systematycznie, niby to z największą dobroduszością.

Szedł dzień za dniem i wszyscy, którzy przechodzili na Daleki Wschód, a było jeszcze bardzo dużo ryzykantów, mieli oparcie o ten mój ostatni pociąg, bo tu mogli otrzymać wszystko, co było im potrzebne, odzież i jedzenie; żegnałem ich z Bogiem. Widząc zbliżający się koniec, że i mego Karego cofną, rozdałem co było możliwe z pociągu wszystkim, którzy uwozili sobie podnajętymi podwodami do swych siedzib i schowków, poniszczyłem co było do zniszczenia, aby jak najmniej użytecznego oddać wrogowi.

Nadchodzi ostatnia godzina, trzeba uchodzić, bo czas; nie goląc się i nie strzygąc brody wyglądałem już jak starzec, zabrałem trochę dla siebie i ruszam do Krasnojarska, do obozu jeńców wojennych Niemców, bo taką miałem przepustkę wydaną dla formy przez adiutanta M., ukartowaną uprzednio mądrze. Już teraz nie żołnierz, lecz jeńiec wojny światowej, ale nie ten sam, bo zmieniony i z imienia i z nazwiska.

Rzecz, której się podjąłem, nie była dla mnie łatwą, a podróż około 20 kilometrów z powrotem do obozu to niemal dla mnie śmierć, a tu mróz 32 stopnie. Nieprzywykły do zadymki śnieżnej i ciężkiej drogi formalnie słabłem. Tę drogę resztkami sił przechodziłem zamarznąłą rzeką Jenisej. Szedłem ostatkiem sił, lecz brakło mi tchu, trzeba odpocząć, usiadłem w śniegu i zasnąłem. Jak długo spałem, nie wiem. Idący za mną jeden żołnierz, Borowiak, który nabrał sobie pokarmu i jeszcze się tam zahaczył, doszedł mnie, poznając mnie obudził i z ledwością dowlokłem się do niemieckich baraków.

Teraz trzeba się zgłosić u komendanta baraku. Zostałem przyjęty i zapisany do księgi ewidencyjnej. Komendant, jako Niemiec, wiedział dobrze, kim jestem, lecz to go nie obchodziło. Zmęczony, zawołałem swego przyjaciela, który miał analogiczne nazwisko, a różniliśmy się tylko imionami. Zaznaczyłem mu, że w razie gdyby mnie ktoś z „czerezwyczejki” wołał, aby on się zgłosił [na] tak długo, aż ja nazajutrz otrzymam przepustkę. Położyłem się i zasnąłem snem sprawiedliwego. Zasnąłem na łożu, na którym poprzednio zmarł jeden na tyfus. Ponieważ nie było dostatecznej ilości pokarmów, wybuchła ta choroba kosząc niemiłosiernie wszystkich, a osobliwie wycieńczonych i zgłodniałych jeńców i żołnierzy nie szczędząc i cywilnej ludności.

Po przebudzeniu, ranem, już mamy wizytę „czerezwyczejki”, wołają me nazwisko, zgłasza się mój przyjaciel, ja zaś najspokojniej ubieram się i widząc,

że są na mym tropie, ubrałem się i pożegnałem. Mając już legitymację w kieszeni, opuszczam obóz i wyruszam do miasta oddalonego o trzy kilometry. Idąc przez obóz, w którym to byli jeńcy wojenni i chorzy żołnierze, przechodząc obok wielkiego magazynu z czasów wojny, służącego za skład amunicji, otwierają się drzwi i na widok tego omal nie drętwięję ze zgrozy okropnej, to trupiarnia; wszyscy, którzy zmarli czy to na skutek tyfusu czy inną śmiercią w obozie, z powodu zamrożenia ziemi i trudności pogrzebania, byli tam przechowywani do czasu możliwego, ogólnego pochowania ciał. Widok okropny gdyż, w jakiej pozycji każdy zakończył życie i zastygł, tak go też przyniesiono, zaś z powodu lepszego ułożenia oraz rezerwowania najwięcej miejsca, odpiłowywano ręce lub nogi i układano jak śledzie; magazyn był prawie cały zapchany. Idąc dalej trafiam trójkę jeńców prowadzących się pod ręce, gdyż bez pomocy i bezradni w boleściach żołnierze szukając śmierci, szli gdzieś do innego baraku, lecz czy doszli nie wiem, gdyż po upadku jednego z nich, więcej się nie oglądałem; szedłem jak żywy między umarłymi.

Był to dzień wigilii Matki Boskiej Gromniczej. Szedłem targany myślą o nieszczęśliwych; bez kapłana, bez przygotowania na drogę wieczności, tyle dusz ginęło. Z wrażenia we wrażenie, oto „barachełka”, targowisko w mieście, a na nim słoma, siano i drwa, niekiedy można ujrzeć butelkę mleka, a chleba, zboża i mięsa zupełnie brak. Zaś największe targi uprawiano na starą odzież żołnierską i bieliznę, której był brak gdyż ludność ubierana była w ubrania z płótna na worki, a niekiedy nawet z grubego [papieru?], podobnego do worków po cukrze i od kalamitu lub superfosfatu. Wynędzniała ludność chodziła jak żywe trupy, jedynie żołdacy bolszewicy, tłuszciochy, kręcili się szukając swych ofiar, zaś szpicli i szpiegów pełno. Widzę, jak na wskazanie z ubocza, zabierają jakiegoś młodego człowieka dwaj żołnierze z „czerezwyczajki” i uprowadzają go poza targowisko, skrycie za budynki, tam go z „browninga soldat” zastrzelił i obrabowano go, a potem jakby nic się nie stało wracają z powrotem. Zadrzałem na całym ciele na ten widok i usuwam się z targowiska, aby nie wpaść w szpony bestii krwiożerczej.

Jeżeli tu na „wolności” takich wrażeń pełno, cóż tedy dzieje się w obozach koncentracyjnych. Zgroza wspomnieć to, co tam się dzieje, biedni, bezbronnii towarzysze broni, gdzie kto może i ucieka i chowa się, byle nie kończyć w obozie w męczarniach od katów.

Spotkanie kilku mi bliskich i znajomych miało tu miejsce, koło dworca; uszli z obozu i nie wiedzą, co począć, radzę im iść na dworzec, tam odszukać inżyniera O., aby wyjechać jak najdalej od kolei i tam przeczekać czas nadchodzącego terroru i udręki szpiclowskiej, ochłonać z wrażeń widzianych i słyszanych.

Jeniec [u bolszewików] to marny robak, można go zniszczyć, zabić i zamorzyć, ni prawa, ni sądu jak tylko śmierć i śmierć za każdym skinieniem i za każde niewykonanie natychmiastowe rozkazania „czerezwyczajek” bolszewickich. Jeszcze pozostała masa żołnierzy w obozie i czeka, co to będzie. Komisaryczny kat rozkazuje w obozie: tyle zegarków, tyle bielizny, tyle ubrań, tyle płaszczy naszykować [natychmiast]. Są szmery, co to, a my nago zostaniemy, to tak nas proletariuszy się traktuje? Powstaje wewnętrzny opór, to na nic, bo co tylko było można, zabrano – żołdacy odeszli biorąc wszystko. Oto tak idzie w nieskończoność, aby był powód do zabijania i niszczenia jeńców polskich, zaś opornych notowano, wybierano i męczono nago na lodzie w lodowni; gdy

posiedział kilka godzin to zastygł, kiedy zaś kat zawołał go po nazwisku, a on się nie odezwał, to ślepo strzelał i zabijał onych nieszczęśliwych, niemogących wymówić już słowa. Oto obraz postępu hien bolszewickich.

Widząc to żołnierze [a obecnie jeńcy], co się dzieje, chowali się i kryli gdzie było można i tak do pobliskiej wioski uciekło 200-tu żołnierzy. Ukrywali się u włościan i chronieni przez tychże, zostali wytropieni przez listonosza. Obława bolszewicka poaresztowała wszystkich, pod silną eskortą odprowadziła na miejsce stracenia, założono karabiny maszynowe i wykoszono do jednego. Takie masowe rozstrzelania były codziennie to też cywilna ludność drżała ze strachu, bo nie szczędzono nikogo, rozstrzeliwano ludność ukrywającą i ukrywanych, bez wyjątku, nawet i niewiasty. Okropność i hałasy turkotu karabinów maszynowych zagłuszano gwizdem lokomotyw lub buczeniem syren na statkach. Pozostałych jeszcze jeńców wysłano na roboty leśne, tam głodzono, katowano i pomęczono resztę. Był to okres długo trwający, bo od lutego do czerwca 1920 roku.

Kto był komendantem początkowym miasta Krasnojarsk? Oto w jednym szwadronie, był sobie taki żołnierz, który przywoził prowiant z pułkowego magazynu dla szwadronów, prosty sobie żołnierz, przechrzta Żyd ze wschodniej Galicji, nazwisko Olszewski. Oto pod innym już nazwiskiem komendant miasta Krasnojarska. Jak się dowiedziałem, to wiele wydawał strasznych rozkazów, lecz jeżeli przyprowadzono doń jakiegoś dawnego znajomego, to jednymi drzwiami wpuszczał, a drugimi zaś kazał wychodzić, ale [przykazywał], aby mu na oczy więcej się nie pokazywać. Zachodzi pytanie, czy i w 5-tej Dywizji było [nadał] kilku cichych szpiegów, choć ich wielu rozstrzelano jeszcze w Nowonikołajewsku, za czasu żandarmerii rotmistrza Paszkowskiego z Poznania?

Dzień ma się ku zachodowi i wnet można się spodziewać odjazdu pociągu idącego w stronę Aczyńska. Ponieważ przygotowanie było już ku końcowi, trzeba było iść do pociągu. Pożegnałem się z kolegą Rogozińskim, zalecając mu usunąć się w dalekie zacisze dla uspokojenia nerwów i zdrowia, co też przyrzekł następnego dnia uczynić.

Stało się inaczej, bo był to ostatni pociąg, którym jechałem z kilkunastoma znajomymi do Aczyńska, stąd zaś w Góry Ałtaju 240 kilometrów. Kolej południowa prowadziła zaledwie 50 km, resztę drogi to podwodami kilka dni po równinach, aż do podnóża gór Ałtaju, następnie kilka dni już wąwozami międzygóorskimi, aż do kopalni złota na Andriejewski Rudnik.

Inżynier, znany [tam] człowiek, wszędzie był mile widziany i lubiany, to też przyjęcia noclegowe były spędzane w miłej pogawędce tematu doby obecnej; mówiono szczerze, bo byliśmy sami swoi, a ludność dalszych okolic była wrogo nastawiona do systemu bolszewickiego. Nie ukrywano nawet wrogiej postawy wobec tego reżimu. Ludność gościnna, czy to był Tatar czy Kirgiz czy Rosjanin jednakowo cierpieli, bo im wszystko, co mieli pozabierano, pozostawiając tyle, byle z głodu nie pomarli. Mróz sięgał 36 stopni, [zimno] gryzło w twarz, bo człek ciekaw okolicy rozglądał się na wszystkie strony; dojeżdżamy stada stepowych koni, które przez zimę karmią się same li tylko trawą spod metrowego i więcej śniegu, biedactwa, odgrzebując śnieg nogą, skubią uschłą, stepową trawę, zaś dalej coś [ileś] szop, a tam owce, lecz człowiek i mieszkanie gdzieś daleko stąd. Tłumaczy nam nasz przewodnik, kiedyś to były stada tysięcy sztuk bydła, koni i owiec, teraz już wybrano wszystko dla potrzeb rewolucji, a i masy walczących Kozaków pozabierały, co było lepsze uchodząc w góry, by

stamtąd, z powrotem uderzać i niepokoić bolszewików. Przed wojną był to teren tzw. „złotych pryisków”, gdzie teren ten był odgradzony przez Kozaków jako państwowy, aby nie wybierano złota na szmugiel, lecz tylko dla państwa. Złoto szło do Piotrogradu lub do Moskwy, lecz nie czyste, bo dopiero na miejscu było czyszczone. Zarabiano tam dobrze i wszystkiego na miejscu było pod dostatkiem, bo o to dbano, aby tam niczego nie zabrakło, lecz wracający z tych „pryisków” byli rewidowani jak na komorach celnych i mogli przejść tylko z zaoszczędzonym pieniądzem. Czy wychodzili owi pracownicy cało, to dla niejednego znak zapytania, bo oto w tajgach czyhali bandyci, napadali, rabowali uciulany grosz, a niekiedy i mordowali wracających pracowników. Że są tam rzeczywiście dobre pokłady świadczy, że taka kopalnia dawała do puda złota miesięcznie, ile ich [kopalń] tam jest, nie wiem, gdyż nie można było się dowiedzieć, wiem tylko tyle, że tam gdzie pracowałem były trzy, a gdzieś w oddali dwie, teren zaś wielki jak okiem sięgniesz, wszcz i wzdłuż same wystygłe wulkaniczne góry.

Przez całe wieki zapładniane tam góry to świerkiem, jodłą, brzozą oraz masami krzewów „smrodyń” tj. dzikich świętojanek, wikliny, wierzby i topoli; ciekawe jest to zjawisko na same wejście, kto ma nieco bystrego umysłu, spostrzeże to natychmiast. Wszak przyroda sama pamięta, aby pozostawić potomność tam, gdzie jej się nie niszczy i tak też zaobserwować można od dołu do szczytów gór sięgających kilkaset metrów wysokości. Ponieważ są to zastygłe góry wulkaniczne, to też drzewa nie wyrastają do wielkich rozmiarów, nie mając oparcia ziemnego obumierają z biegiem czasu, zaś ich miejsce zajmują młode drzewa już innego nasienia, przywalane, uschłe drzewa zgnijają, jeśli ich ręka ludzka nie zbierze na opał lub budulec. Jadąc tak zauważam u podnóża ogromne drzewo, rodzaj zostawionej Matki Cedrowej. Oto Cedra, których już niewiele pozostało gdyż wymierają, młode cedry już nie dorastają tej wielkości. Jadąc tak przez owe wąwozy jedziemy na zamrożonym strumyku, a jak głęboko pod nami on płynie, gdyż jedziemy po śniegu kilkumetrowej grubości nawet tego nie odczuwając, nie wiemy, zaś zwierzęta pociągowe idą tylko po udeptanej ścieżynie, bojąc się nawet z niej zbroczyć dla niepewności stąpania i wywrócenia się po uszy w zaspę śnieżną.

O co tylko zapytuję Inżyniera, tłumaczy nam tenże, że przed wojną światową zamierzali Angliczanie na dobre urządzić eksploatację złota, w tym celu sprowadzali różne maszyny i oto aż potąd dowieźli ogrom jakiegoś żelaznika w rodzaju walca czy motoru, kolos, na czymś to go przetransportowano tak daleko, bo zaledwie o kilka kilometrów od celu został porzucony i wrył się do połowy ziemi; teraz już zardzewiały i bezużyteczny, jedynie na szmelc, bo od wybuchu wojny nikt go już nie ruszał. Jak nas później informowano, to na całej przestrzeni leżały różne części maszyn, których dzięki zasypaniu śniegiem nie było widać.

Wesoło się zrobiło, bo już dobiegamy końca naszej podróży, lecz już też i konie ledwo sanie ciągną, bo ostatnie kilometry to ciągle pod górę, my zaś widząc bydłęta pomęczone, doszliśmy pieszo. Było już ciemno, a w domostwie zapalone było elektryczne światło. Oto 240 km od toru kolejowego, w Syberii, jest elektryczność! O tak, bo to nie byle jakie urządzenie.

Jesteśmy w trójkącie gór Andriejewski Rudnik, na prawo góra Ararat, (ta była najwyższa, a nazwę otrzymała od miejscowej ludności), a inna bez nazwy.

Dzięki Ci Boże, że już na miejscu, aby sobie dobrze odpocząć po 10-cio dniowej podróży.

Wskazano nam nasze miejsce – budynek. Pan Inżynier szedł z żoną i resztą [obsługi] do swych domów. Znać, że jest tu fabryka, bo słysząc buchanie maszyny napędowej do turbiny, która wszystko pędziła dając również światło dla oświetlenia całości. Idziemy ze sto kroków, i po schodach do góry i już stajemy w dużym domu, gdzie było kilkunastu jeńców wojennych Niemców i Węgrów. Serwus Kamraty, głowy się podnoszą, [patrzą], kto wchodzi, lecz jak na ludzi rozumnych [przystało], nic nowego, [jeńcy], bo wojna ich wszędzie zagnała. Radzi byli się czegoś [nowego] dowiedzieć, i razem zapalić, jeść na razie mieli, nuże rozmowa i wesołość i w końcu dobry spoczynek na pryczy pod płaszczem; jest nawet dość ciepło, choć na dworze mróz sięga 35 stopni i śnieg ciągle sypie, a raczej dmie z otaczających gór, że rano nie ma już znaku śladu wczorajszej wędrowni.

Nazajutrz śpimy długo, bo jest sobota, a i dla nas po podróży święto. Podano nam herbaty jako gościom i odeszli, każdy do swych zajęć. Jedyne kucharz został, który krzątał się koło przygotowania obiadu dla nas wszystkich, aż ostatecznie przyszedł do nas zajrzeć Inżynier i nasz Pan. Oto z uśmiechem na twarzy, zaśnieżony, wchodzi do nas, cóż, podoba wam się? A jakże, toż [gdyby] psa puścić na ten huragan, to sobie polata, rad by jednak najprędzej wrócić i schronić się przed kurzawą.

Opowiada nam Inżynier i wskazuje gdzie, co jest, gdzie pracują jego pracownicy. Oto kopalnia złota w piasku i sztolniach, tłumaczy, lecz niewiele ma pojęcie o eksploatacji złota, aż w końcu pyta gdzie i do jakich prac każdy by chciał i podług jego siły i zdolności obrał sobie pracę. Czuliśmy w duszy, że nie ma to być fizyczne mordowanie się, to schronienie i ochrona życia polskich dzieci i tak też czuł Pan Inżynier, a więc co kto obrał, tam też mógł od poniedziałku rozpocząć swą pracę, a praca na dwie zmiany, aby wszyscy mogli pracować.

Dostała mi się praca, jako obeznanemu w górnictwie, praca w sztolni górnej na wysokości około 150 metrów, a więc bliżej nieba. Ładnie i pięknie to, lecz codziennie pięć się w górę 150 metrów na pochyłości 65-75%, było strasznie męczące, a dodatku śnieg, mróz oraz kurzawa, że tchu w piersiach nie stało, lecz zdrowym będąc z uciechą się szło, bo to coś nowego, a zazwyczaj koniecznie interesującego i nikt nie poganiał, robiło się swobodnie i bez naganiania przez kogokolwiek. Praca moja polegała na wykuwaniu dziur i [zakładaniu ładunków] do rozsadzania „porody”, czyli kamienia, w którym znajdują się żyły złota. Sztolnia długa na kilkaset metrów, [składała się] z długich ganków w różnych kierunkach – dla szukania pokładów dobrych i gorszych. Po zrobieniu świdrem stałowym dziury na kilka stóp, rozsadzano dynamitem „porodę” i wywożono kolejką linową rozkruszony materiał do fabryki. Tam mielono bryły „porody” kamieniami o objętości kilkumetrowej, zaś wodą spływającą ze szczytów gór, splukiwany miał mąki szedł do rynny, w której zainstalowane płyty z amalgamem [amalgamatem], wstrzymywały złoto jak magnes; pozostałe kruszce jak żelazo, kuprowina i srebro szły w odpływie, nie zbierano ich wcale, li tylko miał rynnowy wywożono i sypano na osobną górę, gdyż i tam znajdował się pewien procent złota, który jeszcze był wart przeróbki wydobywczej. Reszta innych kruszców, choć warta eksploatacji, zostawała pominięta i nieeksploatowana. „Kamień porodowy” złota, podobny do białego marmuru, jest twardy jak cała skała, piaskowiec, który nie wymaga wiele budulca (obudowywania) gdyż jest mocny, nie kruszeje, nie załamuje się i nie ma obawy o niebezpieczeństwo życia pracujących tam ludzi. Praca

bardzo interesująca, gdyż każda bryłka świeci różnymi odcieniami, a osobiwie już żyłki ciągniętego złota jak druciki [...], podobne do żółtka jajka, oto złoto. Pięknie nosi się na palcu lub w broszy, lecz jak wiele wymaga pracy i trudu nim jest czyste, wyrobione i ogładzone.

Teraz, jak wielkie są bryłki złota: oto od niedostrzegalnej dla oka ludzkiego nikłości, do 3/4 funta. Jak mi jeden ze starych tam górników tłumaczył, że przed wojną światową, gdy były brane dobre pokłady, natrafiono bryłę o wadze 1-go funta, w której było trzy ćwierci (czwarte) funta złota. Chęć pozyskania złota była chciwa i łakoma, więc można sobie wyobrazić, na jakie pomysły tam wpadano. Że nic tam nie uciułasz jedynie widzisz [bogactwo] wiadomo, ale i mieć szczęście [i znaleźć] to też wielka rzecz. Opowiada mi ów stary i spracowany tam tubylec, iż robiono otwory w trzonkach u młotków, kijach i tam chowano, a niekiedy nawet połykano złoto, albo wynoszono i chowano, lecz to tylko zero, bo aby zdobyć tyle, by mieć na całe życie bez trosk, trzeba poddać się morderczej pracy, a niekiedy [można spotkać] śmierć.

Na pewno będzie ciekawe ile złota tam wydobywano. Oto dla celów, których tu nie wymienię, brano najgorsze pokłady i wydobywano od 20-tu do 30-tu funtów miesięcznie. To jest złoto z wnętrza gór, czyli sztolni.

Jeszcze jedno muszę podnieść, jak człowiek swym umysłem musi być ostrożny w bezpiecznym miejscu, aby one nie stało się niebezpieczeństwem [dla] jego zdrowia, a niekiedy i życia. Tak jak z bronią palną, tak i z materiałami wybuchowymi trzeba zachować największą ostrożność, aby się ustrzec. Oto wypadek, którego byłem świadkiem. Ponieważ nachodziła woda, więc trzeba było dobrze, ów otwór wykuty dla rozsadzenia wyczyścić, aby patrony tam wkładane dobrze były ze sobą złączone, dla dobrego działania i eksplozji całości ładunku. Stało się coś, co często w górnictwie wprowadza w błąd pracowników danej pracy. Otóż tak i tam się stało, dwie patrony były włożone, eksplozowała tylko jedna, druga stała się niebezpieczna, a któż mógł wiedzieć o tym, a osobiwie już człowiek niefachowy. Więc po owym wybuchu, wiercił otwór ukośnie w stronę końca pierwszego [otworu] i kiedy doszedł do pozostałej tam patrony nastąpił wybuch tuż przed nim. Na skutek, który spowodował, utracił oboje oczu i cały poraniony został odpryskami. Został kaleką na całe życie. Był to jeden z tubylców tam zatrudniony. To szczęście, iż była to jedna patrona dynamitu, a gdyby było więcej to groziła mu śmierć niechybna.

Dnie upływają, nowych zjawisk i wrażeń pełno. Oto raz wchodząc do góry, zauważyłem, iż pół świata gore. Cóż się stało, czy cała okolica płonie pożarem? Nieznana mi była zorza polarna, tam ją widziałem kilkakrotnie w końcu marca i początkach kwietnia.

Jeszcze jest tzw. „złoto piaskowe”, które znajduje się na powierzchni, w piasku, będzie ono tak samo eksploatowane, lecz już bez mielenia, gdyż jest czyste. Widziałem okazy wielkości [ziarna] prosa i jak groszek duże, czyściutkie, mieni się, już wyszlifowała je woda i piasek toczony strugami z gór.

Pracujemy spokojnie i staramy się by żyć i umilić sobie ten czas, bo nie wiadomo, co będzie. Często trzeba było chodzić po opał, który czekał na zbiór na zboczach gór, a zima tu długa, do maja lub początku czerwca; ale jak się rozpocznie odwilż około połowy maja, to zwariować można – wieczny szum staczających się strumyków tak, że trudno się zrozumieć, gdy się rozmawia wspólnie. Ginie śnieg, a tuż pod nim już białego kwiecica pełno, a zaraz zieleń

w pełnym toku. Najtrudniejsza to aprowizacja, wszak w bliskości miast i siół brak żywności, a cóż dopiero w takiej odległości. Kawa tu nieznana, herbaty nie ma, mąka skąpa, lecz jakoś zawczasu pomyślał o tym Pan Inżynier i tak: za herbatę służyła „czaga”, czyli grzyb z brzozy, zaś za omastę chleba ze solą, dziki czosnek, którego tu pełno. Zwierzyny jakkolwiek tak daleko to i nie ma, a ryby są, lecz siecią łowić ich nie można, gdyż jeziora są tak zatarasowane korzeniami drzew potopowych (potopionych), że sieci się porwą. Można upolować łosia lub niedźwiedzia, lecz i to trudno, gdyż zwierzę żyje daleko od osiedli ludzkich li tylko czasem zabłądzi.

Nastają dekrety i rozporządzenia władz bolszewickich. „Nie wolno nikomu miejsca zmieniać, trwa spis ludności” – to rozporządzenie [ważne] do odwołania, kiedy ono nastąpi nie wiadomo. Częste są przyjazdy władz i kontrola, naginanie do szeregów bolszewickich, jako ochotników dla walk w oddali, czyli pograniczu, częste zebrania i chwalby, czego to już nie zrobiono w tak krótkim czasie itd. Nakazano [nam] remontowanie dróg w dni niedzielne, jako dobrowolne i bezpłatne zaś, kto się nie podporządkował rozkazowi, podejrzany był o kontrę. Wszystko to miało iść (działać) jak pamperek uwiązany na sznurku i pociągany fika rękami i nogami. Oto sowiecka władza dla „wsiech proletariuszy”, nie ma „wojenno plennych”, istnieje „sobak”, „swołocz białogwardziejcy”.

Chcąc od ludzi coś mieć, trzeba też dać, jeżeli się nie daje, a raczej za wiele zabiera, to [wszystko] na psy schodzi i tak też było w rzeczywistości. Cały zapal jak się podniósł, tak też i zgasł na miejscu.

Rozpoczął się czas pełnej wiosny, dookoła zieleń i kwiaty, a wdychało się czystego powietrza górskiego ile się zmieściło, zwiedzało się szczyty gór, spoglądało się na zachód ku Ojczyźnie, ku niebu czy czasem nie zlituje się Bóg i nie ześle jakiegoś zabłąkanego lotnika. Ale nic prócz skrzydlatych ptaków, komarów i małych żółtych uprzykrzonych muszek i natrętów, których nie można się opędzić, pełno też szczurów i chomików, jaszczurów i robactwa. Dojrzeła pierwszy owoc smrody, dzikie, czarne świętojanki, krzewów bardzo wiele od podnóża do szczytów gór, a duże, a wiele, jak oblepione. Trafiają się czerwone, lecz mało, a to nasza rozkosz, bo do chlebusia to dobre, jak marmolada i długo trwa zbiór, bo przecież ich nikt nie rusza prócz ptaków i może niedźwiedzi, których tu mało się widzi; ale prawda raz się uśmiełem, jaki to leniuch z niedźwiedzia. Pan M. [mówi]: zobaczymy czy on też uciekać umie, nuże go na muszkę, ale on daleko, to trudno, jak tylko posłyszał huk i syk koło siebie, to w mig był u szczytu obserwując potem na czatach czy czasem nie obława. Obserwując go lornetką dokładnie się widziało jak sobie objadał jagody i co chwila unosząc [łeb] w górę, śledził czy wszystko spokojne.

[Wspomnę] epizod, jaki mi opowiadał jeden z tubylców, iż jeszcze przed wojną był tu jeden sztygar dla prowadzenia robót odkrywczych. Pewnego razu wyszedł też sobie i nie myśląc nic złego, posunął się dość daleko rozglądając się po górach i wyszukując próbnymi miejsc [do] rozpoczęcia [kopania] sztolni. Tak idąc zabrnął w oddaleniu o kilka kilometrów. Zachciało mu się pić, a nuże są jagody, poczyną gasić pragnienie nie uważając. Wtem spostrzeżenie olbrzymiego niedźwiedzia w oddali 60-ciu kroków, również raczącego się jagodami. Nie mając żadnej broni przy sobie, z trwogi podniosła mu się czapka na głowie, co tu robić, myśli, uciekać – za daleko, wołać o pomoc – zdradzi się, a może niedźwiedź go nie widzi? Postanawia przeczekać, co się stanie, czy niedźwiedź

i on się nie rozejdą? Koniecznie niedźwiedź go nie widział, ale co gorsze, ponieważ nosek miał dobry, więc idzie od krzaka do krzaka jagód i właśnie zbliża się w tę stronę, owe leniwe zwierzę. Co tu robić, myśli, aby tylko nie uciekać i nie zdradzić się, bo inaczej już koniec, bo mnie zdusi ten potwór. Był tam ogromnych rozmiarów krzew, a w środku stała Matka Cedra ze swymi wartościowymi i bardzo pożywnymi nasionami. Chwila kulminacyjnego wyczekiwania i oto staje on na dwóch łapach i poczyną obwąchiwać, a potem oblizywać sobie łapy i buzię i wolnym krokiem idzie „na postuche” z drugiej strony krzewu. Dychać, mówił sztygar, już nie umiałem, lecz cóż robić, nie dać się tylko widzieć (zauważyć), lecz [to]stworzenie, co robi? Wącha i obchodzi dookoła, leniwie i nic nie znajdując odchodzi i zrywa krzewy wokół i znosi obok Cedry; ten drży ze strachu, co to będzie? A on naznosił stos tego, znów leniwie obchodzi dookoła, stanął, popatrzył do góry na Cedre, oblizując się miał niby zamiar na owym chruście położyć się i odpoczywać. Ale wtem dzieje się rzecz ciekawa, otóż owe nasiona Cedry są bardzo pożywne i istnieje pewien ptak, który jest bardzo zazdrosny o oberwanie tych szyszek z nasieniem, gdyż jest to jego pokarm, a i rezerwuar zimowy. Skąd się wzięła owa cedrówka, bo tak zwany jest ten ptak, nie wie, bo ich w pobliżu nie widział; i odleciała. Za chwilę przylatuje ich kilkanaście sztuk, i nuże takie awantury robią, że leniuchowi naprzykrzyło się, dalej w podróż; przeciągnął się polizał łapy i odszedł sobie z powagą nawet się nie obejrzawszy, a i wrzask ptaków się uspokoił, sztygar zaś odechnął i wrócił do domu opowiadając swą przygodę.

Cedra jest to rodzaj drzewa iglastego, podobny wyglądem do sosny, jądra w szyszkach są wielkości słonecznikowego nasienia. Nasionami z kilku takich szyszek, można się nasycić, gdyż pół funta nasienia cedrowego, ma wartość [kaloryczną] pół funta mięsa, nic też dziwnego, że i ludność jest na nie pożądliva, bo smak nie ulega [jakości] laskowego orzecha, jedynie trąci żywicą, jeżeli się naraz dużo ich używa. Cedrówka, to ptak nieco mniejszy od gołębia szeroko polnego. Jeżeli ktoś chce nabrać owych szyszek, to musi to zaraz uczynić, gdyż pozostawienie oberwanych do następnego dnia, jest stracone. Może by kto powiedział, że żadnego ptaka tam nie widział, ale one go widziały i nie ujdzie to ich spostrzeżeniu. Jak zaznaczyłem, iż Cedry są rzadko spotykane, ale są, lecz z bardzo gładką [korą] i wysokie z obszernymi koronami, zatem i trudne do zrywania [szyszek]. Łatwo zaś przyjdzie to cedrówce do zbiorów swej zdobyczy i usunięcia (ukrycia) jako zapasowego pokarmu [na zimę] tak ulubionego.

W pobliżu, znajduje się tuż przy drodze cmentarz maleńki, groby są poniszczone, krzyże zbutwiałe, leżą tam biedni, opuszczeni, bo chowani bez kapłana katolickiego i przygotowania na drogę ostateczną. Z trudnych do wyczytania napisów wynika, że spoczywają tam Rosjanie, ale jest i kilka nazwisk polskich, a może są to zesłani na Sybir Polacy; pomyślałem sobie niech wam i ta obca ziemia lekką będzie, i niech im Bóg przewinień nie pamięta. Smutno zrobiło mi się na duszy; gdybyś tak musiał tu legnąć nikt by o tobie nie pamiętał, bo zdaje mi się rzadkością tam wstępuje noga ludzka.

Jak to się mówi, być w Rzymie, a nie widzieć Papieża? Więc postanowiłem odwiedzić okoliczne góry. Jest góra Ararat i Śnieżna, z której śnieg przez całe lato nie stopnieje, a raczej może od wieków tam leży. Raz w święto wybrałem się na Ararat, jest to góra w tej okolicy najwyższa, góra z zastygłym kraterem, szedłem na nią od 10-tej do 2-giej po południu. Lej krateru mierzy ze 100

metrów kwadratowych, na kilka metrów wklęsły. W kraterze leżą ogromne bloki kamienne we wszystkich kierunkach i nie ma tam żadnej roślinności. Zamierzałem wejść w krater, lecz ledwo kilka postąpiłem kroków, rozległ się świst, pisk robactwa czy szcurów. Byłem sam jeden, więc z obawy cofnąłem się. Wracając wszedłem na górę Śnieżną, a że było gorąco, pomyślałem, że się ochłodzę przy obserwacji góry. Na wierzchołku nie ma śniegu, lecz jest w bliskości szczytu w zagłębieniu i od północy. Leżący śnieg ma kilka metrów grubości, słońce go nie dosięga nawet w największym żarze dnia i nie może też stopnieć, gdyż brzeg jest dość wysoki i nigdy roztopiona woda wszystka nie odpływa. Dlatego też przez krótkie lato śnieg nie stopnieje. Zdjęty ciekawością grubości śniegu, szukam żerdzi i wybrałem wybielony, suchy cztero metrowy świerk. Wbiłem go zaledwie dwa i pół metra, lecz więcej nie próbowałem, gdyż śnieg był za mocno zbity, a raczej może tyle tylko stopniał, gdyż chodzić można było po nim jak po ziemi; ochłodziłem się, odpocząłem i wracam. Ślady ludzkie są wszędzie, gdyż gdzie się odwrócić leżą rozkuwane kamienie po szukaniu złota; wielu, wielu musiało już tu przechodzić i oglądać one wyżyny. Obserwując tak wszystkie strony świata, same szczyty gór, gdzieś w oddali na południu białe, to zapewne i śnieżne. Również ciekawy jest urok górski, osobliwie strona południowo zachodnia, jedna góra ma barwę zieloną i czerwoną, sosna i czerwono kwitnąca roślina nieomal do szczytów, miejscami inna, cała zielona, bo młody porost brzozy zagaja kwiecie, które jest żółte, inna upstrzona zielenią młodej brzozy, czerwonego kwiatu, to znów sam biały kwiat, albo czysta łysina góry i zeschniętego drzewa tak, że siew kwiatu i drzew stale się przerzuca i rozrasta bujnie. W dolinach krzewy przeróżne małe polanki, małe strumyki, a trawy i zielska różne [wysokie] na dwa metry; skoro ze ścieżyny zszedłby [człowiek] o parę kroków, a się położył, to armia przejdzie i go nie ujrzy.

Kiedy to swego czasu władze tak nachodziły i odbierały resztę dobytku rolnikom, to [oni] puciekali w góry, tam żyli tym co mieli, a dorywczo robiono [w polu] i sprzątano [plony]; była to walka o [swój] byt. Wszak jak człowiek pracuje chciałby, aby plon jego pracy jemu pozostał. Złe zarządzanie zrobiło z przyjaciół wrogów na życie i śmierć. Tak było tutaj, kiedy robiono poszukiwania, to przepuszczono oddziały, a z tyłu je wystrzelano i musiały z gór uciekać, a miejscowi przyjaciele z obawy rezygnowali z pomocy, albo we dnie pracowano, a nocą się zbrojono i napadając oddziały „czerezwyczajek” bolszewickich wycinano je w pień. Taka to walka wypadowa trwała w oddali stale i na każdym kroku, gdzie się tylko nadarzyła chwila po temu.

Pracowałem tak dość długi czas, droga do pracy stała się dla mnie przykra w swych skutkach. Często wyczuwałem, że coś z moim sercem jest nie w porządku, częste ataki i ściśnienia coraz to groźniejsze [spowodowały], że byłem zmuszony prosić mego chlebodawcę Pana Inżyniera Osz. o danie mi pracy na równinie, co też chętnie uczynił, gdy mu o tym oznajmiłem. Uczułem polepszenie, lecz był to już miesiąc sierpień 1920 roku i strasznie mną owładnęła tęsknota za Ojczyzną, wszak już dobiegło 6 lat jak wyjechałem na wojnę i odtąd już nie widziałem ani rodziny, ani przez ostatnie lata żadnej wiadomości. Tak też było ze wszystkimi, którzy tam się znajdowali.

Wysyłałiśmy często kogoś do Aczyńska i Krasnojarska, taka podróż trwała czasem i miesiąc tam i z powrotem. Dostawaliśmy też wiadomości, co się święci i jak wyglądają sprawy, lecz [teraz] wędrować nie można, bo nie ma

odwołania rozporządzenia rządu, jak to powyżej już zaznaczyłem. Zima się zbliża, a tu nadziei nie widać, bo wprawdzie (przeważnie) już po połowie września można oczekiwać opadów śnieżnych. Toż dowiadujemy się przez częstych delegatów, czegoś o wojnie bolszewicko-polskiej, zaczyna się niepokój, [mamy] tu siedzieć, a tam kraj ma się krwawić, bolało to bardzo, lecz cóż zrobić, nie ma skrzydeł, aby pofrunąć do Ojczyzny. Dowiadujemy się o ogromie prześladowań znajdujących się tam rodzin polskich i okropnych aresztowaniach, no jednym słowem piekło się rozlało. Zdawało mi się, że nie przeżyję tego, myślę tylko o wyjeździe.

Przyjeżdża jeden z wysłanników i twierdzi, iż mają stawić się w Aczyńsku jeńcy wojenni z Niemiec tzw. Reichsdeutsch, to też każdy, co umiał po niemiecku, brał się i gotował do podróży. Wprawdzie nasz delegat już nie wrócił, lecz wysłał do nas postańca, który rad był temu, bo się tu schronił.

Ten zorganizowany wywóz z Syberii niemieckich jeńców wojennych, powstał dzięki staraniom Niemców w Amerykańskim Czerwonym Krzyżu. Bolszewicy zezwolili jeńcom tym na wyjazd, ale był to czas ograniczony, gdyż gotowano się do walki z wojskami Siemionowa.

Teraz kwestia staje się okropna, gdyż Inżynierowi nie wolno zwalniać ludzi zdrowych, więc my wszyscy „chorzy” i musimy zgłosić się na badania przed lekarza w Aczyńsku. Pan Inżynier rozumiejąc, o co chodzi, nie robił nam trudności, a wręcz nam dopomógł w zaprowiantowaniu i podwodach. Byliśmy lubiani to też każdy dopomagał nam jak mógł, nie żałując niczego.

Miałem jeszcze nieco z bielizny i z ubrania, którego wcale nie nosiłem, chcąc pozbyć się balastu zbytecznego oddałem, otrzymałem za to krowę z cielęciami, 35 tysięcy rubli i 20 funtów sucharów na drogę, a to najważniejsze być przygotowanym na podróż nie wiadomo jak długo trwającą. Cielę zabito i był z niego obiad pożegnalny, zaś krowę podarowałem pozostającym jeńcom węgierskim.

Pożegnawszy się serdecznie wyjeżdżaliśmy w początkach września 1920 roku. Był to czas ostatnich zbiorów, trudne były podwody, gdyż konie były w dalekiej pracy na roli, szło się pieszo [głównie], a jechało czasem.

Około 14-go września byliśmy już koło Aczyńska; szło nas 24-ech ludzi, Niemców i Polaków razem. Kiedy przechodziliśmy tam skraw[ek] górski, natrafiliśmy na pokład węgla, który wychodził na powierzchnię ziemi, wkoło rozkopisko kiedyś rozpoczęte przez ludność miejscową, wybierano [z niego], lecz teraz zaniechano. Grubość pokładu na powierzchni wynosiła 5-6 stóp. Oto skarby, których nie ruszono jeszcze miejscami. Także i kopalnie w Anżerce, tzw. „anżerskie” stoją, gdyż zbudowali je Angliczanie więc przy rozruchach rewolucyjnych poniszczono windy i części maszyn pozabierano, aby uniemożliwić eksploatację tego tak ważnego kruszcu opałowego.

Jesteśmy w Aczyńsku, nazywa się, że pociąg jest gotowy i wnet będziemy odjeżdżać. Wre gorąca praca badań, stwierdzeń i zapisów; badania trwają całymi dniami, trzeba było opowiadać gdzie się ma rodzinę, jak się nazywa, miejscowość jaka, rodzina itd. Pełno szpiegów, podsłuchiowaczy różnych narodowości, Węgrów, Niemców, Żydów, którzy ciągle stawiali nowe i zawiłe pytania; szło mi gładko lecz byli tacy, którzy się płatali, nie znając miejscowości kwestionowano ich pewność, odsyłano, pouczaaliśmy ich jak było możliwe, no i w końcu sprawa załatwiona, mamy iść na dworzec, a tu naraz zmiana, odjazd

odłożono do następnego dnia i tak to trwało kilka dni, chodziliśmy na dworzec i z powrotem. Nagle wychodzi rozporządzenie, że każdy ma wracać na swe miejsce pracy, gdyż pociągu nie ma i nie odjedziemy do czasu [nowego] rozporządzenia. Takie to różne stawiali przeszkody nie chcąc pozwolić na wywiezienie Niemców. Komisja Czerwonego Krzyża jednak działała i skrzętnie przeprowadzała rejestrację.

KONSULAT GENERALNY Rzeczypospolitej Polskiej na Syberię	
Wydany przez De livré par	<i>Consulat Général de Pologne en Sibirie</i>
Nazwisko i imię właściciela paszportu Nom et prénom du propriétaire du passeport	<i>Andrzej Niedziela</i>
Stan rodzinny Position de famille	<i>żonaty</i> <i>marie</i>
Zatrudnienie Profession	<i>rolnik</i> <i>cultivateur</i>
Miejsce pochodzenia Lieu d'origine	<i>M. Pownischie</i>
Miejsce zamieszkania Domicile	<i>Charbin - Mandchourie</i> <i>Charbine - Mandchourie</i>

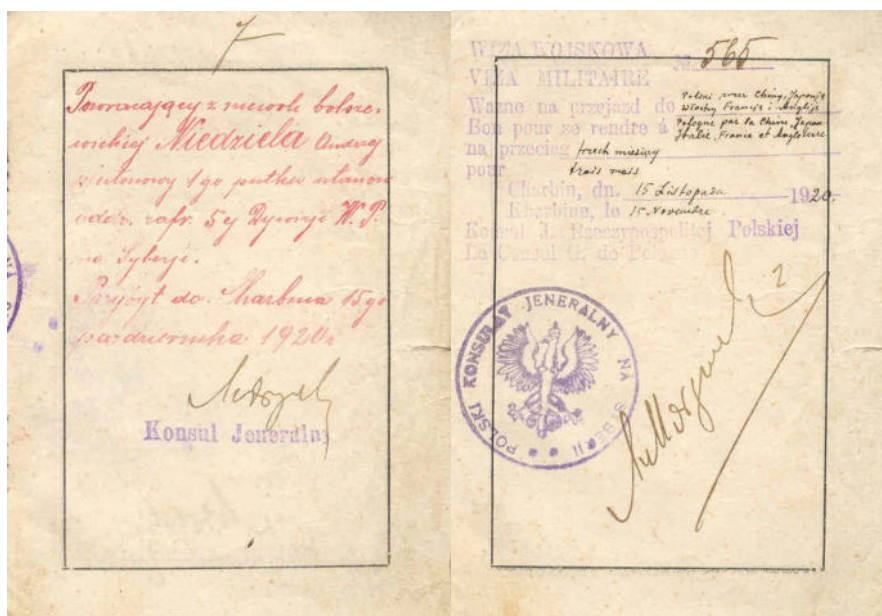
RYSOPIS WŁAŚCICIELA: SIGNALEMENT DU PORTEUR:	
Rok urodzenia Date de naissance	<i>28/11/1883</i>
Wzrost Stature	<i>średni - moyen</i>
Twarz Visage	<i>czarna - noire</i>
Włosy Cheveux	<i>czarna - noirs</i>
Oczy Yeux	<i>niebieskie - gris</i>
Znaki szczególne Distinctions spec.	
Mówi językami Parle	<i>L</i>
Własnoręczny podpis posiadacza Signature du porteur	
<i>Andrzej Niedziela</i>	

Paszport Andrzeja Niedzieli Nr 582 wystawiony przez Konsulat Generalny Rzeczypospolitej Polskiej na Syberię w Harbinie 10 listopada 1920 r.

W Aczyńsku było około setki ludzi, lecz nie wszyscy odjechali pierwszym transportem. Na pierwszy transport przydzielono 43-ch jeńców, resztę na drugi. Ogłaszają komunikat, że pociąg jedzie i mamy iść na dworzec. Kiedy po całodziennym czekaniu pociąg nie przybył, kazano nam iść z powrotem; idziemy smutni lecz przechodząc koło komendantury, wybiega Węgier uradowany i woła: „Kamerad, heute fahrt nach Haus”, śmiejemy się z niego, a on pokazuje nam pismo i twierdzi to samo, że „heute fahrt nach Haus”. Zawracamy i idziemy z powrotem w niedowierzaniu, czekamy znów całą noc i następny dzień, aż dopiero o pół do jedenastej wieczór nadjeżdża pociąg towarowy i tym pociągiem wieszając się gdzie było można, jedziemy do Krasnojarska, zimno i głodno, bo nawet wrzątku na stacjach nie było można dostać. Lecz czym jest głód i chłód na wspomnienie jazdy do kraju.

Już dowiedzieliśmy się czegoś od konduktorów, że jest wojna między Polską i bolszewią. Jak tam się walki toczą nie wiedzą, a reszty można się domyślać bo mają obawy wypowiedzenia czegoś nieostrożnego. Wojska, „czerezwyczajek” i szpiegów pełno na każdym przystanku. Jadąc natrafiłem na kon-

duktora Polaka, który mi mówił o walkach w Polsce, że bolszewicy już się bardzo daleko posunęli, że w Krasnojarsku i innych miastach już były mapy pokazujące, iż wojska ich stoją pod Warszawą, że były plakaty głoszące, że „zawtra utrom budiem użynat w Warszawu”, to znaczyło, że „jutro rano będziemy robić śniadanie w Warszawie” i że te mapy i karty długo pokazywano, później znikły i ich więcej nie ma. Twierdził, że tam coś się stało, o czym nie mówi się głośno i nie pisze. Mówiliśmy sobie szczerze, bo widać było, że kochał też Polskę, bo czasem aż mu się łzy potoczyły; tuż, przed Krasnojarskiem pożegnał mnie i poczęstował machorką. Znikł, nie widziałem go więcej; chcąc się dowiedzieć jego godność obserwowałem, ale nadaremnie.



Paszport Andrzeja Niedzieli oraz wiza wojskowa nr 565
ważna na okres trzech miesięcy, od 15 listopada 1920 r. na powrót do Polski
przez Chiny, Japonię Włochy, Francję i Anglię

Ostatecznie dojechaliśmy do Krasnojarska; zaledwie pociąg stanął, już [pędzimy] galopem do drugiego pociągu, do dwóch wagonów wcześniej przy-czepionych; tam już czekano na nas od dwóch dni. Parowóz daje sygnał i od-jeżdżamy, ale od wagonu do wagonu chodzi kontrola wojskowa i stwierdza, legitymuje i tak przebiega cała podróż do samego Irkucka, na każdej stacji roz-kazują wychodzić z wagonów, przeprowadzają badanie i przeglądanie wago-nów, oglądano[dokumenty] na wszystkie strony, że człowiek ciągle drżał, gdy zaś kogoś schwytano, co też miało miejsce, to odprowadzano jak bandytę z nałożonymi bagnetami.

Irkuck to stacja bajkalska, obok Bajkał, wielkie jezioro 100 km długie, do 50 km szerokie; (prosty dojazd koleją do drugiego brzegu, także dojazd prosto do kolei 25 km), jednakowoż objazd dookoła, to dzień drogi przez 34 tunele ciągnące się nad brzegiem jeziora, czasami na kilkunastu metrach wysokości na

krawędzi brzegu. Dojeżdżając brzegu jeziora widać jak leży na dnie zatopiony statek z roku 1905-go; jak nas informowano, w czasie wojny rosyjsko – japońskiej, aby skrócić objazd tzw. „na prostuche”, wybudowano kolej prosto na lodzie na przeciwległy brzeg i złączono dla spiesniejszego przetransportowania wojsk rosyjskich, odtąd leży ten statek nieruszany. Ponieważ zima tu najsroższa, to i jezioro grubo zamarza, więc było to możliwe. Ale była przeszkoda, bo tor był pojedynczy i trzeba było czekać, aż dwa pociągi przejadą, gdyż tu właśnie mogły się mijać. Tak, więc jeżdżono „na prostuche”, aż się lód od spodu skruszył, gdy puszczono 2 pociągi [jednocześnie], pociągi zatoniły całkiem, a i wojnę z Japonią przegrano. Pod wieczór byliśmy już na przeciwległym brzegu. Muszę dorzucić, że Bajkał z brzegu był na 5-6 metrów głęboki, a na spodzie [było] widać pokład białego marmuru. Woda bardzo czysta, że dno widać całkiem dobrze.

Dojeżdżamy buforu, czyli pogranicza od strony Rosji, do miasta tegoż „państwa buforowego” Wierchnieudinsk (od 1923 r. nazywa się Ułan Ude) i tam [są] bolszewicy, jeno w nieco innej formie; przesiadamy do innego pociągu, jedziemy aż do stacji Gongota, jako granicy buforu.

Tutaj jest już pociąg mandżurski, przesiadamy się by jechać na wschód do Mandżurii. Konieczne znów rewizja, [ale chińska] szukanie ulotek, pism, pytają czy pomiędzy nami nie ma agitatorów bolszewickich, dopiero po skończonym przeglądzie oficer chiński zezwala na wjazd dalej. Prawdziwie wolnymi poczuliliśmy się od [miasta] Czyta, tu można było kupić białego chleba, napić się herbaty, to też każdy z tego korzystał, lecz bardzo ostrożnie, gdyż nasze żołądki nie były zwyczajne, trzeba było ostrożności, a już osobliwie z mięsnymi potrawami, których już tu nie brakowało. Tu rozdał też Czerwony Krzyż wszystko, co było każdemu potrzebne, było tu wiele skrzyń z rzeczami i każdy mógł się przyzwoicie od stóp do głów. Natomiast w Mandżurii stał nasz Sanitarny Pociąg, by go każdy widział jak tu pojedzie i przypomniał sobie, że tu jest już wolność.

Zrobiło mi się mokro na nosie, na to wspomnienie, gdy ujrzałem oficera, który tu po to pełnił służbę, by dalej kierować Polakami.

Zabrałem swój tłumoczek, pożegnałem Niemców i trzecią klasą pociągu odjechałem do Charbina, a ze mną 34 wojaków, reszta jechała aż do Charbina z Niemcami i zdaje się po tygodniu dojechali, a było nas razem 84 z V-tej Syberyjskiej Dywizji. Jechało tu wielu Polaków, lecz bojąc się wojny polsko-bolszewickiej, o której tam dokładnie nic nie wiedziano, woleli jechać z Niemcami. Transport ich jechał na Władywostok.

Podróż [moja] trwała od początku września, a 16-go października 1920r. znalazłem się w Charbinie. Przyjechaliśmy szczęśliwie, ale ponieważ nie byli to jeszcze wszyscy jeńcy, długo czekaliśmy spodziewając się przyjazdu następnych pociągów. Lecz stało się inaczej, gdyż następny pociąg już nie dotarł do mety, bo rozpoczęły się walki, a on został w środku; ludzie uciekali z pociągu i jedni dostali się w gradzie kul na wschód, inni zostali cofnięci, a dużo legło. Tak zakończyła się ewakuacja, w której to dużo Polaków przedostało się na Daleki Wschód. Ostateczny rezultat był taki, iż 84-ech dotarło do Charbina.*

* W tekście autora wspomnień, pisownia „Charbin” zgodna z dawniejszą pisownią. Obecnie obowiązuje nazwa Harbin.

DANUTA SIWIEC

WOŁYŃSKA LEKCJA HISTORII I TOLERANCJI

Nad ranem zjawili się w tysiącach polskich domów. Załomotali kolbami. Dali kilka minut na spakowanie dobytku i popędzili na Wschód. Daleko na Wschód. Aż na Syberię i do Kazachstanu. Tam zgotowano im piekło na ziemi. Cierpieli głód, zimno i poniżenie godności ludzkiej. Największą krzywdę uczyniono dzieciom, które były pozbawione wszystkiego, nawet matki, która zostawiła je na cały dzień głodne, a sama szła w syberyjską tajgę, czy też kazachstańskie stepy, wykonywać nikomu niepotrzebne prace. A dzieci zmarznięte i głodne (zmarło ich bardzo wiele), bez chleba i mleka czekały jej powrotu, czasami na próżno, bo często współtowarzysze niedoli uginając się pod ciężarem nieśli martwe ciało. Pamiętajmy też o tych bezimiennych zmarłych na wielostopniowym mrozie podczas transportu w bydłowych wagonach, wyrzucanych jak kawał drewna i o zmarłych na nieludzkiej ziemi z głodu i zimna. Ludzie ci nie mają grobów, dlatego też powinniśmy pamiętać o nich w modlitwie, bo jak mówi nasz wieszcz Adam Mickiewicz: „Jeśli zapomnę o nich Ty Boże zapomnij o mnie”. Zesłańcy w drodze na syberyjską katorgę ułożyli balladę, oto pierwsze jej słowa: „10 luty będziem pamiętali, przyszli sowieci myśmy jeszcze spali”. I my też pamiętajmy, bo to nasz moralny nakaz. Ksiądz prałat Zdzisław Peszkowski, kapelan Rodzin Katyńskich i Pomordowanych na Wschodzie prosił:

Niech 10 lutego w każdym polskim domu zapłonie wieczorem światełko na znak, że jesteśmy, pamiętamy i czuwamy. Przenieśmy się myślą na Jasną Górę i zabierzmy wszystkich naszych bliskich doświadczonych Golgotą Wschodu, na Apel Jasnogórski przywołajmy tych, którzy pozostali na zawsze na Dalekim Wschodzie. Ogarnijmy ich modlitwą. Przynieśmy Matce Bożej nasze przebaczenie, które jednak nie oznacza zapomnienia i tchórzliwego milczenia.

Nie będziemy głusi na ten Apel. Ta opowieść jest o tych, którzy ocalili. Często dzięki tym, którzy być może na rękach mieli krew naszych Rodaków. Bo życie na Kresach proste nie było.

Zaczęło się 17 września 1939 r.

Na Wołyń wkroczyli najpierw czołgiści, za nimi kawaleria, a na końcu przysła piechota. Czerwonarmiści byli bardzo biednie odziani, bardzo zmęczeni i uginający się pod ciężarem plecaka. Polacy nie okazywali najeźdźcom współczucia, nikt nie podał im nawet kubka wody, bo zaszczyt witania okupantów przypadł w udziale uradowanym Ukraińcom i Żydom.

Podhajce, w których mieszkaliśmy to wieś ukraińska, w której żyło kilkanaście polskich rodzin. Obok wsi był ukraiński chutor. Były tu lepianki

z gliny, kryte słomą i na niebiesko malowane (kute chaty). Jednym z mieszkańców był Wasyl, człowiek bardzo wesoły, dowcipny, bez którego nie obyły się żadne wesela, chrzciny, chętnie przez polskich sąsiadów zapraszany, zasiadał przy każdej okazji za biesiadnymi stołami w ich domach. Po wkroczeniu Rosjan różnie względem Polaków zachowywali się nasi sąsiedzi – Ukraińcy. Jedni nadal przyjaźnie, a inni, tak jak Wasyl, zmienili wobec nas swoje zapatrywania.

Dobrzy i źli

Należy też wspomnieć, że i wśród tych, którzy wtargnęli na nasz Wołyń, byli różni ludzie, podobnie jak i wśród naszych sąsiadów – Ukraińców. Dobrzy i źli, okrutni i spieszący Polakom z pomocą. Dziadzio wspominał o takim odbiegającym od wschodniej normy Rosjaninie. Pewnego wrześniowego dnia do wsi przyjechał młody, rosyjski oficer. Cały chutor (mieszkańcy) wyległ na jego spotkanie. Prowodyrem (przywódcą) był Wasyl, a zmiana „frontu” względem Polaków dziwiła nawet jego sąsiadów z chutoru. Wasyl uświadamiał chłopów, jak mają narzekać na Lachów (pogardliwa nazwa Polaków). Gdy któryś z sąsiadów odezwał się, że to nieprawda, usłyszał: „Nie ma prawdy jest sprawiedliwość”.

Podjechał gazik. Wyszedł kapitan, o stopień oparł nogę i zapytał, jak się tu ludziom żyło? Oczywiście z odpowiedzią pospieszył usłużny prowodyr: „Chodziłimy głodni, bosy, niedziani. Lachi nas hnytyły (Lachy nas uciskali). Jisty ne dawały (Jeść nie dawali)”. Młody kapitan lekko uśmiechając się, lustrował wzrokiem tak bardzo „uciskanych”, dobrze wyglądających i elegancko ubranych chłopów, którzy na spotkanie z takim gościem ubrali się odświętnie, co umknęło uwadze zacierzewanego Wasyla. Oficer patrząc na tłum odezwał się:

Och, biedni ludzie, rosyjskiemu oficerowi poskarżyć się przyszli. Tak, tak widzę macie buty giemzowe (giemza – bardzo dobry i drogi rodzaj skóry), jesteście ładnie ubrani i dobrze wyglądacie, gdy tak na was patrzę i skarg kłamliwych słucham, przyznaję, żeście biedni, ale tylko ... sercem i duchem.

Nikt nie spodziewał się takiego obrotu sprawy, a szczególnie Wasyl, który z tą sprawą łączył jakieś nadzieje na „poprawę swojej doli”. Po takiej riposcie kapitana, który jego narzekania puścił mimo uszu, opuścił Wasyl głowę i odszedł bez słowa, a z nim chutor cały.

A jak się zachował, gdy wrócił do domu? Już od progu krzyczał, aby żona zdejmowała ze ścian ikony (prawosławne obrazy święte). Na jej protest odpowiedział: „Nie szczekaj, teraz przyszły czasy inne, nareszcie swoboda, będzie tu republika nowa”. Powtórzywszy żonie swój nakaz, sam popędził na cmentarz i wyjął z mogiły ojca krzyż. Gdy w 1941 r. wkroczyli na Wołyń Niemcy, to czerwcową nocą znowu postawił krzyż na ojcowskim grobie.

Przyznać należy, że i Wasyl miał rację twierdząc, że prawda ze sprawiedliwością nie miały nic wspólnego.

Na skraju lasu, wśród pięknej przyrody stał ładny murowany domek. Mieszkał w nim drwał z żoną i gromadką dzieci. Gospodarz był bardzo pracowity i zaradny. Jego dom ukryty w leśnej gęstwinie był bardzo zadbane, a wewnątrz czysty i schludny, z pomalowaną na czerwono podłogą. A jak zachowali się Rosjanie, gdy przekroczyli próg domu? „Goście” oniemieli ze zdumienia, a oficer odezwał się: „Kakaja krasiwaja miebiel (jakie ładne meble). Na oknach

firany, o, podłoga malowana. Nie widzę zapiecka, nie śpicie na słomie”. Splunął, tfu! Dodał: „O, wy burżuje, nic was nie uratuje i na białeje niedwiedzi wam pora” („czas wam na Sybir”).



*

Bronisława, Danusia
i Antoni Bała

Pierwsze deportacje na Sybir rozpoczęły się 10 lutego 1940 roku. Mieszkający obok domu drwala sąsiad był świadkiem, jak to w mroźną, lutową noc, żołnierze NKWD upychali na furmankę gromadkę głośno płaczących dzieci i przerażonego drwala z żoną. Jak to wytłumaczyć? Za co? Dlaczego? Jakim prawem skazano i wywieziono wówczas na syberyjską katorgę szereg niewinnych ludzi, zarówno Polaków, jak i Ukraińców, a wszystkich „Bogu ducha winnych ludzi”. Podzielił ich los kuzyn mojej mamy Stanisław Grabowski (prawdopodobnie z Kostopola) winawaty? (winny?) Da! (Tak!), bo był wójtem. Wójt – zrozumiałe – burżuj, niech w tajdze pomarznie, to mu się po kułacku myśleć odechce. Nauczyciel? Też można wytłumaczyć, bo to inteligent, to ekskrement, jak uważali siepacze Berii, a przed zasiedleniem Wołyńskiej Ziemi nowymi grażdankami (obywatelami) należało ją oczyścić z wszelkich „nieczystości”. Listonosz? Też winowaty! Bo z „listową kulturą” ma do czynienia, ale co im zawinił kowal Sobieski, który podkuwał konie, kuł lemieszce, nie był bogaczem, a swoją mozolną pracą służył okolicznym gospodarzom? Albo ciężko pracujący robotnik leśny? A jak kwalifikowano na „darmową wycieczkę”.

To autentyczne zdarzenie przybrało taką formę. W miejscowej szkole urządzili sowieci punkt „rekrutacji” na syberyjską katorgę. Ustawionych w kolejce mieszkańców wsi zapisywano na listę.

Pewnego młodego chłopaka (nieznającego rosyjskiego) siedzący za stołem zapytał: „Kak twoja familja?” Zagadnięty zrozumiał, że chodzi o rodzinę, więc odpowiedział: „Dobrze się ma: ja, brat, tato...” Rosjanin krzyknął: „Ja pytam nazwiska i wsio”. Słyszac podawane nazwiska: Kowalski, Piotrowski, Jankowska swoim zwyczajem splunął. Tfu! I rzekł: „Wot swołocz polska (Ot dranie polscy). Niech wiedzą sąsiedzi, że jedzicie na białym miedwiedzi, tam będziecie dla Sajuzu pracować, żeby darmo w Polsce życia nie marnować”. Nikt nie był pewny, kiedy nocną porą załomocą kolbami w drzwi i wrzasną: „Skariej, skariej” (szybciej) i wywożą w nieznaną.

Bali się też o swoje rodziny i policjanci

A było to na Polesiu, też we wrześniu 39 roku. Wyruszył z Pińska autobus z rodzinami policjantów. Jechaliśmy przez kraj Poleszuków, pracowitego ludu przyzwyczajonego do ciężkiej pracy, żyjącego spokojnie i skromnie. Utrzymywali się oni z rybołówstwa i hodowli bydła.

Jechaliśmy poleskimi bezdrożami. W autobusie żony, dorosłe dzieci i matki policjantów i tylko jedna matka z dzieckiem – to byłam ja. Mój płacz do tego stopnia denerwował panie, że nawet zgodne były wyrzucić „bachora”, ale gdy szczęśliwie uniknęliśmy nieszczęścia (upadku w przepaść) całkowicie odmieniły swoje zapatrywania. Krążyłam z rąk do rąk, a kiedy oddano mnie mamie miałam zawieszonych kilkanaście łańcuszków z krzyżykami i medalikami. Jechaliśmy, a tu i głód już zaczął doskwierać. Panie ratując życie i bogactwo w walizkach zapomniały o ... zapasach żywności. W pewnej chwili milczący do tej pory kierowca wykrzyknął przerażonym głosem: „Napadną na nas chłopci z widłami”.

Moja mama opowiadała jaki lament podniósł się w autobusie, ale rzeczywistość było się czego bać. Na drodze stali Poleszucy uzbrojeni w różne rolnicze narzędzia, którymi nam wygrazali. Do stojącego autobusu weszło dwóch obdartusów. Jeden z nich wyciągnął rękę w kierunku półki z walizkami, ale nagle ją cofnął, bo oto zza fotela wysunęła się mała rączyna i usłyszano: „Jestem taka głodna”. Ukraińcy stali jak wryci: „O! Dytyna” (O! dziecko”). Podeszli do gromady, od której oderwało się kilku chłopów i gdzieś poszli. Przerazenie pasażerów nie zmalało. Po jakimś czasie do autobusu weszła większa liczba Poleszuków – przynieśli nam jedzenie. Któryś z nich podał mamie owinięty białym płótnem kawał słoniny ze słowami: „To dla dytyny” i dodał: „Jedźcie dalej paniusie spokojnie a dla małej dytyny szczęścia w życiu życzymy” (szczerze to były słowa, bo spełniały się w moim życiu). Poleszucy wyszli z autobusu, a gromada na drodze rozstała się na boki. Przerazenie ustąpiło miejsca niedowierzaniu, że jesteśmy żywi i wolni. Nawet kierowca siedział jak sparaliżowany. W pewnej chwili mężczyzna wstał i zwrócił się do pań: „Miłe panie, ci ludzie darowali nam życie a mogli nas zabić. Może by panie tym biednym ludziom coś ofiarowały?” Drugi raz nie trzeba było powtarzać. paniusie zdejmowały z półek walizki i coś z nich wyjmowały. Kierowca wyszedł z autobusu i jednego z Poleszuków poprosił o czapkę. Okazało się, że do jednej czapki nie zmieściły się wszystkie dary, poprosił o drugą. I tak to litościwi Poleszucy otrzymali dwie czapki wyrobów ze złota, a moja mama zo-

stawiła mi tylko jeden złoty łańcuszek z aniołkiem. Autobus ruszył. Poleszucy po obu stronach drogi kłaniali się nam do samej ziemi. Do celu dojechaliśmy szczęśliwie, a moja mama ze mną przeniosła się do swoich rodziców do Podhajec.

Mój Tata polski policjant też miał szczęście. Poleszucy odnosili się do stróża prawa z szacunkiem. Zaskarbił sobie uznanie tym, że szanował ludzi i nigdy nie zapomniał, że jest człowiekiem w służbie człowieka. Chłopi ukryli tatę na jednej z wyseppek, których pełno było wśród rozlewisk wodnych. Taką wysepkę zwaną oczeretem, a porastały ją szuwary, trzcina, tatarak. Nocą dobrzy ludzie dowozili mu czólnem pożywienie, ale gdy chłód rozpoczął swoje królowanie, polski policjant serdecznie podziękowawszy swoim wybawcom przeniósł się na Wołyń w pobliże domu moich dziadków. Ukrywał się wszędzie: w lesie, u wujka leśniczego, w zabudowaniach a nawet w domu.

To co przedstawię teraz jest po prostu nie do uwierzenia a jednak zdarzyło się naprawdę, można to kojarzyć z cudem. Pewnego razu w listopadową noc Tata wychodząc z lasu spotkał na swojej drodze nieznanego Rosjanina, którego zaprosił do domu dziadków. Okazało się, że jest to wysokiej rangi enkawudzista. I ten oto człowiek, pochodzący z Petersburga, będący podpułkownikiem, bardzo Tacie pomógł. Dzięki prostym ludziom, ukraińskim Poleszucum i przedstawicielowi najeźdźców, mój Tata uniknął Katynia, a nasza kułacko-policyjna rodzina, chyba też dzięki Aleksandrowi, nie została wywieziona na Sybir.

Wśród autobusowych uciekinierów była też siostra mojej mamy – Kazimiera, z dwojgiem dzieci. Przyjechała do nas do Pińska ze swoją rodziną 13 września. Jej mąż, wysokiej rangi policjant z Poznania, dostał służbowe przeniesienie do Zdołbunowa. Jeszcze tego samego dnia wujek wyjechał i wszelki śluch po nim zaginął. Przez jakiś czas ciocia z dziećmi mieszkała z nami w Podhajcach, a potem wróciła do Poznania. Do końca życia (zmarła w 1979) nie poznała prawdy o mężu. Jej syn Norbert, z zawodu lekarz, będąc po 2000 roku na katyńskich uroczystościach znalazł wśród zamordowanych nazwisko swojego ojca.

Nie znajduję logicznego wytłumaczenia na to, że może wśród Poleszuców, którzy „paniusiom” darowali życie, a polskiego policjanta uchronili przed Katyniem, znajdowali się przyszli kaci Polaków, zamieszkujących Polesie w latach okupacji. Mój Tata przeżył 71 lat, zmarł w 1978 roku. Po moim wspaniałym Tacie pozostały policyjne zdjęcia, okrążyły znaczek służbowy nr 801 z napisem na odwrocie „Policja Państwowa”.

Pozostała też jego maksyma życiowa „Nie ważna jest narodowość, rasa, religia, ale najważniejsze to być człowiekiem i widzieć go w bliźnim”.

MARZENA PLESZKUN

**SYBIRACY NA ZIEMI KŁODZKIEJ.
OD REPATRIACYJNYCH WAGONÓW
DO DZIAŁALNOŚCI ZWIĄZKOWEJ (1946-2011)¹**

Ziemia Kłodzka została przyłączona do państwa polskiego po II wojnie światowej. Wraz ze zmianą granic Polski, nastąpiły również masowe, niespotykane dotychczas na tą skalę, przesiedlenia ludności. Na mocy porozumień zawartych pomiędzy aliantami ludność, dotychczas zamieszkująca ten obszar, wysiedlono w latach 1946-1947 do Niemiec. Od lata 1945 roku zaczęli przybywać tutaj nowi mieszkańcy, którzy od tej pory mieli stanowić nieodłączną historię tych ziem. Wśród przybyłych różnych grup osadników znaleźli się również Sybiracy. Były to osoby, które powracały do ojczyzny, po trwającym średnio sześć lat zesłaniu w głębi Związku Radzieckiego. Większość została deportowana z ziem wschodnich II Rzeczypospolitej na Syberię i do Kazachstanu w latach 1940-1941. Było to dla nich bardzo tragiczne wydarzenie. Transporty odbywały się w ciężkich warunkach, również zimą 1940 r., gdy temperatura spadała do – 40 stopni. Przewożono ludzi w wagonach towarowych, w których umieszczano od 40 do 50 osób. Brakowało jedzenia, wody pitnej. Złe warunki higieniczne przyczyniły się do rozwoju wielu chorób. Tak złych warunków nie były w stanie wytrzymać małe dzieci oraz osoby starsze, dla wielu z nich ta „podróż” kończyła się szybką śmiercią. Przyczyną deportacji Polaków była represyjna polityka władz Związku Radzieckiego, której celem była depolonizacja Kresów oraz usunięcie z niej osób „politycznie podejrzanych”. Każdy dzień spędzony na zesłaniu był dla nich dramatyczną walką o przetrwanie, wypełniała go troska o zapewnienie swojej rodzinie podstawowych warunków do egzystencji, choćby kawałka chleba. Często nie dawała go ciężka praca, nierzadko ponad siły przeciętnego człowieka. Polacy najczęściej pracowali przy wyrąbie tajgi, spławie i obróbce drewna, w kołchozach a także w kopalniach. Wielu na zesłaniu straciło swoich najbliższych i zdrowie². Toteż po latach ze-

¹ Artykuł oparty jest na pracy licencjackiej, którą autorka obroniła w 2011 roku w Instytucie Historycznym Uniwersytetu Wrocławskiego.

² Więcej informacji o losie ludności polskiej w ZSRR w czasie II wojny światowej znajdzie czytelnik w podanych publikacjach: *Życie codzienne polskich zesłańców w ZSRR w latach 1940-1946*, pod red. S. Ciesielskiego, Wrocław 1997; A. Srebrakowski, G. Hryciuk, S. Ciesielski, *Masowe deportacje ludności w Związku Radzieckim*, Toruń 2003; A. Głowacki, *Ocalić i repatriować: opieka nad ludnością polską w głębi terytorium ZSRR (1943-1946)*, Łódź 1994; D. Boćkowski, *Jak piskłeta z gniazd. Dzieci polskie w ZSRR w okresie II wojny światowej*, Warszawa 1995.

słania Sybiracy powracali do ojczyzny wyczerpani fizycznie i psychicznie, praktycznie w nędzy. W dodatku powojenna zmiana granic i konflikty na tle narodowościowym nie pozwoliły im wrócić do swoich dawnych domów – „małych ojczyzn”, a los rzucił ich na nieznaną i całkiem obcą Ziemię Kłodzką.

Pierwszy transport z rodzinami sybirackimi przybył do Bystrzycy Kłodzkiej 14 marca 1946 roku. Na teren powiatu bystrzyckiego przyjechało w sumie około 2 tysięcy Sybiraków³. Początki nowego życia były bardzo trudne. Większość osób postanowiła zamieszkać na wsi, gdzie napotkała duże trudności. Brakowało bydła, zwierząt pociągowych. Stan gospodarstw pozostawiał również wiele do życzenia. Sybiracy nie mieli także doświadczenia i nie znali sposobów w uprawianiu gleby o niskiej klasie i w dodatku kamienistej. Nieco lepiej wyglądała sytuacja osób, które zdecydowały się zamieszkać w mieście. Większość podejmowała pracę fizyczną, gdyż często nie posiadała nawet podstawowego wykształcenia. Sybiracy znacznie wyróżniali się wśród innych powojennych mieszkańców powiatu bystrzyckiego, przynieśli ze sobą szereg charakterystycznych cech, zachowań, nawyków, postaw. Żyli jednak zwykle „na uboczu”, nie angażując się w większości w życie społeczne. Przyczyniła się do tego ostrożność i nieufność nabyta w ZSRR. Byli zesłańcy posiadali świadomość, że są dla władzy grupą niewygodną, dlatego bali się opowiadać zarówno o swoim przedwojennym życiu, jak i latach spędzonych w tajdze czy stepie. Przed wyjazdem z ZSRR przestrzegano ich przed opowiadaniem o doświadczonych represjach, również w Polsce padały groźby ze strony władz, wymuszanie zmian w życiorysie. W dodatku część społeczeństwa często szydziła z Sybiraków, twierdząc że na zesłaniu byli za karę. Swoje tragiczne losy wspominali więc wyłącznie w gronie rodziny. Z tego powodu w większości Sybiracy nie znali się prywatnie. Często mijając się na ulicy, nie wiedzieli nawet, że łączy ich ta sama historia, podobne doświadczenia i przeżycia. Sytuacja uległa zmianie dopiero po wydarzeniach politycznych, jakie nastąpiły u schyłku lat 80. XX w. Wśród historyków kwestia losów Sybiraków po powrocie do Polski nie jest zbyt popularna. Większość prac opisuje życie Sybiraków na zesłaniu, zajmuje się tylko aspektami związanymi z deportacją, czasem repatriacją do momentu przekroczenia granicy Polski. Późniejszy los byłych zesłańców jest tematem zasadniczo nie zbadanym.

Korzystając ze zmian politycznych, Sybiracy zamieszkujący powiat bystrzycki podjęli czynności mające na celu stworzenie organizacji, która zrzeszałaby wszystkich byłych zesłańców oraz ich rodziny. Dzięki energicznym działaniom braci Frydryków – Edmunda i Edwarda oraz Czesława Kordasa 12 sierpnia 1989 roku Koło Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej oficjalnie rozpoczęło swe działanie jako jedno z wielu kół terenowych ogólnopolskiego Związku Sybiraków⁴. Zrzesza ono wszystkich Sybiraków zamieszkujących tereny gmin Bystrzyca Kłodzka, Międzylesie, Łądek Zdrój oraz Stronie Śląskie.

³ M. Ruchniewicz, *Losy Sybiraków na terenie powiatu bystrzyckiego*, „Śląski Kwartalnik Historyczny Sobótka”, 1996, nr 4, s. 488.

⁴ Związek Sybiraków został założony w 1928 roku. W czasie II wojny światowej i po jej zakończeniu jego istnienie nie było możliwe z powodów politycznych. Działalność została reaktywowana 17 grudnia 1988 roku. Obecnie posiada 50 oddziałów i 420 kół terenowych. Szerzej patrz: B. K. Grenszak, I. Tańska, *Księga Sybiraków: 1928-1988-1998-2000*, Warszawa 2000.

Na początku swego istnienia liczyło 718 osób. Na stan obecny liczba ta jest zdecydowanie niższa. Co roku bowiem ubywa średnio około 20 osób.

Członkowie Koła dzielą się na członków zwykłych, wspierających i honorowych. Do członków zwykłych należą wszystkie osoby, które były represjonowane i przebywały w Związku Radzieckim jako osoby deportowane, internowane, bądź też w charakterze jeńców politycznych i wojennych. Są nimi także dzieci osób wymienionych powyżej, które urodziły się w ZSRR. Członkiem wspierającym może zostać każda osoba udzielająca Kołu pomocy finansowej, bądź też pomagająca w jakiegokolwiek innej formie. Bystrzyckie Koło ma obecnie w swoim gronie jednego członka wspierającego, jest nim Janusz Kobryń. Zajmuje się prowadzeniem strony internetowej Koła⁵ oraz pomaga przy organizacji wystaw i imprez. Legitymację członka honorowego może uzyskać osoba, która szczególnie zasłużyła się dla Związku.

Władzę w Kole sprawuje Zarząd, w skład którego wchodzi obecnie dziewięć osób: Jerzy Kobryń – prezes, Edward Frydryk – wiceprezes, Janina Rudel – sekretarz, Danuta Rozmus – skarbnik, Józef Gniada z d. Pawlukowska – łączniczka Koła w gminie Łądek Zdrój, Maria Jańczak – łączniczka Koła w gminie Międzyzlesie, Józefa Lenart z d. Kordas – łączniczka na terenie Gorzanowa i Starej Łomnicy, Jan Marcinkiewicz oraz Genowefa Mamro z d. Raczkowska. Organem kontrolującym pracę Zarządu jest Komisja Rewizyjna. W jej skład wchodzi trzy osoby: Zbigniew Kania, Walerian Wojnar i Krystyna Końca. Zebrania Zarządu odbywają się raz na kwartał, zaś w każdą środę w siedzibie Koła, umieszczonej w Miejsko Gminnym Ośrodku Kultury przy ulicy Wojska Polskiego 20 w Bystrzycy Kłodzkiej, dyżurują jego przedstawiciele, pomagając Sybirakom rozwiązywać ich bieżące problemy.

Koło Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej nie jest w sposób ciągły wspierane finansowo ani przez Urząd Gminy, ani też przez żadne dotacje państwowe. Utrzymuje się i funkcjonuje tylko i wyłącznie dzięki własnym siłom. Głównym źródłem uzyskiwania pieniędzy na działalność są składki członkowskie. Różne inicjatywy Koła są jednak wspierane finansowo przez Urząd Gminy w Bystrzycy Kłodzkiej, a także Fundusz Lokalny Masywu Śnieżnika. Od samego początku Koło rozwija się bardzo prężnie i prowadzi aktywną działalność na wielu płaszczyznach, między innymi wydawniczej i upamiętniającej tragiczną historię. Współpracuje z różnymi organizacjami zajmującymi się badaniem historii, organizuje liczne wystawy. Ważną część działalności Koła stanowi również samopomoc.

Pierwszym wielkim projektem było ufundowanie sztandaru. Inicjatorami tego pomysłu byli, wspomniani już, założyciele Koła. W połowie lat dziewięćdziesiątych prezes Jerzy Kobryń zaapelował do członków Koła, by rozpocząć akcję upamiętniania losów Polaków na zesłaniu. W tym właśnie celu w powiecie bystrzyckim postawiono liczne tzw. znaki pamięci. Są one umieszczane głównie w kościołach lub na cmentarzach. Tablice pamiątkowe znalazły swoje miejsce w kościołach parafialnych w Różance, Bystrzycy Kłodzkiej, Międzyzlesiu, Łądku Zdrój oraz Stroniu Śląskim. Ponadto na cmentarzu przy kościele św. Barbary w Międzyzlesiu oraz na Cmentarzu Komunalnym w Bystrzycy Kłodzkiej, gdzie znajduje się symboliczny grób Sybiraka. Oba pomniki powstały jako

⁵ <http://sybiracy.w.interia.pl>

zadośćuczynienie złożone przez żyjących Sybiraków tym, którzy na zawsze pozostali na obczyźnie.

Ważnym aspektem działalności Koła jest pomoc Sybirakom. Większość członków organizacji to ludzie potrzebujący wsparcia i pomocy w załatwieniu formalności urzędowych. Dużą część stanowią również osoby schorowane i inwalidzi. W takich sytuacjach mogą liczyć na Zarząd Koła, którego dyżury odbywają się w każdą środę. Członkowie Zarządu z prezesem Jerzym Kobryniem pomagają napisać podania, wypełnić wnioski i dokumenty na uzyskanie inwalidztwa wojennego, przyznanie dokumentów kombatanckich dla podopiecznych, a także uzyskanie aktów rehabilitacji od władz białoruskich, rosyjskich i ukraińskich. Pomagają również w zabiegach o uzyskanie pomocy finansowej z Ośrodka Pomocy Społecznej. Dla wielu osób ta pomoc jest niezbędna, dlatego też tak bardzo ważną rolę w działalności Koła odgrywa samopomoc i dbanie o współczłonków. Najważniejszym celem stało się wywalczenie przez Związek uprawnień kombatanckich, następnie zaś starania o uzyskanie rehabilitacji poprzez polskie konsulaty u władz państw byłego ZSRR. Największe trudności w realizacji ma, do chwili obecnej, prawo ubiegania się przez Sybiraków o rentę inwalidy wojennego, gdyż większość osób nie posiada stosownych dokumentów, potwierdzających przebyte na zesłaniu choroby. Koło w Bystrzycy Kłodzkiej posiada również tzw. fundusz zapomogowy. Jest on przeznaczony dla Sybiraków nie posiadających renty inwalidy wojennego, a także dla tych, którzy z przyczyn losowych znaleźli się w trudnej sytuacji materialnej. Najubożsi otrzymują zapomogę w wysokości 100 złotych. Koło pomaga także Sybirakom z innych terenów. Aktywnie wspiera akcję „Gwiazdka Sybirakom – Polakom na Białorusi”, udzieliło pomocy Sybirakom w Białymstoku oraz Kudowie Zdrój. Na uwagę zasługuje fakt, że Koło jest jedynym w całym Oddziale Związku Sybiraków w Wałbrzychu, które prowadzi taką działalność charytatywną.

Członkowie Koła na różne sposoby starają się upamiętnić swoją tragiczną historię, a także trwale wpisać się w pamięć obecnych i przyszłych mieszkańców Ziemi Kłodzkiej. W tym celu podjęto zakończone sukcesem zabiegi o nadanie przez Radę MiG nazwy „Skwer Sybiraków” dla skweru położonego w Bystrzycy Kłodzkiej w obrębie centrum miasta, w narożniku ulicy H. Sienkiewicza i ulicy S. Sempołowskiej. W 2008 roku z inicjatywy wiceprezesa Koła Edwarda Frydryka na skwerze został umieszczony kamienny obelisk.

Koło prowadzi również bardzo aktywną działalność dokumentującą i wydawniczą. Pozyskano i opracowano wiele wspomnień i relacji Sybiraków. Niektóre z nich ukazały się drukiem w popularnych pismach sybirackich, takich jak: „Sybirak”, „Zesłaniec” czy „My Sybiracy”. Wszystkie są kierowane do Komisji Historycznej, Polskiego Towarzystwa Ludoznawczego, a także Biblioteki Zesłańca we Wrocławiu, gdzie stanowią dla wielu badaczy i historyków cenne źródło w badaniu losu obywateli polskich w ZSRR. Wielkim sukcesem było wydanie dwóch obszernych tomów „Wspomnień Sybiraków”, w których znalazły się wspomnienia członków Koła⁶. Część osób samodzielnie opisała swoją historię i los swojej rodziny. Niektóre materiały były zebrane w formie wywiadów zarejestrowanych na taśmie magnetofonowej oraz video. Teksty relacji są wzbogacone licznymi zdjęciami i dokumentami świadczącymi o tra-

⁶ *Wspomnienia Sybiraków, Zbiór tekstów źródłowych*, pod red. J. Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka 2008. *Wspomnienia Sybiraków, Zbiór tekstów źródłowych*, t. II, pod red. J. Kobrynia, Bystrzyca Kłodzka 2010.

gicznym życiu Polaków na Syberii. Wśród dokumentów dominują akty zgonów, świadectwa szkolne, listy. Powstanie książek było dla Koła nie tylko ogromnym wyzwaniem, ale przede wszystkim wielkim osiągnięciem: „Jestem przekonany, że warto było poczynić starania, by sybirackie losy utrwalić na piśmie. – wyjaśniał redaktor tomu, Jerzy Kobryń – Aby nasze dzieci i wnuki poznały los swoich rodzin w Związku Sowieckim. Zebrane w tej publikacji wspomnienia dedykujemy pamięci naszych rodziców, dzięki którym przeżyliśmy”⁷. Warto wspomnieć, że drugi tom książki doczekał się pozytywnej oceny w ramach jednego z najbardziej prestiżowych konkursów na najlepszą książkę historyczną. Umieszczono go pośród najciekawszych edycji źródłowych nominowanych do nagrody tygodnika „Polityka”. Losem Sybiraków udało się zainteresować także bardzo młodych ludzi. Efektem współpracy Koła Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej z uczniami tamtejszego Gimnazjum nr 1 im. Kardynała Wyszyńskiego było wydanie dwóch publikacji: „Daleka droga”⁸ oraz „Dzieci”⁹.

Ważną płaszczyzną działalności Sybiraków jest współpraca z Muzeum Gułagu w Sankt Petersburgu oraz Stowarzyszeniem Memoriał. Obie organizacje zajmują się w Rosji upamiętnianiem ofiar represji stalinowskich oraz dokumentacją terroru. Na stronie internetowej wirtualnego muzeum możemy oglądać ekspozycje ze szczegółową muzealną dokumentacją. Swoje miejsce w muzeum Gułagu posiada także Koło Związku Sybiraków w Bystrzycy Kłodzkiej. Prezes Jerzy Kobryń przesłał tam cyfrowo opracowane liczne pamiątki oraz świadectwa Sybiraków z Ziemi Kłodzkiej. Wśród nich są kopie fotografii i dokumentów z miejsca zesłania obrazujące życie codzienne zesłańców, akty zgonów, świadectwa tożsamości, a także plany osad i miast. Prezes utrzymuje stałe kontakty z Ireną Flige – dyrektorem Naukowo – Informacyjnego Centrum Memoriał oraz przewodniczącą Wirtualnego Muzeum Gułagu. Sybiracy są również organizatorami licznych wystaw poświęconych tematyce zesłań i Syberii, m.in.: wystawy „Sybir”, „Sybir 1939-1956”, „Nasze Korzenie”, „Ludzie rodzą się i pozostają wolnymi”. Niedawno we współpracy z Olgą Szonową (pracownikiem Stowarzyszenia Memoriał) zorganizowano wystawę „Miejsce zamieszkania”. Jej prezentacja odbyła się w kilku miastach powiatu bystrzyckiego, ale również w Centrum Studiów Niemieckich i Europejskich im. Willy'ego Brandta we Wrocławiu.

Koło posiada również swoją własną stronę internetową, na której umieszczane są najważniejsze wiadomości związane z aktywnością Sybiraków. Utrzymywane są również kontakty z lokalnymi mediami: telewizją sudecką, a także gazetą „Brama” oraz „Gazetą Prowincjonalną Ziemi Kłodzkiej”. Dziennikarze są obecni na najważniejszych uroczystościach Koła, promując jego działalność.

Za swój największy sukces członkowie Koła uważają wydanie dwóch tomów „Wspomnień Sybiraków”. W ich ocenie duże znaczenie miało również postawienie obelisku, tablic epitafijnych w kościołach. Dla wielu z nich ważne są wspólne spotkania. Jerzy Kobryń, oceniając działalność organizacji, uważa, że spisuje się ono bardzo dobrze, inicjatywy członków i Zarządu zostały w pełni zrealizowane, a wyznaczone cele zostały osiągnięte. Określając aspiracje Koła na przyszłość uważa, że: „[...] teraz to musimy jedynie trwać”¹⁰.

⁷ *Wspomnienia...*, t. 1, s. 6.

⁸ *Daleka droga*, pod red. B. Kobryń, M. Dereń, Bystrzyca Kłodzka 2004.

⁹ *Dzieci. Wspomnienia Sybiraków*, pod red. M. Dereń, Bystrzyca Kłodzka 2005.

¹⁰ Relacja Jerzego Kobrynia z dnia 10.02.2011.

ZOFIA WĘŻYK-MACHOWSKA

PODRÓŻ DO PRZESZŁOŚCI

Wstęp

Nurtowało mnie pragnienie ponownego odwiedzenia martyrologicznego uroczyska Kuropaty na Białorusi. Przed dziesięciu laty byłam tam z Joanną Stankiewicz-Januszczak, narzeczoną mojego dwudziestoletniego brata Bogusława Wężyka, który wyrokiem Najwyższego Sądu Wojskowego ZSRR na sesji wyjazdowej w Mińsku 29.01.1941 roku został skazany na karę śmierci za działalność konspiracyjną na terenie Baranowicze-Lida. Jego grobem stał się dół śmierci w Kuropatach.

Porośnięty lasem obszar usiany jest licznymi krzyżami – katolickimi i prawosławnymi, postawionymi przez rodziny ofiar reżimu stalinowskiego na znak pamięci o tych, którzy nie mają swoich grobów, o których zapomniał świat. Jako jedyny polityk zagraniczny odwiedził Kuropaty w 1994 roku prezydent Stanów Zjednoczonych Bill Clinton. Po jego wizycie stanęła tam ławka z białego marmuru z wrytym napisem: „Od narodu Ameryki dla narodu Białorusi na pamiątkę.”

Wzdłuż szerokiej, długiej alei, pod którą znajdują się doły śmierci, ustawiono krzyże. Niczym strażnicy strzegą tego miejsca, które w zamyśle władz państwowych miało być przeorane pod budowę drogi. Po dramatycznym proteście ludności nieformalny cmentarz został uratowany przed unicestwieniem.

Jeden z krzyży, vis à vis „ławki Clintona” upamiętnia mojego brata tabliczką o treści:

**Ś.P.
BOGUSŁAW WĘŻYK
SYN ANDRZEJA I JADWIGI
Z GODLEWSKICH
UR. 30 LISTOPADA 1920 r.
W ALEKSANDROPOLU (ARMENIA)
STUDENT PAŃSTWOWEJ SZKOŁY MORSKIEJ
W GDYNI
ZGINAŁ DNIA 17 LUTEGO 1941 r.
W MIŃSKU
WIECZNE ODPOCZYWANIE
RACZ MU DAĆ PANIE**

W moim początkowym zamyśle krzyż w Kuropatach miał być jedynym celem wyprawy. Jednakże różnorakie przeszkody odsuwały pielgrzymkę do tego miejsca. W tym roku marzenie stało się rzeczywistością dzięki mojemu synowi Markowi. Nie tylko postanowił towarzyszyć mi w wyprawie, ale roz-

szerzył mój pierwotny plan o krótki pobyt w Baranowiczach – mieście, w którym się urodziłam i mieszkałam z rodzicami do 20 czerwca 1941 roku, to jest dnia zesłania na Sybir. Historię mojego życia, zesłania i rodzinnych losów opisałam w książce „Retrospekcja. Z Baranowicz przez Syberię do Gdańska” wydanej w 2010 roku. Okres pisania wciągnął mnie w nurt wspomnień, ożywił je i obudził tęsknotę do tych miejsc. Teraz, po siedemdziesięciu latach, powrócę do miejsca szczęśliwego dzieciństwa brutalnie przerwane przez II wojnę światową i sowiecką okupację.

W dniu 21 czerwca 2011 roku o 21.05, zaopatrzeni w niezbędne dokumenty, środki pieniężne i adresy, odjechaliśmy z peronu Dworca Centralnego w Warszawie wagonem sypialnym pociągu Paryż-Moskwa. W naszym koedukacyjnym przedziale górne miejsce zajmował już sympatyczny, młody Białorusin, mówiący trochę po angielsku. Okazał się bardzo rozmowny, chętnie odpowiadał na pytania, a także opowiadał o swoich podróżach po Europie. Wyglądem zewnętrznym też nie odbiegał od wizerunku europejskich rówieśników. Zapytany przez celnika, co ma w bagażu, odpowiedział jednym słowem „dżinisy” i otworzył schowek znajdujący się pod moim łóżkiem, w którym znajdowała się jego torba turystyczna. Celnik pobieżnie do niej zajrzał. Nas, bez sprawdzania bagażu, zapytał, do kogo jedziemy i co wieziemy. Odpowiedź: cztery opakowania kawy, drobne prezenty dla znajomych – całkowicie usatysfakcjonowała funkcjonariusza, który życząc dobrej nocy, zamknął za sobą drzwi przedziału. Po kontroli granicznej i celnej nasz sąsiad wysiadł w Brześciu i zostaliśmy sami.

W Baranowiczach

Noc trudno było nazwać dobrą z powodu owych kontroli, a także wymiany kół w składzie pociągu. Czynności tej towarzyszył niesamowity łomot i szarpanie wagonu. Gdy wszystko się uspokoiło i pociąg osiągnął miarowe tempo, zapadliśmy w sen, ale nie na długo. Wkrótce obudziło nas energiczne pukanie do drzwi i głos konduktorki: „probudźdajties”, czieriez połowinu czasa budiem w Baranowiczach” (budźcie się, za pół godziny będziemy w Baranowiczach). W pośpiechu ubieramy się i pakujemy podręczne rzeczy. Przez korytarzowe okno patrzę na zielony, równinny krajobraz zasnuty jeszcze poranną mgłą. Koła pociągu toczą się coraz wolniej, aby ostatecznie poddać się hamulcom. Marek dzwiga bagaże, a ja z pomocą konduktorki żegnającej nas uprzejmym „spasibo” i „do swidania” (dziękuję, do widzenia), gramolę się po stromych schodkach wagonu na peron. Pierwsze spojrzenie pada na tablicę z nazwą „Baranowiczi”, poznaję niski budynek dworca, z napisem: „Baranowiczi Centralnyje”. Automatycznie budzi się wspomnienie tamtej strasznej nocy 20 czerwca 1941 roku.

Wtedy na tej stacji stał długi skład bydłowych wagonów, do których ładowano polskich zesłańców. Moją mamę i mnie także. Peron był wówczas zatłoczony ludźmi i rzeczami, które stopniowo znikaly w czeluściach wagonów pod czujnym okiem uzbrojonych enkawudzystów. Rozlegał się płacz przerażonych dzieci, wołania i krzyki zrozpaczonych kobiet, gromkie pohukiwania konwojentów z karabinami.

Dzisiaj stoję w tym miejscu jako obywatelka wolnej Polski, z polskim paszportem. Odczuwam spokój, ale jednocześnie ucisk w gardle. Idziemy długim pero-

nem z równo ułożonej kostki, estetyczne ławki, puste kosze na śmieci, kwiaty, nigdzie nie widać skrawka papieru lub niedopałka papierosa. Wchodzimy po wysokich schodach na długą kładkę zawieszoną nad licznymi torami (Baranowicze były w czasach przedwojennych dużym i ważnym węzłem kolejowym).



Dworzec kolejowy Baranowicze Centralne.

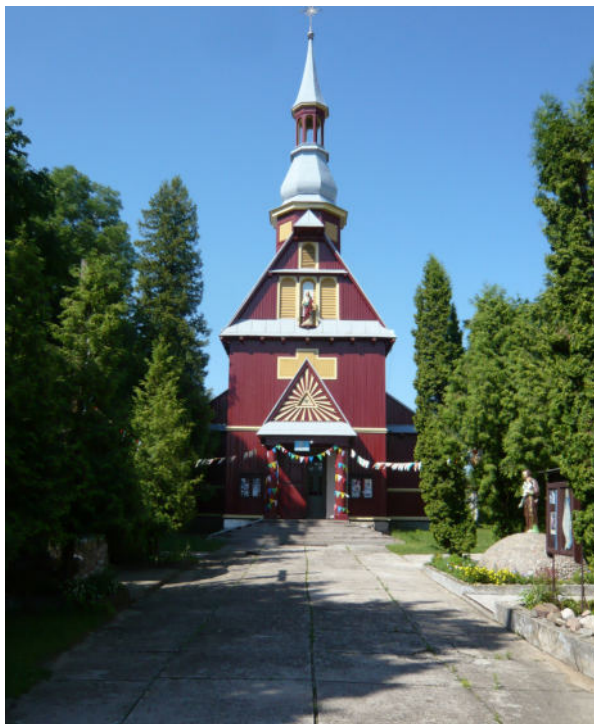
Co chwila zagadują nas mężczyźni proponujący pomoc w niesieniu bagażu oraz przewóz prywatnym samochodem. Decydujemy się na jednego z nich. Z niemałym trudem pokonujemy mnóstwo stopni prowadzących do kładki, by potem zejść na dół i wsiąść do wysłużonego auta. Podajemy adres: Dom Polski, ul. Caruka 43 i ruszamy. Na ulicach stoją kałuże po wczorajszym deszczu, ale teraz świeci słońce i jest ciepło. Nasz kierowca najwyraźniej nie bardzo orientuje się w terenie, ale robi dobrą minę i nakłada kilometry. Dzięki temu za umówioną cenę 15 białoruskich rubli oglądamy jeszcze obrzeże miasta z parterowymi, drewnianymi domami wśród ogródków tonących w zieleni i kwiatkach. Ulice są jeszcze puste. Wreszcie jesteśmy na miejscu. To ta ulica, której szukaliśmy i dom, w którym mamy zarezerwowany nocleg. Jezdnia jest wyasfaltowana, chodnik tylko po jednej stronie, po drugiej ścieżka wydeptana wśród traw.

Dom Polski w Baranowiczach powstał w 1994 roku dzięki wysiłkowi miejscowej społeczności polskiej oraz finansowemu wsparciu Stowarzyszenia Wspólnota Polska. Jest to murowany budynek, w którym mieści się Społeczna Szkoła Polska im. Tadeusza Rejtana w Baranowiczach. Szkołę założyła i kieruje nią wielce zasłużona pedagog, pani Elżbieta Dołęga-Wrzosek. Na pierwszym piętrze znajdują się pokoje gościnne, tutaj zajmujemy przeznaczone dla nas lokum: dwa pokoje z łazienką i dostępem do kuchni wyposażonej w lodówkę, czajnik elektryczny i naczynia niezbędne dla podróżujących. Marek wyrusza do sklepu, wkrótce wraca z zakupami żywnościowymi z wyjątkiem chleba, który przywieźą dopiero o 9.00. Jemy to, co mamy, przebieramy się i wyruszamy do pobliskiego kościoła. Z daleka widać papieską flagę zatknietą na wysokiej bramie prowadzącej na teren kościoła.

Kościół katolicki pod wezwaniem Podwyższenia Krzyża Świętego jest najstarszym kościołem w tym mieście. Drewniana świątynia z kolorowym wizerunkiem Chrystusa na fasadzie udekorowana jest girlandami zieleni i chorągiewkami na cześć jutrzejszego święta Bożego Ciała.

Wchodzimy przez otwarte drzwi do oświetlonego jeszcze po skończonej mszy wnętrza. Klękam w ostatniej ławce, rozglądam się i rozmyślam.

To ten sam kościół, do którego przed wojną każdej niedzieli jeździliśmy do rożką, w którym zajmowaliśmy w ławce miejsce oznaczone mosiężną tabliczką z nazwiskiem rodziców. Tutaj w Boże Narodzenie śpiewaliśmy kolędy i oglądaliśmy szopkę betlejemską, a w Wielką Sobotę przynosiłam koszyczek z wielkonoconym święconym. Klękało się przed Chrystusowym grobem przystrojonym białymi kwiatami, straż przy grobie pełnili żołnierze, strażacy i harcerze. Również w tym kościele, w czerwcu 1940 roku, przyjąłem I Komunię Świętą.



Kościół pw. Podwyższenia Krzyża Świętego w Baranowiczach.

Pojawia się ksiądz, z pękiem kluczy w dłoni, zamyka główne drzwi, ale pozwala nam zostać. Modlę się, a potem rozglądam. Śliczny obraz Matki Boskiej Różańcowej z Dzieciątkiem – Jej twarz przypomina wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej. Duży obraz św. Andrzeja Boboli, patrona Kresów Wschodnich.

Wychodzimy na zewnątrz przez zakrystię. Marek puka do drzwi plebani, żeby krótko podziękować księdzu. Ale proboszcz Józef Dziekoński zatrzymuje nas i serdecznie zaprasza na herbatę. Przedtem jednak pomyślałam, że mam niepowtarzalną okazję otrzymać odpis aktu chrztu. Pytam o księgę metrykalną. Po długich poszukiwaniach ksiądz stwierdza, że najstarsza jest z roku 1930. Pospieszyłam się o rok z przyjściem na świat. Przechodzimy do pokoju i siada-

my przy dużym, prostokątnym stole. Ksiądz krząta się, podaje nam osobiście szklanki z herbatą, zachęca do jedzenia kruchych ciasteczek i miodu. Prawie non stop mówi, opowiada o sprawach parafii, o dniu wczorajszym i bieżącym. W pewnej chwili wstaje i przynosi z sąsiedniego pokoju tomik swoich poezji zatytułowany „Bóg nie pisze doktoratów. Wiersze kresowe.” Wpisuje dedykację dla Marka. Jak się okazuje, ich drogi życiowe krzyżowały się i to niejednokrotnie. Trzeba było przyjechać do Baranowicz, żeby się o tym przekonać. Ja dostaję obrazki Matki Boskiej Różańcowej i Ostrobramskiej.

Słuchamy z zainteresowaniem o niezwyklej drodze życiowej i kapłańskiej naszego gościnnego gospodarza. Niezwykły to człowiek i duszpasterz. Erudyta, szlachetny, odważny, a przy tym nadzwyczaj skromny. Dobroć ma wypisaną na twarzy, wyczuwa się ją w każdym słowie i geście. Przed wyjściem Marek zadaje pytanie:

– Czy w Baranowiczach jest jakieś muzeum?

– Tak, jest tu Muzeum Krajoznawcze, przy ulicy Sowieckiej.

Wychodzimy z plebani, żegnając się do jutra i zmierzamy we wskazanym kierunku. Ulica, którą idziemy, jest bardzo długa. Szeroka jezdnia, równe chodniki. Na skrzyżowaniach sygnalizacja świetlna dla pieszych odmierza sekundy pozostające do zmiany świateł, ściany budynków bez graffiti, jest czysto, skromne witryny sklepów, nieliczne reklamy. Wszędzie panuje język rosyjski. Dziwi nieobecność języka białoruskiego, przecież to niepodległe państwo. Białorusinki są ładne, wysokie i zgrabne, mają długie, przeważnie jasne włosy, są modnie ubrane. Młodzi mężczyźni ubrani sportowo, w dżinsy i T-shirty. Starsi panowie w tradycyjnych spodniach i koszulach z krótkim rękawem, czasem w marynarkach. Zatrzymujemy się na krótki odpoczynek w Miejskim Parku naprzeciwko Kinoteatru, po czym wsiadamy do autobusu, żeby przejechać dwa długie przystanki. Wsiadamy przy Placu Lenina, a tam, na wyniosłym cokole, stoi sobie najspokojniej wódz październikowej rewolucji i zwycięsko spogląda na otoczenie, w którym, jak widać, pod pewnym względem nic się dotąd nie zmieniło.

Na próżno szukam, zapamiętanego z dzieciństwa miejsca w centrum miasta, w którym przy ulicy Szeptyckiego stał Pomnik Nieznanego Żołnierza. Odbywały się tam przed wojną uroczystości państwowe, defilady wojskowe, składano wieńce i kwiaty w rocznice powstania listopadowego i styczniowego. Mój tatuś w stopniu majora Wojska Polskiego salutował, a ja jakże byłam wtedy dumna. Jest południe, słońce solidnie przygrzewa. Wstępujemy na pocztę z zamiarem kupienia kartek i znaczków, ale odstrasza nas tłum ludzi stojących w kolejkach do wszystkich okienek. Nie mamy czasu, jak się później zresztą okazuje, nie ma widokówek z Baranowicz. Trudno, wyślemy jakieś z Mińska. Fotografujemy się przed sklepem o wielkich witrynach z materiałami fotograficznymi, przed którym stoi oryginalna rzeźba przedstawiająca dziewiętnastowiecznego fotografa naturalnej wielkości, wyposażonego w ówczesny charakterystyczny sprzęt.

Po drugiej stronie placu Hotel Centralny i bank. Przed tym nowoczesnym, jak na Baranowicze, kompleksem – nieduży skwerek z kwiatami, a obok – pomnik naturalnej wielkości osiodłanego konia. Właśnie jakiś ojciec usadawia na nim kilkuletniego chłopczyka, który najwyraźniej nie jest tym zachwycony i protestuje gromkim płaczem. Ja natomiast proszę Marka o zdjęcie przy koniu, który mi się spodobał.

Z placu skręcamy w ulicę Sowiecką, zabudowaną całkiem przyzwoitymi kamienicami. Dom towarowy z parkingiem samochodowym, ruch niewielki. Nie widać tutaj charakterystycznych dla polskich miast wózków na zakupy. Nabywcy towarów noszą je w niewielkich torbach z tkaniny lub plastyku. Zwraca uwagę brak korpulentnych sylwetek, mieszkańcy są szczupli. Te dwie przytoczone obserwacje wydają się pozostawać ze sobą w ścisłym związku. Wszędzie panuje czystość i porządek.

Moja pamięć przywołuje obrazy sprzed wojny: parterowe domy, najczęściej drewniane, „kocie łby”, którymi była wybrukowana większość ulic, toczące się po nich dorożki, a w dniach targowych także furmanki zdążające ku targowisku na krańcu miasta, brud i niechlujstwo wyzierające z wielu miejsc, nędzne sklepiki. Wyróżniało się kilka nowoczesnych, eleganckich sklepów, jak na przykład drogeria i perfumeria pana Rosenhauza, sklep spożywczo-kolonialny Witkowski i spółka, wędliniarnia Zambrzyckiego.

Teraz mam przed oczami rozbudowane, unowocześnione miasto z dziesięciokrotnie większą liczbą mieszkańców. Śledzimy numerację budynków w oczekiwaniu na numer 72, pod którym mieści się muzeum. Otóż i ono. Biały budynek wcisnięty pomiędzy sąsiednie wyróżnia się estetyką. Przy drzwiach wejściowych tablice z dwujęzyczną nazwą instytucji. Wchodzimy do holu, w którym wita nas uśmiechnięta kasjerka. Przed nią na stoliku bukiet róż. Pani sprzedaje bilet ulgowy dla mnie, natomiast międzynarodowa legitymacja nauczycielska, respektowana przez wiele muzeów europejskich, tutaj jest bez znaczenia, podobnie zresztą jak dla nas niska cena biletów wstępu. Wchodzimy na pierwsze piętro i zaczynamy zwiedzanie od sali przyrodniczej. Zgodnie z nazwą muzeum (Krajoznawcze) w wielkich gablotach widzimy okazy ptaków i drobnych zwierząt na tle barwnych fotogramów przedstawiających pejzaż okolic miasta. Lasy, łąki, wody, równiny. W następnej sali typowe eksponaty pochodzące z miejscowych i okolicznych wykopalisk. Przechodzimy do sali historycznej i znajdujemy to, co nas interesuje najbardziej: stare fotografie, wycinki prasowe, reklamy handlowe i autentyczne dokumenty z okresu przedwojennego, kiedy Baranowicze były miastem powiatowym w województwie nowogródzkim II Rzeczypospolitej Polskiej. Oglądam wszystko w nerwowym napięciu, z dużym zainteresowaniem. Chłonę nazwy obiektów, podpisy pod zdjęciami, czytam nazwiska na zbiorowych fotografiach, na których utrwalono obchody uroczystości. Szukam twarzy osób mi najbliższych bądź obcych, ale znanych. Niestety, nie odnajduję. Ale oto zapamiętany przeze mnie tak dobrze Pomnik Nieznanego Żołnierza, podczas defilady. W kolejnej sali na ścianie plan miasta. Szukam Kolonii Urzędniczej i ulicy Staszica, przy której stał rodzinny dom. Szukam, chociaż wiem, że już od lat tam go nie ma. Marek pyta panią dyżurną, czy wie, jak obecnie nazywa się ta ulica. Nie wie, ale udziela rzeczowej rady, by na parterze wstąpić do gabinetu pracowników naukowych muzeum. „Tam uzyskacie odpowiedź na to pytanie” – dodaje z życzliwym uśmiechem. Zwiedzamy jeszcze pobieżnie ostatnie dwie sale o tematyce związanej z Wojną Ojczyźnianą (tak nazywają tutaj, podobnie jak w Rosji, wojnę niemiecko-sowiecką). Styl znany sprzed lat: wielkie plakaty, szczytne hasła, portrety bohaterów, drastyczne sceny egzekucji dokonywanych przez Niemców. Żegnamy miłą panią dyżurną i schodzimy na dół.

Z łatwością znajdujemy gabinet pracowników naukowych. Drzwi są uchylone jakby w oczekiwaniu na nas. Zza biurka wstaje uśmiechnięta młoda pani o miłym wyglądzie. Wita nas z odcieniem szacunku dla gości, a może mojej siwizny. Przedstawiamy się nawzajem, siadamy i wyjawiamy cel naszej wizyty. Pani Irina Saiko na chwilę nas opuszcza i powraca z planem miasta. Rozkłada dużą płachtę na blacie biurka. My – kserokopię przedwojennego planu Baranowicz, na którym pokazujemy ulicę Staszica. Pani Irina uważnie wpatruje się w oba plany, porównuje i długopisem wskazuje interesujące nas miejsce na aktualnej mapie.

– Spójrzcie, tu znajdował się „czynounyj pasiołok” (urzędnicze osiedle), tutaj więc musiała przebiegać dawna ulica Staszica – powiedziała, po czym dodała – od wielu lat nie ma już tego osiedla i tej ulicy. Na tym terenie powstała nowoczesna zabudowa.

– Właśnie tam stał dom rodziców mamy – wyjaśnia Marek.

– W pobliżu naszego domu był gmach Narodowego Banku Polskiego – uzupełniam. Bardzo dobrze pamiętam topografię tego miejsca.

– Tak – stwierdza pani Irina. – Ten budynek ocalał, zmienił się jednak jego wygląd, ponieważ od frontu dobudowano dodatkowe skrzydła. Obecnie także mieści się w nim bank – dodała uzupełniająco.



Odnaczenie mjr. dr. Andrzeja Wężyka na dłoni autorki.

Nasza rozmówczyni podnosi nagle wzrok z nad mapy i trzymając nadal w ręku długopis, zadaje pytanie:

– Proszę mi powiedzieć, a jak nazwisko pani ojca?

– Wężyk – odpowiadam.

– Andrzej Wężyk? Lekarz?

– Tak, to mój ojciec – mówię i zamieram w przeczuciu, że stanie się coś niezwykłego. Niedługo czekam na potwierdzenie.

– W naszym muzeum są pamiątki po pani ojcu.

Odtąd zaczyna się historia jak z bajki. Do gabinetu wchodzi pracownica i kładzie na biurku przyniesione materiały. Oglądamy „Chrześcijański kalendarz-przewodnik baranowicki na rok 1937” i „Kalendarz popularny baranowicki” z tego samego roku. W obu, na pożółkłych kartkach, zapisy dotyczące mego ojca, majora Wojska Polskiego, lekarza, inicjatora i założyciela w 1930 roku Oddziału Polskiego Czerwonego Krzyża w Baranowiczach. Po chwili ktoś kładzie przede mną odznaczenie. Jest to piękny srebrny krzyż z orłem w koronie, zdobiony czerwoną emalią. Na rewersie napis: „P.C.K. Zasłudze”. Biorę do ręki krzyż, który należał do mego ojca! Marek robi zdjęcie, scenę tę fotografuje także ktoś z muzeum. Wszyscy są poruszeni.

Jeszcze nie ochłonęliśmy, gdy pani Irina oznajmia, że musimy poczekać na akta rodziny Wężyków, które przyniosą z innego budynku.

– Akta rodziny Wężyków? – jesteśmy zaskoczeni.

Po jakimś czasie na biurku pojawia się duża tekturowa teczka z napisem: „FAMILIA WIENŹIK”. Pani Irina ostrożnie dociera do dokumentu oddzielnego od innych specjalną przekładką: naszym oczom ukazuje się oryginalne, sporządzone w języku rosyjskim zaświadczenie o przebiegu służby wojskowej mego ojca, z dokładnymi datami poszczególnych okresów. Na obrzeżach pożółkłego arkusza widać zacieki i ślady grzyba, od strony rewersu papier jest w wielu miejscach podklejony. Mimo to dokument można odczytać. Analogiczny dokument stwierdza przebieg służby wojskowej mego dziadka. Tutaj czas sprawił, że zapisy w poszczególnych rubrykach są bardzo trudne do odszyfrowania. Trzeci dokument – to zaświadczenie z września 1939 roku o pełnieniu przez mego ojca funkcji kierownika Szpitala dla ozdrowieńców w Pińsku. Tyle o zawartości muzealnej teczki.

– Jak te dokumenty trafiły do muzeum? – pyta Marek.

– Przed rozbiórką domu pani rodziców w 1973 roku pracownik administracji G.K. Kucharczik, znalazł na strychu pakiet z dokumentami owinięty w gazetę „Sowietskaja Biełarussija” z 19.10.1940 roku. Następnie przekazał je do muzeum.

Z zapisu na karcie inwentarzowej muzeum wynikało też, że ulica Staszica nazywała się już wówczas Popowa. Cała ta niezwykła historia pozostałaby dla mnie i mojej rodziny na zawsze tajemnicą, gdyby nie mój syn. To on węchem historyka szukał muzeum, a gdy już w nim był, chciał koniecznie ustalić nową nazwę starej ulicy, co okazało się początkiem przysłowiowej nitki prowadzącej do kłębka. Pani Irina pyta nas o dalszy plan dnia. Przyznaję, że chcę zobaczyć bank i miejsce, gdzie stał dom. Uczynna rozmówczyni proponuje, że nas zaprowadzi. Dochodzimy do gmachu dawnego Narodowego Banku Polskiego. Jego wygląd różni się nieco od dawnego wskutek dodania skrzydeł. Oczywiście zniknął duży kamienny orzeł.

Ten gmach to dla mnie szczególnie ślad pamięci o tamtych latach. Do szkoły i do centrum szłam z naszego domu na skrót, przez skwer, i zawsze dochodziłam do banku. Do szkoły skręcałam na prawo, do centrum na lewo. Była to moja codzienna trasa. Ale przedwojenny gmach Narodowego Banku Polskiego miał dla

mnie także inne znaczenie: na tle jego masywnej bryły widziałam po raz ostatni ojca. Było to w noc jego aresztowania, a zarazem wywozu mamy i mnie na Sybir. Na polecenie oficera dowodzącego akcją w naszym domu musiałam przyprowadzić świadka, który by podpisał protokół. Szłam z konwojującym mnie enkawudzistą po doktora Skwirskiego na ulicę Hoovera, gdy nagle na przeciwnym skraju skweru zobaczyłam tatusia idącego także w asyście uzbrojonego w karabin enkawudzisty. Zanim zniknęli mi z oczu, zdążyłam krzyknąć z całych sił: „Tatusiu, na Syberię nas wywożą!!!” A on odwrócił się w moją stronę i przystanął na moment. Najwidoczniej usłyszał mój głos.

Spośród zieleni wyłania się śnieżnobiała cerkiew ze złoconymi kopułami, a na prawo od niej – ładna, samotnie stojąca piętrowa willa z lat trzydziestych XX wieku. Jedyna, jaka ocalała z dawnej Kolonii Urzędniczej. Pozostawiono ją jako zabytek, informuje pani Irina. Idziemy w stronę, gdzie była dawniej nasza ulica. Nie ma już ulicy, nie ma domu nr 15. Tam gdzie rozciągał się ogród, teraz stoją na ogrodzonym terenie garaże. Wracamy wolnym krokiem w milczeniu. Przy Placu Lenina rozstajemy się z naszą przewodniczką. Marek obiecuje jej przynieść nazajutrz do muzeum moją książkę.

W ogródku restauracji „Laguna” w cieniu rozłożystego drzewa jemy smaczny chłodnik, drugie danie pijemy wodą mineralną. Wypoczęci jedziemy na dworzec Baranowicze Poleskie kupić bilety na jutrzejszy pociąg do Mińska.

Okazały gmach wewnątrz przypomina sowiecki pałac kultury. Z dworca wracamy taksówką do Domu Polskiego. Zasypiam mocnym snem utrudzonego wędrowca. W tym czasie Marek biegnie kilka kilometrów do położonego na skraju miasta więzienia, gdzie był więziony mój brat. Zdjęcia zrobić nie pozwolono.

Nazajutrz budzi mnie słoneczny poranek Bożego Ciała. Korzystam z wolnego czasu i wpisuję do „Retrospekcji” dedykację dla proboszcza Dziekońskiego. Poranne zabiegi, śniadanie i wyruszamy do mojego starego kościoła. W środku dużo wiernych, śpiewają litanię po rosyjsku. Siadamy w pierwszej ławce po lewej stronie. Proboszcz celebrował mszę z namaszczeniem. Kazanie w trzech językach: polskim, białoruskim i rosyjskim, teologiczne, mądre, bez domieszki świeckiej ideologii. Po siedemdziesięciu latach ze wzruszeniem przyjmuję komunię w moim rodzinnym mieście. Po mszy ustawiamy się kolejno do zakrystii. Ksiądz Dziekoński wita nas z uśmiechem i podsuwa krzesła. Wręczam mu książkę, a on czyta dedykację, dziękuje i obejmuje mnie serdecznie. Pora się żegnać. Jesteśmy wdzięczni losowi za to spotkanie.

Z kościoła pędzimy prosto do muzeum. Wręczam pani Irinie Saiko „Retrospekcję”, ale ona prosi jeszcze o dedykację. Wpisuję w języku polskim: „Dla Muzeum Krajoznawczego w Baranowiczach, z wdzięcznością za ocalenie pamięci o moim Ojcu” – autorka Zofia Węzyk-Machowska. Baranowicze, 23 czerwca 2011 r.” Wymieniamy adresy mailowe. W holu czeka na nas grupa pracowników muzeum z panią dyrektorką na czele. Ściskając mi dłoń na pożegnanie, pani Irina mówi:

– Myśmy tutaj między sobą uradzili, że na jesieni zrobimy wystawę, na której wyeksponujemy pamiątki po pani ojcu.

Szczerze wzruszona dziękuję i żegnamy osoby, którym wiele zawdzięczamy, ja i moja rodzina. W karkołomnym pośpiechu jemy obiad w „Lagunie”, a potem taksówką wracamy do Domu Polskiego. Wrzucam rzeczy do walizki. Jeszcze rozmowa z panią Elżbietą Dołęga-Wrzosek, dostaję od niej książkę jej

autorstwa „Społeczna Szkoła Polska im. Tadeusza Reytana w Baranowiczach 1987-2007”. Od siebie daję egzemplarz „Retrospekcji” oraz związane z nią materiały (recenzja z kwartalnika „Zesłaniec”, wywiad dla czasopisma „Temidium”, listy czytelników). Ponadto przekazuję w godne ręce pamiętnik Janiny Lalko z Baranowicz, z którą niestety utraciłam kontakt. Opuszczamy gościnny Dom Polski żegnani przez zacną Panią Elżbietę, znów jazda taksówką i wpadamy w pośpiechu na peron. Okazuje się, że międzynarodowy pociąg, którym mamy dojechać do Mińska, jest opóźniony o kilkanaście minut. Czekamy, spokojnie przyglądając się wesołemu towarzystwu modnie ubranych ludzi, którzy prawie bez przerwy się śmieją i fotografują. Nadjeżdża skład wagonów sypialnych. Zajmujemy miejsca w pustym przedziale. Przez okno patrzę na pejzaż i zastanawiam się, gdzie leży Nowojelnia?

Moje ostatnie przedwojenne wakacje w 1939 roku spędzałam na kolonii urzędniczej w Nowojelni. Była to miejscowość niedaleko Baranowicz, położona w głębokim lesie obfitującym w poziomki, czarne jagody i grzyby. Zbierało się ich mnóstwo i jadło bez umiaru, pozostawiając na twarzach i językach czarne dowody łakomstwa. Ku mej wielkiej radości którejś niedzieli odwiedziła mnie mama z moim bratem Bogusiem. Wzbudzał powszechne zainteresowanie i podziw uniformem ucznia Szkoły Morskiej w Gdyni oraz własną urodą. Koleżanki mi zazdrościły. Mamusia była wtedy w żałobie po swoim starszym bracie, a moim chrzestnym ojcu, Kazimierzowi Godlewskiemu. Elegancka od stóp do głów, w wielkim, koronkowym, czarnym kapeluszu, w którym było jej bardzo do twarzy, promieniowała dumą ze swego syna.

To piękne wspomnienie nawiedziło mnie na trasie z Baranowicz do Mińska. Zmęczona dniami i przeżyciami zasnęłam. Cała podróż trwała tylko dwie godziny, ale mnie wydała się bardzo długa.

W Mińsku

Na peronie wpadam w ramiona ciemnowłosej Mariny o ślicznych, ogromnych oczach. Poznała mnie od razu, a ja ją, chociaż minęło dziesięć lat od naszego poprzedniego spotkania. Jest bardzo miło, z Markiem od razu nawiązałam kontakt. Jedziemy autobusem na Sierabrankę – ogromne osiedle, gdzie mieszkają rodzice i brat Mariny. W mieszkaniu wita nas pan Zenon z synem Jurą. Pani Helena przebywa na działce 60km od Mińska. Powitalna rozmowa przy herbacie i zapada decyzja: jedziemy teraz do Kuropat. Jest piękna pogoda, a nie ma pewności jaka będzie jutro, zapowiadano opady.

Wszyscy wsiadamy do „mazdy” pana Jury. Nad nami popołudniowe, już nie męczące słońce. Jedziemy za miasto autostradą. Kończą się masywne bloki, budynki przemysłowe i handlowe, zaczyna się las. Na trzydziestym kilometrze Marina kieruje brata na parking po prawej stronie drogi. Schodki prowadzą nas w dół, w stronę lasu. Pomiędzy pierwszymi drzewami napis w języku białoruskim umieszczony na kilku długich deskach:

**TUTAJ W LEŚNYM MASYWIE KUROPATY ZNAJDUJĄ SIĘ
SZCZĄTKI OFIAR ZBIOROWYCH REPRESJI 1937-1941
PAMIĘĆ O NICH BĘDZIE ŻYĆ W NASZYCH SERCACH**

Idziemy wąską ścieżką, przeskakujemy przez wodę napływającą z sąsiedniego grzęzawiska. Dalej poprowadzi nas szeroka, żwirowa „aleja krzyży”.

Ale jeszcze przed nią wysoki drewniany krzyż poświęcony wszystkim ofiarom Kuropat. Do kwiatów i płonących zniczy dołączamy nasze i modlimy się w milczeniu. Mijamy wiele krzyży aż pojawi się ten z bliską sercu tabliczką. Dłuższą chwilę stoimy w cichej zadumie, po czym młodszy przystępuje do usuwania uschniętych kwiatów i wypalonych zniczy. Ich miejsce zajmie pęk białoczerwonych goździków z Warszawy ustawiony ręką Mariny u stóp krzyża, gałązki białych frezji pan Jura umieści efektownie w górze, na przecięciu ramion. Marek wysypuje z woreczka ziemię przywiezioną z Polski i zawiesza na krzyżu białoczerwoną szarfę. Zapalamy nowe znicze i modlimy się.



Autorka z synem przy symbolicznej mogile brata w Kuropatwach.

Marek przytacza modlitwę z dzieciństwa „o powrót wujka Bogusia”, którego los pozostawał nieznany do 1989 roku. Jestem bardzo wzruszona. Wspominam brata... Wspominam także Joasię, ten krzyż to zasługa jej i pana Zenona. W 2008 roku pan Zenon umieścił nową tabliczkę, a ksiądz Igor poświęcił symboliczny grób. Joasia co roku odwiedzała Kuropaty, uczestnicząc w czerwcowych „żałbinach” – żałobnych pielgrzymkach z Mińska do Czerwieni upamiętniających „Marsz śmierci”, który przeżyła w 1941 roku i opisała w książce pod tym tytułem. Aleja wznosi się ku trzem wysokim krzyżom poświęconym Białorusinom i Litwinom. Z tego miejsca rozciąga się widok na rozległy leśny teren utkany mniejszymi krzyżami. Dopiero ten obraz daje wyobrażenie o skali hekatomb. Ale jak długo drewniane krzyże będą odporne na deszcze i śniegi, słońce i mróz? Czy dotrwają do czasu, kiedy powstanie tu prawdziwy cmentarz? Na razie, pomimo upływu ponad siedemdziesięciu lat, ludzie pamiętają. W drodze powrotnej zatrzymuję się sama przy krzyżu brata i żegnam to miejsce, w którym być może jestem po raz ostatni.

Przy kolacji ustaliśmy plan na jutrzejszy dzień: rano z panem Zenonem jedziemy na mszę, po południu Marek zwiedza miasto najpierw sam, a potem z Mariną, jej mężem i córką (Helenka po maturze zdaje dodatkowe egzaminy, aby się dostać na studia medyczne w Polsce). Nazajutrz po śniadaniu jedziemy do postawionej w 2002 roku kaplicy służącej katolikom mieszkającym na Siebrance. Ich parafia nosi wezwanie św. Jana Chrzciciela, dziś więc odpust

i w kaplicy jest dużo pięknych, świeżych kwiatów. Przy bocznym ołtarzu stały z tacą na małe, cienkie świece, jak w cerkwi. Wierni śpiewają litanię w języku białoruskim. Mszę o godz. 9.00 odprawia gościnnie ksiądz z Moskwy. Kazanie wygłasza po polsku. Pan Zenon jest zarazem lektorem i ministrantem.

Po mszy oglądamy wznoszony obok nowy, duży kościół. Okazała świątynia z czerwonej cegły podciągnięta jest pod dach. Parafianie są bardzo dumni ze swego dzieła, to bowiem pierwszy od 1917 roku kościół katolicki budowany w Mińsku. Na schodach pojawia się, znany nam dotąd tylko z fotografii, ksiądz Igor. Pan Zenon nas przedstawia, a ja ofiarowuję księdzu książkę. Chwila rozmowy, pożegnanie i jeszcze wracamy pod nowy kościół. Tablica wmurowana przy wejściu upamiętnia fakt, że kamień węgielny pod budowę świątyni poświęcił sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej kardynał Tarcisio Bertoni 21 czerwca 2008 r.

W drodze powrotnej do domu wstępujemy do osiedlowego sklepu. Półki pełne towarów, ale ceny bardzo wysokie jak na tutejsze zarobki. Chyba dlatego mało jest kupujących, a ich koszyki nie są wypełnione. Kupujemy jakieś produkty i wychodzimy. Po wczesnym obiedzie Marek wyrusza do centrum, skąd wraca późnym wieczorem. Ja spędzam czas na rozmowach z naszym gospodarzem i odsypiam zaległości. Na kilkanaście minut przyłączam się do oglądania telewizji. Jest transmisja z meczu piłkarskiego. Patrzą i oczom nie wierzą: publiczność na trybunach zachowuje się normalnie, wszyscy są przejęci, ale uśmiechnięci. Odnoszę wrażenie, że Białorusini są spokojnym, kulturalnym narodem. Przed kolacją spaceruję z kijkami norweskimi. Osiedle składa się z bardzo długich, ośmiopiętrowych bloków. Pomiędzy nimi trawniki poprzecinane ścieżkami. Są przyrządy do ćwiczeń i ogródki dla dzieci, chłopcy grają w piłkę. Nie słychać wrzasków i przekleństw, wokoło panuje spokój i porządek. Ludzie prowadzą na smyczach psy w kagańcach. Niedaleko osiedla płynie rzeka Świsłocz. Wzdłuż jej brzegu całymi kilometrami wije się ścieżka dla rowerzystów i spacerowiczów.

Sobotni dzień wstał pochmurny i wygląda na to, że parasole się przydadzą. Po wczesnym obiedzie serwowanym przez Marinę wyruszamy we trójkę do centrum. Najpierw musimy wysłać kartki. Okazały gmach poczty jest piękny na zewnątrz i w środku – rozmach, przestrzeń, marmury, metal, szkło. Kupujemy ładne widokówki, piszemy, wrzucamy do olbrzymiej skrzynki.

Z poczty idziemy w stronę centralnego więzienia – najważniejszego dla mnie miejsca w Mińsku.. Znad wysokiego muru widać tylko górne partie okazałej budowli. Okrągłe baszty nadają jej zamkowy charakter. Patrzą na bramę wjazdową dla samochodów i wejście dla pieszych. Na szczycie najbliższej baszty ciemna sylwetka wartownika. Zatrzymuję się i trwam w milczeniu.

Usiłuję wyobrazić sobie zdarzenia znane mi z opowiadań Joanny i z jej książki „Dziś mówię ludziom, co mówiłam Bogu”. Za murem, pod którym teraz stoimy, mój brat i Joanna wraz z grupą młodych ludzi czekali na rozprawę przed Kolegium Wojskowym Sądu Najwyższego ZSRR. Nieubłagany wyrok śmierci na brata zapadł 29 stycznia 1941 roku. Na jego wykonanie czekał samotnie w celi śmierci do 17 lutego. Dziewiętnaście dni i dziewiętnaście nocy! Wyroki śmierci wykonywano w więzieniu.

Powoli oddalam się od tego miejsca, w którym pozbawiono życia mojego brata. Było to dawno temu, ale rana w sercu się nie zabliznia.



Więzienie centralne w Mińsku.

Dochodzimy do stacji metra, skąd pojedziemy obejrzeć imponujący rozmachem i nowoczesnością gmach Biblioteki Narodowej Białorusi. Ślicznie położony w zakolu Świsłoczy budynek ma kształt wielkiego brylantu. Od frontu witają przybysza wykute w kamieniu inskrypcje. Po lewej powtórzony w paru-nastu językach werset z drugiego listu św. Pawła do Tymoteusza: „Aby człowiek Boży był doskonały, ku wszelkiej sprawie dobrej wyćwiczony” (2 Tm 3, 17). Po prawej cytaty z dzieł różnych pisarzy. Zbyt późna pora uniemożliwia zwiedzenie wnętrza biblioteki, obejrzeliśmy tylko olbrzymi hol. Można było wjechać szybkobieżną windą na taras widokowy na samym szczycie budowli, ale zrezygnowaliśmy ze względu na słabą tego dnia widoczność.

Metrem dojeżdżamy do stacji Oktiabrskaja. Przy wyjściu tablica upamiętniająca ofiary zamachu terrorystycznego w dniu 11 kwietnia 2011 roku. Kwiaty, znicze, fotografie. Na wielkim, pustym placu stoi gmaszysko Pałacu Republiki. Przestrzeń przed nim i z boku przeznaczona jest dla pochodów i defilad, właśnie nazajutrz odbędą się uroczystości z okazji Dnia Niepodległości Białorusi. Siadamy młodzieżowo na murku i chrapiemy wafelki teatralne. Gawędzimy beztrosko i wesoło do chwili pożegnania z przemiłą Mariną. Dziękujemy jej za poświęcony czas i mówimy: do zobaczenia w Warszawie. Nie oglądając się Marina idzie w kierunku autobusu, którym dojedzie do swojego mieszkania niedaleko Sierabranki, na drugim brzegu Świsłoczy.

Mijamy plac i dochodzimy do dawnego kościoła bernardynek, a dziś katedry prawosławnej, gdzie odbywa się właśnie ślub udzielany przez biskupa. Tłum wiernych szczelnie wypełnia świątynię, tak że pozostaje nam tylko stanąć w przedsionku i wyciągać szyje. Przed fasadą znajduje się taras, a z niego rozciąga się najładniejszy chyba widok Mińska: kilka innych zabytkowych kościołów, stare i nowe domy oraz płynąca niżej urocza Świsłocz, którą tak często spotykamy w tym mieście. Przez jakiś czas cieszymy oczy tym pięknem, podziwiamy również urodziwe Białorusinki spacerujące na karkołomnie wysokich szpilkach. Z tarasu udajemy się do stojącej nieopodal rzymsko-katolickiej katedry pod wezwaniem Imienia Najświętszej Marii Panny. Znany z mądrości

i roztropności arcybiskup Tadeusz Kondrusiewicz, metropolita mińskomohylewski, właśnie skończył odprawianie mszy. Widzimy jeszcze z daleka znikający biało-srebrny ornat i wysoką mitrę. Katedra pustoszeje, dzięki czemu możemy ją swobodnie obejrzeć.

Spod katedry odjeżdżamy autobusem, przesiadamy się koło dworca i stąd już prosto na ulicę Jakubowa, do naszego tutejszego domu. Zastajemy w nim panią Helenę, która dopiero co wróciła z działki. W szlafroku i turbanie z ręcznika wychodzi z łazienki i wita się z nami serdecznym uściskiem. Nic się nie zmieniła, tylko piękne włosy całkowicie posrebrzył czas. Częstuje nas późnym obiadem, jest już 21.30. Zachwycamy się pysznymi kotlecikami z parującymi ziemniakami, sałatą i pomidorami. Apetyt dopisuje po wielogodzinnym chodzeniu (mój krokomierz wykazał tego dnia ponad 7 km, to rekord ostatnich lat). Po posiłku Marek pakuje rzeczy, a ja z panią Heleną gawędzimy po kobiecemu. Oglądam fotografie rodzinne, wspominamy mój pobyt z Joasią w tym domu. Naszą rozmowę przerywa głos pana Jury: jeśli mamy być na dworcu przed 24.00, to musimy wychodzić. W pośpiechu ubieram się. Żegnamy miłych gospodarzy i dziękujemy im za staropolską gościnność. Zjeżdżamy windą, przed wejściem do klatki schodowej stoi już mazda.

Jedziemy szybko pustymi o tej porze ulicami i po kilkunastu minutach jesteśmy przed dworcem. Zabieramy bagaże i żegnamy pana Jurę – prawdziwego kierowcę-dżentelmena, który nam zafundował wyjazd do Kuropat i ten pożegnalny nocny kurs. Wchodzimy do rzęsiście oświetlonego holu olbrzymiego, nowoczesnego dworca. Wszystko tu funkcjonuje bezbłędnie: informacja, schody ruchome, windy. Czynne są mimo nocnej pory kioski z prasą, z owocami, a nawet warzywami. Wykorzystujemy wolny jeszcze czas na oglądanie olbrzymiej mapy Mińska. Rzut oka na zegar dworcowy i musimy podążać w stronę peronu. Nadjeżdża pociąg. Wsiadamy, ale nie możemy zająć naszego przedziału, gdyż nie zwolniła go jeszcze jadąca z Moskwy pasażerka z dzieckiem. Po jej wyjściu konduktorka zmienia pościel, doprowadza wszystko do porządku. Nareszcie można się położyć i spać, spać aż do granicy. Tam oczywiście czeka nas „powtórka z przerobionej już lekcji”. Ale najtrudniejszy był pierwszy raz, w drodze powrotnej lżej znosimy obie odprawy. Rano budzimy się wypoczęci, po ablucjach zjadamy smaczne śniadanie przygotowane troskliwie przez panią Helenę i wkrótce wysiadamy na doszczętnie rozkopanej Warszawie-Wschodniej. Jeszcze tylko pół godziny jazdy ślicznym tramwajem Swing i jesteśmy w domu.

Odczuwam wewnętrzne wyciszenie i jestem szczęśliwa. Byłam tam, gdzie pragnęłam, wrażeń mam o wiele więcej niż mogłam się spodziewać. Wiele doznań, tyle sentymentalnych chwil, wspaniałych odkryć, spotkań z ciekawymi i życzliwymi ludźmi, poznanie tylu nowych miejsc. Najserdeczniej dziękuję ci Synu za tę naszą wspólną podróż do mojej przeszłości!¹

¹ Wszystkie zdjęcia: fot. Marek Machowski. Syn był także redaktorem tekstu.

RELACJE Z ZESŁANIA

By czas nie zatarł śladów naszych doświadczeń syberyjskich od wieków najdawniejszych aż po okres drugiej wojny światowej oraz w pierwszych latach po jej zakończeniu, a pamięć o tym trwała, redakcja „Zesłańca” postanowiła utworzyć nowy dział poświęcony tej problematyce. Spełniamy tym samym prośby wielu Czytelników, którzy przysyłają propozycje dotyczące publikowania swoich zesłańczych wspomnień, powołując się na zeszyt „Zesłańca” poświęcony Matkom Sybiraczkom, który spotkał się z wielkim zainteresowaniem.

Dział „Relacje z zesłania”, nawiązuje w pewnym sensie do serii „Biblioteka Zesłańca”, ukazującej się w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym oraz do serii pod nazwą „Wspomnienia Sybiraków”, wydawanej w poprzednich latach przez Komisję Historyczną Zarządu Głównego Związku Sybiraków pod red. nieodżałowanej pamięci Janusza Przewłockiego, pomysłodawcy tego działu w naszym piśmie. Zesłańcze wspomnienia wydawane są także w poczytnej serii „Tak było... Sybiracy”, realizowanej przez Oddział Związku Sybiraków w Krakowie, pod red. Aleksandry Szemioth, przewodniczącej tamtejszej Komisji Historycznej oraz systematycznie drukuje je czasopismo „My Sybiracy” wydawane przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Mamy nadzieję, że przez taki zabieg edytorski wzbogacimy naszą historiografię o cenne źródła dotyczące deportacji Polaków na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rejony byłego Związku Radzieckiego. (red.)

*

Ryszard Glijer – Droga Sybiraka do wojska gen. Władysława Andersa

A myśmy szli do polskiego wojska
głodni, obdarci, i chorzy, a swoją drogę przez
tundry, puszcze i bezkresne stepy Sybiru znaczyliśmy
krzyżami na mogiłach tych co nie doszli.

R. G.

Ryszard Glijer urodził się w Kowlu w 1923 r. Ukończył 4 klasy gimnazjum. 13 kwietnia 1940 r. zesłano go z matką i młodszymi braćmi do Kazachstanu. W marcu 1942 r. wstąpił do armii gen. W. Andersa. W Teheranie powołany został do szkoły podchorążych piechoty. W ramach kontyngentu 20.000 żołnierzy, jakich zażądał gen. W. Sikorski dla uzupełnienia szeregów Wojska Polskiego w Wielkiej Brytanii, drogą przez Egipt, Palestynę i Południową Afrykę przybył do Szkocji. Tu po rozwiązaniu szkoły, z powodu zatopienia statku z 1-szą kompanią, wstąpił do nowo zorganizowanej szkoły „cichociemnych” jako Jednostki Specjalnej Sztabu Naczelnego Wodza. Po jej ukończeniu w stopniu kaprała podchorążego został instruktorem następnych roczników. W lutym 1944 r. wyjechał do Włoch z grupą elewów szkoły do zorganizowania Bazy nr 11 zaopatrującej w broń Armię Krajową i wysyłającej „cichociemnych” do kraju.

W grudniu 1944 r. otrzymał awans do stopnia podporucznika łączności i objął dowództwo kompanii w Szkole Radiotechnicznej w Safar koło Rzymu prowadząc zaję-

cia z radiotelegrafii. W 1946 r. powrócił do Anglii, gdzie był adiutantem dowódcy Polskiego Korpusu Przynależności, tłumaczem, oficerem łącznikowym i do spraw społecznych. Współpracował z Ministerstwem Pracy Rządu Jego Królewskiej Mości. Z wojska wystąpił na własne żądanie w marcu 1948 r. Potem pracował w Manchester w fabryce chemicznej produkującej CS₂ dla potrzeb przemysłu włókienniczego. W listopadzie tegoż roku na własny koszt powrócił do kraju na statku „Batory”.

W Puławach pracował w Państwowym Instytucie Weterynarii, a następnie w Puławskich Zakładach Przemysłu Bioweterynaryjnego na Michałowcu. Ukończył zaocznie Technikum Weterynaryjne, a następnie 2-letnie Studium Ekonomiczne i roczne – planowania i ekonomii. W 1984 r. odszedł na emeryturę ze stanowiska Głównego Ekonomisty – Kierownika Działu Planowania i Ekonomiki. 15 maja 1949 r. Komisja Weryfikacyjna Oficerów przy RKU Lublin-Powiat zatwierdziła mu stopień szeregowca. Posiada Srebrny Krzyż Zasługi z Mieczami, brytyjski „War Medal”, Krzyż Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie i wiele innych medali oraz odznaczeń brytyjskich i polskich. W kraju otrzymał Srebrny Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. W 2000 r. Ministerstwo Obrony Narodowej przywróciło mu stopień podporucznika, mianując do stopnia kapitana rezerwy. (red.)

*

Północny Kazachstan, Pawłodarskaja Oblast, Maksymogorkowski Rejon, Sieło Kaczyry. Drugi rok mojego pobytu na zesłaniu z matką i dwoma młodszymi braćmi. Pracowałem w stajni w rejonowym Ziemskim Oddziale. Opiekowałem się gniadą klaczą – Tamarą. Woziłem w teren inżyniera Tierychowa, który z ekipą ludzi prowadził w stepie odwierty w poszukiwaniu źródeł słodkiej wody. Któregoś dnia w lipcu, jak zwykle rano, poszedłem do pracy. Mieliśmy z Tierychowem jechać w step na kontrolę odwiertów z jednym z członków komisji, która urzędowała w rejonie. Zostawiłem Tamarę (klacz) przy płocie i poszedłem szukać inżyniera. Wstąpiłem do świetlicy i obraz jaki zobaczyłem przypominał mi „Ostatnią Wieczerzę” Leonarda da Vinci. Za stołem ustawionym pod ścianą, naprzeciw drzwi, siedziała grupa mężczyzn z otyłym przewodniczącym komisji po środku, a po bokach siedzieli młodszy praktykanci pracujący z Tierychowem przy odwiertach. Stałem w drzwiach i zameldowałem, że jestem gotów do drogi. Przewodniczący wstał, podszedł do mnie, wziął mnie za szyję i zaprowadził do stołu. Towarzystwo rozsunęło się i zrobiło mi miejsce obok przewodniczącego. Byłem zaskoczony tą niespodzianą życzliwością obcych mi ludzi. Przewodniczący stojąc zapytał: „Kak tiebia zawut małodaj czelawiek? Ryszard Pawłowicz – odpowiedział Tierychow. No ty siewodnia nasz drug – mówił przewodniczący – wasz gienierał Sikorski podpisał dagawor z naszym batuszkom Stalinem i tiepier wmiestie bitć budim Germańca. Wypijom za wasze zdarowie, za pobiedu”.

Wypiliśmy dużo wódki. Oni coś jeszcze mówili, a ja myślałem tylko jak tu się urwać, pobiec do matki, do braci, do Polaków i obwieścić im radosną nowinę. W czasie libacji nie było mowy o wyjeździe w step. Z kołchoźnika, głośnika miejscowej rozgłośni, doszła nas wiadomość, że o godzinie 13-tej Wanda Wasilewska i generał Marian Józef Januszajtis będą przemawiali do Polaków w Związku Radzieckim. Po tej wiadomości pozwolono mi opuścić biesiadę i nie wracać do pracy. Przemówienia wysłuchaliśmy z wielką uwagą. Kobiety płakały, a nam młodym chłopakom skóra cierpła z wrażenia, że może już niedługo otworzy się przed nami świat. Tego popołudnia Inetta pocałowała

mnie na powitanie i spacerowaliśmy pod rękę, ku zazdrości moich kolegów i miejscowej młodzieży.

Pierwsze dni października. W Kazachstanie zaczynała się już zima. Rano padał deszcz. Poszedłem w step po Tamarę. Nie mogłem jej znaleźć. Nie było jej w tym miejscu gdzie zostawiłem ją poprzedniego wieczoru. Biegałem po stepie i po krzakach wzdłuż Irtysza. Nigdzie ani śladu po Tamarze. Myślałem, że może ją ktoś ukraść, albo wilki uprowadziły daleko w step. Po południu temperatura spadła o kilka stopni poniżej zera. Zmoczony ubranie zaczynało powoli sztywnieć i pokrywać się warstwą lodu. Szedłem w kierunku Pieszczań przez teren gdzie koszone trawę. Skręciłem nad rzekę. W zakolu Irtysza, w krzakach odnalazłem Tamarę. Wsiadłem na konia i truchtem pojechałem do domu. Odprowadziłem Tamarę do stajni. Wytarłem ją mocno wiechciem słomy i zameldowałem się u inżyniera. Wysłuchałem poleceń na dzień następny. Wyfasowałem pajok chleba, dostałem kieliszek wódki na rozgrzewkę i biegiem wróciłem do swojej ziemianki.

Na drugi dzień nie wstałem. Wysoka temperatura i bóle w klatce piersiowej zapowiadały silne przeziębienie. Brat powiadomił Tierychowa o mojej chorobie i dowiedział się, że koń też zachorował, kaszle i nie chce jeść. Ja po kilku dniach wstałem, a Tamara zdechła. W wyniku przeziębienia zaczęły pojawiać się czyraki na moich nogach i rękach i to po kilka na raz. Początkowo występowało zaczerwienienie, potem bolesny obrzęk, a wreszcie ropień. Poszedłem do lekarza. Lekarz skierował mnie do szpitala. Szpital był nieduży, kilka małych czteroosobowych sal, jeden lekarz i kilka pielęgniarek, w tym jedna Polka. W mojej sali leżał młody chłopak Wania i starszy Sybirak, który opowiadał ciekawe historie z czasów carskich, o rewolucji i o strasznym głodzie w latach trzydziestych.

Podczas tego pobytu w szpitalu gruchnęła wieść, że Wojenkomat daje skierowania ochotnikom do wojska polskiego organizowanego na terenach Związku Radzieckiego. Poruszenie wśród Polaków było niesamowite. Wiadomość tę przyniósł mi do szpitala brat Jasio i powiedział, że wszyscy moi koledzy już się zgłosili. Mają za dwa dni płynąć do Omska, a dalej pociągiem na tereny gdzie organizowane jest polskie wojsko. Co robić? Nogi zabandażowane. Najgorsze dwa czyraki pod lewym kolanem. Lekarz nie chciał słyszeć o wypuszczeniu mnie ze szpitala. W nocy dyżur miała siostra Ela. Przyniosła mi ubranie. Rozbandażowałem nogę. Czyraki spowodowały przykurcz w kolanie. Obudziłem Wanę. Uchwyciłem się mocno poręczy łóżka, a Wani kazałem pociągnąć za nogę. Noga się wyprostowała. Pocięła obficie ropa z przerwanych czyraków. Ulżyło.

Pod osłoną nocy poszedłem do ziemianki. Następnego dnia matka zmieniła mi bandaż. Upiekła kilka lepiosków, wysupłała kilka rubli i spakowała mi worek na drogę. Ubrałem się w resztę ubrania ojca i kozuch. Wieczorem mama i Jasio odprowadzili mnie na przystań. Na przystani była już Inetta z matką. Przy okazji poznały się z moją matką i razem czekaliśmy na statek z Semipałatyńska, który przyplynał o świcie. W oczekiwaniu na statek godziny dłużyły się niemiłosiernie. Tyle mieliśmy sobie do powiedzenia, a w rezultacie niewiele można było powiedzieć. Często zalegało przykre milczenie i patrząc na siebie, tak jakbyśmy chcieli dobrze zanotować w pamięci swoje obrazy. Żegnało mnie dużo osób, ale płakały tylko dwie, matka i dziewczyna. Ostatnie uściski, ostatnie słowa i ostatnie przestrogi.

Trzynasty października. Wczesnym rankiem znalazłem się na pokładzie statku razem z kolegami. Jeszcze chwila, syrena i statek powoli zaczął odbijać od brzegu. Sylwetki osób pozostawionych na brzegu zaczęły maleć i zacierać się w stale powiększającej się dali. Niektóre odchodziły na zawsze, inne na bardzo długo. Na statku byli już Polacy, przeważnie młodzież z kopalni glinki potasowej z pod Semipałatyńska, uczniowie z krzemienieckiego liceum. Jednego dnia wszyscy zostali aresztowani i wywiezieni na Sybir za akt wrogości wobec okupanta. Byłem chory, do czego nie przyznawałem się wcześniej. Miałem temperaturę i bolały mnie okaleczone nogi.

Nie pamiętam jak długo płynęliśmy do Omska, 300 kilometrów w dół rzeki. Jadłem lepieszki i popijałem herbatą. Spaliśmy na ławkach i na podłodze, gdzie się dało. Nawiązywaliśmy znajomości. Śpiewaliśmy patriotyczne piosenki i płynęliśmy do wojska z przydziałem do Saratowa. Omsk, duże stare rosyjskie miasto. Przewieziono nas z przystani na dworzec i kazano czekać na pociąg do Kujbyszewa, z tym, że nikt nie umiał powiedzieć kiedy nasz pociąg przyjedzie. Noc spędziliśmy na bruku pod stacją. Na stacji nie było miejsca. Rano obudziliśmy się pokryci grubą warstwą śniegu. Chciało nam się pić. Kolega poszedł do bufetu i kupił dwie butelki szampana. Nic innego do picia nie było. Wypiliśmy w trzy osoby, Zbyszek, Janek i ja. Zakręciło mi się w głowie, może i dobrze. Świat zobaczyłem w innym kolorze, a czas oczekiwania na pociąg znacznie się skrócił. Do pociągu wsiedliśmy po południu i ruszyliśmy w drogę. Mijane za oknem krajobrazy przypominały drogę przebytą w odwrotnym kierunku. Wtedy jechaliśmy w towarowych wagonach, w nieznane. Tym razem w wagonach osobowych, do wojska, a w perspektywie, jak Bóg da, do Kraju, do Polski.

Kujbyszew, bardzo duże miasto, położone na lewym brzegu Wołgi, szerokiej potężnej, legendarnej rosyjskiej rzeki. W owym czasie była to druga stolica Związku Rosyjskiego. Tu ewakuowano w czasie zagrożenia Moskwy przed inwazją niemiecką, wszystkie ważniejsze urzędy i ambasady. Tu mieściła się ambasada polska. Zgrupowano nas w budynku szkoły i kazano czekać. Powiedziano nam, że do Saratowa nie pojedziemy, ponieważ jest pod ostrzałem artylerii niemieckiej. Dostaniemy nowy przydział. Po kilku dniach dostaliśmy przydział do Buzułuku. Wsadzono nas w wagony, tym razem towarowe i wysłano w drogę. Do Buzułuku przyjechaliśmy w nocy. Długo staliśmy na stacji. Nie pozwolono opuszczać wagonów. Po jakimś czasie okazało się, że w Buzułuku nie ma już dla nas miejsca. Dołączyło do nas jeszcze kilkunastu ochotników. Na dowódcę przydzielili pułkownika Mączkę. Zaopatrzyli w worki sucharów, beczki śledzi i sera i wysłali w dalszą drogę na południe, do Uzbekistanu, podając stację przeznaczenia gdzieś w okolicy Taszkentu.

Jechałem w wagonie dowódcy. Sama młodzież, tylko pułkownik różnił się wiekiem, miał około pięćdziesiąt lat. Ja byłem najmłodszy. Miałem wtedy siedemnaście lat. Nie wiem jak to się stało, zrobiono ze mnie zaopatrzeniowca. Do moich obowiązków należało pilnowanie zapasów żywności, rozdzielanie raz dziennie na wagony, a w swoim wagonie dzielenie na porcje. Dzielenie odbywało się na oczach wszystkich zainteresowanych i głodnych ludzi. Broń Boże, żeby komuś dostało się mniej lub więcej niż mu się należało. Najtrudniej było dzielić ser bez wagi. Darzono mnie zaufaniem i nikt nigdy nie zgłaszał pretensji. Podróż trwała kilka dni. Dla zabicia czasu, zwłaszcza wieczorami przy jed-

nej świecy w wagonie, pułkownik opowiadał przeczytane książki. Opowiadał tak ładnie i obrazowo, że wystarczyło zamknąć oczy, a widziało się obrazy malowane jego słowami. Jedna opowiadana przez niego książka utrwaliła mi się dobrze w pamięci. Wiele razy przy różnych okazjach treść tej książki, oczywiście nie tak ładnie jak mój pierwszy dowódca, przekazywałem swoim słuchaczom w szpitalu i w sanatorium. Była to historia biednego studenta z Londynu, który przez przypadek wcielił się w lorda. Zbankrutowany lord popełnił samobójstwo zamieniając uprzednio dowody osobiste z upitym do nieprzytomności studentem bardzo podobnym do niego.

Zbliżaliśmy się do stacji przeznaczenia. Pociąg zatrzymał się na małej stacyjce. Z budynku stacji wyszła młoda dziewczyna, machnęła czerwoną chustką i pociąg pojechał dalej. Dokąd? Nikt jak zwykle nie umiał powiedzieć. Jechaliśmy mijając stacje i stacyjki i nikt się nami nie interesował. Minęliśmy Taszkent i co bieglejsi w geografii twierdzili, że wiozą nas na wschód, w kierunku granicy Chin i Afganistanu. Końcowa stacja na tej linii to Andinżan. Obok stacji piramidy białej jak śnieg bawełny. Pociąg stoi, a my czekamy w wagonach. Nic nie wiemy co nas czeka. To znaczy wiemy, że nie można opuszczać wagonów. Dostajemy kipiatok, suchary i czekamy. Mija jeden dzień, drugi i nic się nie dzieje. Kilku śmiałków przeprowadziło wywiad wśród kolejarzy i dowiedzieli się, że do granicy z Afganistanem jest zaledwie dwadzieścia kilometrów. Postanowili uciekać tą drogą do Anglików okupujących w tym czasie Afganistan. Następnego dnia przyprowadzono ich pod strażą i wsadzono do wagonu. Zamknęli nas wszystkich w wagonach i ruszyliśmy tym razem na zachód w stronę powrotną. Ucieczka nie udała się. Granica była dobrze obstawiona wojskiem. Śmiałkowie nie znali terenu. Zostali ostrzelani, ale na szczęście nikt nie zginął, ani nie został ranny.

Kokanda. Pierwszy przystanek. Przez odrutowane, małe okno w wagonie niewiele było widać. Dużo drzew, zieleni i tłumy ludzi w pobliżu stacji. Przy naszym wagonie rozmawiało dwóch konwojentów, młodych żołnierzy. Zaczęliśmy podsłuchiwać ich rozmowę, z której dowiedzieliśmy się, że wiozą nas na Kara Kum, to czarna pustynia na której sowieci budują kanały irygacyjne. W ten sposób chcą nawodnić pustynię i zamienić ją w urodzajną krainę. Praca tam jest bardzo ciężka, pracują więźniowie, a teraz będą pracować Polacy. Tym razem w wagonie byliśmy wszyscy z Kaczyr i okolicy. Z nami były dwie dziewczyny, Marysia i Wanda. Po krótkiej naradzie postanowiliśmy uciec z transportu, ale jak? Drzwi zamknięte od zewnątrz. Wpadłem na pomysł. Oddrutowaliśmy okienko, przez które mogłem wychylić się na zewnątrz i nawiązać rozmowę z jednym z żołnierzy, pilnującym naszego transportu. Był to młody, ładny chłopak, Rosjanin. Zastanawiałem się czym mógłbym go przekupić za otwarcie drzwi. Miałem w worku brzytwę, miseczkę i pędzelek. Zapytałem go czy ma przyrządy do golenia. Odpowiedział, że nie ma. Powiedziałem mu prosto z mostu. Towarzyszu chcecie dobrą germańską brzytwę, miseczkę i pędzelek? Chcę – odpowiedział. Otwórz drzwi, a ja z kolegą wyskoczę na stację i kupię coś do jedzenia – skłamałem. Daj najpierw, a potem zobaczymy – odparł konwojent.

Dałem mu obiecane rzeczy ryzykując ich utratę, bez nadziei spełnienia mojej prośby. Chłopak był jednak przyzwoiły. Rozejrzał się wokoło, otworzył drzwi, a sam schował się za wagonem. Na to czekaliśmy. Prysnęło nas 15 osób.

Wszyscy z Kaczyr. Pozostałym zabrakło odwagi. Uciekaliśmy jak najdalej od stacji, na wypadek gdyby chcieli nas szukać. Pociąg odjechał, a my zostaliśmy i po pewnym czasie wróciliśmy na stację. Była noc. Szukaliśmy jakiegoś miejsca do spania. Na dworcu było pełno ludzi. Wśród podróżnych grasowali bezpryzorni, czyli młodociani przestępcy okradający śpiących. Trzymaliśmy się razem. Dołączyły do naszej gromadki jeszcze dwie Polki nauczycielki z Wołynia z dużymi walizkami. Znaleźliśmy kawałek wolnej przestrzeni na bruku pod płótnem opodal stacji. Tam rozłożyliśmy obozowisko.

Następnego dnia rano postanowiliśmy wyruszyć w poszukiwaniu jedzenia. Ja poszedłem ze Zbyszkiem Jabłońskim, a Jasio z Władkiem. Reszta pozostała z dziewczętami przy stacji pilnując walizek, worków i miejsc do spania. Do miasta prowadziła długa, szeroka i prosta droga, wzdłuż której po obydwu stronach płynęła woda płytkimi arykami, rowami irygacyjnymi. W środku Azji system nawadniania jest podstawowym warunkiem wszelkich upraw, a zwłaszcza bawełny. Woda w arykach czczona jest jak świętość. Aryki były wszędzie bardzo czyste i dobrze utrzymane. Nigdzie nie widziałem najmniejszego zanieczyszczenia, zwłaszcza w miastach, o co nie było trudno. W drodze do śródmieścia wstępowaliśmy do bardziej okazałych domów oferując jakkolwiek pracę za kawałek chleba. Nigdzie pracy nie dostaliśmy, chleba również. Brakowało nawet miejscowym Uzbekom.

Zmęczeni, z pustymi rękami wracaliśmy na stację. Przechodziliśmy obok piekarni. Postanowiliśmy do niej wstąpić. Wszedłem pierwszy. W dużym pomieszczeniu, na stołach, leżały bochenki świeżego chleba i lepioszki. Była tam tylko jedna dziewczyna, która układała chleb na sterty według rozdzielnika. Obok niej były otwarte drzwi do następnego pomieszczenia. Zapytałem gdzie można znaleźć kierownika piekarni. Kierownika nie ma – odpowiedziała dziewczę i kazało wyjść. Zbyszek stał na zewnątrz za drzwiami i nas obserwował. Nie pytając o nic więcej wtargnąłem do drugiej izby, a dziewczyna za mną. W drugiej izbie było kilka kobiet w białych fartuchach. Wyjmowały chleb z pieców. Zrobiło się zamieszanie. W tym czasie Zbyszek wpadł do środka, chwycił dwa duże bochenki i opuścił piekarnię. Mnie wyrzucono na ulicę. Z daleka zobaczyłem uśmiechniętą gębę Zbyszka ze zdobyczą pod pachą. Dzień mieliśmy z głowy.

Kokanda była ładnym miastem. Było tam dużo zieleni i dużo drzew. Domy czyste, białe, a ludzie jak wszędzie smutni, małowówni i nieufni. Następnego dnia, po obudzeniu się stwierdziliśmy, że miejsca po Jasiu i Władku i dwóch przygodnie poznanych chłopakach są puste. Gdyby nie płacz nauczycielek po straconych walizkach myślelibyśmy, że Jasio wyruszył na poszukiwanie chleba. Okazało się jednak, że tamtej nocy pojechał do Buzułuku razem z Władkiem, a ponieważ był synem kapitana, prokuratora wojskowego, a Władek synem podoficera, zostali więc łatwo przyjęci do wojska i ominęła ich dalsza długa tułaczka. W Kokandzie nie mieliśmy co robić. Siostra Wandy po zwolnieniu z więzienia zatrzymała się w Samarkandzie, skąd wysłała list do rodziny w Kaczyrach i podała swój adres. Postanowiliśmy w czwórkę, Marysia, Wanda, Zbyszek i ja pojechać do Samarkandy na jej poszukiwanie. Wsiedliśmy do pierwszego lepszego pociągu jadącego w stronę Taszkontu i dalej na południe. Jechaliśmy oczywiście bez biletów, bo nie mieliśmy pieniędzy. Zamiast biletów wystarczyło powiedzieć, że jedziemy w poszukiwaniu wojska polskiego.

Samarkanda – następny przystanek w drodze do wojska. Podobnych przystanków będzie jeszcze wiele. Miasto meczetów, uniwersytetów i targowisk, tonące w zieleni jak wszystkie miasta środkowej Azji. Był koniec października i było jeszcze ciepło. Zaraz po przyjeździe wyruszyliśmy na poszukiwanie siostry z adresem w garści. Szliśmy w kierunku śródmieścia. Z prawej strony mijaliśmy kompleks białych, dużych budynków uniwersyteckich, a nieco dalej z lewej meczety pięknie inkrustowane, w kolorze niebieskim i szarym o strzelistych minaretach i kopułach. Śródmieście typowe dla dużych miast, piętrowe stare kamienice i wąskie ulice. Ta część miasta usytuowana była na wzniesieniu i dominowała nad całym miastem. Tu również było dużo drzew i krzewów. Po dłuższym błądzeniu odnaleźliśmy dom i mieszkanie podane w adresie, ale poszukiwanej siostry tam nie było. Wyjechała kilka tygodni wcześniej. Właścicielka mieszkania niewiele mogła nam powiedzieć. Urwał się kontakt i chyba na zawsze.

W drodze powrotnej na stację, gdzie koncentrowało się życie tułaczy Polaków, wstąpiliśmy na bazar obok jednego z meczetów. Tu Zbyszek wykorzystał swoje zdolności i spryt zaopatrzeniowca. Zwędził kilka marchewek, cebulę i jednego lepioszka. Nam pozostałym nic nie udało się zorganizować. Skromna zdobycz została sprawiedliwie podzielona i musiała wystarczyć na zaspokojenie głodu. Na stacji dowiedzieliśmy się, że działa polska delegatura, której urzędnicy raz dziennie wydają kartki na zakup i kawałek chleba do pobliskiej stołówki. Skorzystaliśmy z tej formy dożywiania z wielką radością. Spanie jak wszędzie na bruku pod płotem, przy stacji. Innych możliwości nie było. Chodząc na zakup i włączając się po bazarach spędzaliśmy czas w Samarkandzie. Ale co dalej? Nikt nic nie wiedział. Z każdym dniem przybywało coraz więcej Polaków, zwalnianych z więzień, łagrów i zsyłki. Władze radzieckie i uzbeckie musiały problem ten w jakiś sposób rozwiązać i rozwiązały. Pewnego dnia ogłoszono, że organizuje się wyjazd do pracy w okolicznych kołchozach, na okres kilku miesięcy, do czasu zorganizowania polskich jednostek na południu Uzbekistanu. Zgłosiliśmy się wszyscy. Znów wagony, nowe znajomości, nowe miejsce postoju w drodze do wymarzonego wojska.

Mała stacyjka i mała miejscowość w górach Pamiru. Nazwy nie pamiętam. Noc spędziliśmy w parku na ławkach głodni i zmęczeni. W nocy śnił mi się świeży chleb. Obudziłem się o świcie i poczułem zapach chleba. Nic dziwnego, spałem niedaleko ulicy, a po drugiej stronie była piekarnia i stąd ten zapach. Przeskoczyłem przez płot i wiedziony zapachem poszedłem do piekarni. Z piekarni wychodziła młoda Uzbeczka z kilkoma lepioszkami pod pachą. Nic nie mówiąc wyciągnąłem rękę, a ona, nie wiem czy ze strachu, czy z litości dała mi jeden bez słowa. Zjeść samemu, czy podzielić się z resztą paczki? To był problem. Ostatecznie zjedliśmy po kawałku we czwórkę.

Po południu Wojenkamat zorganizował zbiórkę przed swoją siedzibą. Staliśmy w kilku szeregach. Z budynku wyszli żołnierze i z wyglądu sadząc kierownicy okolicznych kołchozów ubrani w lisie czapy, siermięgi i szerokie pantaloney. Zaczął się targ niewolników. Chodzili między szeregami i wybierali ludzi do roboty. Próbowali nas rozdzielić. Dziewczyny wziął jeden, a nas dwóch inny przedstawiciel kołchozu. Nie daliśmy się rozdzielić. W końcu pierwszy zwyciężył i dobił targu biorąc całą czwórkę. Podjechały arby, duże

skrzynie zawieszono na dwóch wielkich kołach, zaprzężone w woły. Załadowano nas razem z innymi wcześniej wybranymi i w drogę. Było nas na tej arbie chyba dwanaście osób. Jechaliśmy dość długo, do późnego wieczora. Góry z lewej i prawej strony. Zielone łąki i gdzieś tam skrawki uprawnej ziemi. W innym miejscu, w rozległej dolinie większe uprawy jakiejś dziwnej rośliny, wyschniętej z białymi pięknymi kwiatami. Okazało się później, że była to uprawa bawełny dojrzałej do zbioru. Te białe kwiaty to bawełna.

Do kołchozu o nazwie „Dwadcatpiatowo Sientiabra” przyjechaliśmy w przeddzień uroczystości związanych z rocznicą Rewolucji Październikowej. Zakwaterowali nas w drewnianym budynku w dość dobrym stanie, położonym przy głównym placu w kołchozie. Budynek był na wysokiej podmurówce. Wchodziło się do niego, od ulicy, po drewnianych schodach. Składał się z dwóch izb, kuchni i dużego pokoju. W kuchni ulokowały się dziewczęta, a w pokoju sześciu chłopaków.

Uroczystości trwały trzy dni. Nic nie robiliśmy. Chodziliśmy po kołchozie, a wieczorami ucztowaliśmy razem z kołchoźnikami pijąc wódkę i jedząc baraninę gotowaną na mleku razem z sorgiem, lepioszki i ciemnoczerwone, słodkie kawony. Po trzech dniach świętowania, z Polaków przywiezionych do kołchozu, zorganizowano brygady pracy i pod wodzą brygadzysty wysyłano nas na plantacje do zbioru bawełny. Otrzymaliśmy worki do zawieszenia na szyi i w nie zbieraliśmy śnieżnobiałe puszyste kule. Suchłe łodygi i gałązki krzewów drapały i kaleczyły ręce. Był słoneczny i ciepły dzień. Praca początkowo szła żwawo, ale w miarę zbliżania się końca dnia zmęczenie dawało się silnie we znaki. W zależności od procentu wykonanej normy dostawaliśmy przydział chleba i coś do chleba, najczęściej ser albo kawałek gotowanej baraniny. Daleko nam było do wykonania normy w 100 procentach. Początkowo brygadzista dopisywał nam po kilka procent, ale oszustwo szybko się wydało i powróciliśmy do skromnej porcji żywności.

Po kilku dniach dziewczęta i ja zostaliśmy przeniesieni do innej roboty. Łuskaliśmy zielone owoce bawełny i wydłubywali niezupełnie dojrzałą, mocno zbitą bawełnę. Rozsypywaliśmy ją na płachty i suszyli na słońcu. Po dwóch, trzech dniach po wysuszeniu bawełna robiła się puszysta i nadawała się do pakowania w dwumetrowej wysokości wory. Kołchoz w którym pracowaliśmy i chałupy kołchoźników położone były w głębokiej, obszernej dolinie otoczonej ze wszystkich stron wysokimi, nagimi i dzikimi górami. Obok wioski przepływał malowniczy strumień przecinając zieloną łąkę na której pasło się duże stado owiec. Wieczorem i w nocy słychać było wycie szakali, które schodziły z gór na polowanie. Otaczały wioskę i cokolwiek żywego pokazało się w ich zasięgu stawało się ich łupem. W ten sposób ginęły psy, koty, zagubione owce i cielęta.

Naszym brygadzystą był syn właściciela majątku, któremu odebrali ziemię i zorganizowali na niej kołchoz. W okresie kolektywizacji jego rodziców zamordowano, a jego wysłano do domu dziecka. Po osiągnięciu wieku dojrzałości pozwolono mu wrócić w rodzinne strony i pracować w kołchozie. Był to przystojny młody człowiek, dobrze zbudowany, pogodny i przyjaźnie do nas Polaków nastawiony. Dużo mu zawdzięczaliśmy, a szczególnie ja. Zaprzyjaźniłem się z nim. Zapraszał mnie często wieczorami do swojego domu i dożywiał. Mieszkał sam. Pewnego dnia brygadzista powiadomił nas, że dom w którym

mieszkamy kołchoz przeznaczą na magazyn bawełny, a nas przenoszą za wieś do oliwkowego gaju, do letniego baraku. Mamy zaopatrzyć się w opał. Dostaniemy żelazny piecyk i dużo słomy, więc nie powinno nam być zimno. Pierwsze noce nie były złe. Ustaliliśmy dyżury do pilnowania piecyka w nocy i palenia w nim. Paliło się całą noc i było dość ciepło. Pod koniec listopada przyszły mrozy, zwłaszcza w nocy było dość zimno. Aryki pozamarzały. Tej nocy dyżur i obowiązek podtrzymywania ognia przypadł na mnie. Spaliłem drobne kawałki drewna i zostało tylko kilka grubych. Widocznie nie chciało się komuś porąbać na drobniejsze i tak je pozostawił. Ledwie wcisnąłem jeden kawałek od góry i w miarę jak się od dołu spalał, wciskałem go głębiej. Byłem zmęczony i chciało mi się spać. Nie wiem kiedy zasnąłem. Nie pilnowane drewno rozpałiło się całe. Ogień poszedł w rurę przetkaną przez ścianę między pionowymi słupkami przetkanymi wikliną i oblepioną nawozem krowim zmieszany z gliną. Słupki zapaliły się i wkrótce ogień przeniósł się na dach i nie było już mowy o ugaszeniu pożaru. Obudził nas dym i ogień. Barak spłonął doszczętnie. Kołchoźnicy też nie próbowali gasić. Nie było wody. Zostaliśmy bez dachu nad głową. Ulokowali nas w biurze kołchozu. Rano zaczęło się śledztwo. Posądzono nas o umyślne podpalenie żeby dostać inne pomieszczenie. Nikt się do winy nie przyznał. Kierownik kołchozu zadzwonił do NKWD i powiadomił o spaleniu baraków przez Polaków.

Około południa przyjechało dwóch enkawudzystów na białych koniach, a zaraz po nich dwóch podoficerów z Wojenkomatu na karych, i w naszej obecności zaczęła się kłótnia między nimi. Enkawudziści chcieli nas zabrać ze sobą, a żołnierze z Wojenkomatu przyjechali zabrać nas na stację i jak się później okazało, odesłać do Turkiestanu. Po co, nikt jak zwykle nie wiedział. Taki był rozkaz. Wygrał Wojenkomat. Jeszcze tego samego dnia znaleźliśmy się na arbach w drodze do stacji. Na stacji stały dwa eszelony – to znaczy dwa składy pociągów obok siebie. Jeden był gotowy do drogi, drugi wypełniano Polakami dowożonymi z okolicznych kołchozów. Dziwiło nas skąd tyłu naszych ludzi wygarnięto w tych dzikich stronach. Paczka nasza zajęła cały jeden przedział. Przez okno rozmawialiśmy z pasażerami z drugiego pociągu. Oni też nie wiedzieli gdzie nas powiozą. Wszyscy myśleliśmy, że może tym razem do wojska.

Marysia i Wanda wyszły z wagonu. Chciały przejść się wzdłuż wagonów i poszukać siostry, może akurat jest gdzieś między ludźmi. Wróciły bardzo szybko. Siostry nie znalazły, ale spotkały kogoś znajomego i zapragnęły jechać dalej z nim, młodym przystojnym podchorążym. Pożegnały się i odeszły. Marysia na zawsze, a Wandę spotkałem po wojnie w Ankonie. Była szefem w kompanii samochodowej. Dowódcą była kapitan Baczevska, żona słynnego Baczevskiego ze Lwowa. Przed wojną produkowali znane na całym świecie wódki. Wanda była mężatką. Wyszła za kapitana z zawodu prawnika. Nie miała ciekawego życia. Żał mi jej było. Traktowałem tę dziewczynę jak siostrę. Jej matka oddała mi tę dziewczynę pod opiekę.

Następnym miejscem przeznaczenia było miasto Turkiestan, na północny zachód od Taszkontu, a właściwie odległy o czterdzieści kilometrów duży uzbecki kołchoz, położony w gołym stepie. Tam właśnie, część z naszego transportu zawieźli arbami. Jechaliśmy cały dzień. Po drodze tylko raz minęliśmy kilka chałup i przydrożną czajhanę, czyli pomieszczenie w którym można było

napić się herbaty. Chaty w kołchozie do którego nas przywieźli były wszystkie z samanu, otoczone murem, też z tego materiału. Od strony ulicy ciągnął się mur z furtkami prowadzącymi na teren posiadłości kołchozu. Dziwne wrażenie robiły takie ulice bez domów, a mury bez okien. Zostaliśmy przydzieleni do poszczególnych członków kołchozu, tym razem bez targu niewolników. Mój Uzbek zbudził mnie wcześniej rano. Dał do ręki łopatę, kazał wejść na dach i zrzucić śnieg, który spadł tej nocy. Po zrzuceniu śniegu z dachów odgarnąłem go z całego podwórza. Kołchoźnik miał kilka owiec i jedną krowę. Zadałem paszę zwierzętom, a potem usunąłem nawóz z ich pomieszczeń. Te wszystkie zajęcia zajęły mi czas aż do obiadu.

Pomieszczenie było duże, dwupoziomowe. Na niższym poziomie była kuchnia, czyli głębokie pękate wgłębienie w podłodze, w którym palono ogień. W otwór tego paleniska wkładano dużych rozmiarów żeliwny kocioł, a w nim gotowano zawsze tylko jedną potrawę, gęstą zupę z łazankami, baraniną i sorgiem. Po wyjęciu kotła i wygaszeniu ognia, do ścian wgłębienia przyklejano placki ciasta i w ten sposób wypiekano lepioszki, rodzaj naszych podpłomyków, jedzone zamiast chleba. Na podwyższeniu, do obiadu siadali mężczyźni przy wspólnej misie. W dole siedziały kobiety. Najstarszy wiekiem wyciągał udo baranie, odejmował mięso od kości i rzucał do misy. Oblizywał kości i rzucał kobietom, po czym wszyscy zabierali się do jedzenia. Zupa była gorąca. Wyciągnąłem z kieszeni łyżkę i chciałem sięgnąć po kawałek mięsa. Łyżkę zabrano mi i połamano. Kazano jeść palcami tak jak oni. Nie mogłem, mięso i łazanki były bardzo gorące. Sięgnąć ręką do misy też nie bardzo mogłem, bo górną część dłoni miałem zamalowaną gencjaną dezynfekującą ranę po pękniętym, dużym wrzodzie. Mimo usilnych prób ukrycia tego faktu, któryś z domowników zauważył ranę. Wyrzucono mnie z domu i dano mi małą miskę jadła w drewni, jak psu. Tego znieść nie mogłem. Poszedłem do kierownika i powiedziałem, że mnie wyrzucono. Dlaczego nie wiem i ja do nich nie wrócę. Ten zawołał brygadzystę i coś mu po uzbecku powiedział. Ten pokazał mi drzwi i kazał iść za sobą. Zaprowadził mnie do małej stajni. Wyprowadził konia. Dał mi widły i miotłę i kazał wyrzucić nawóz i pozamiatać. Powiedział, że przyniesie snopek słomy i będę tu mieszkał, a co dalej to się zobaczy. Była połowa grudnia, zimno ale bez śniegu. Pierwszą noc spędziłem sam. Na drugi dzień, włócząc się po kołchozie spotkałem Zbyszka. Narzekał na swojego kołchoźnika. Zapytał gdzie mieszkam? Zaprowadził go do mojej stajni. Kławo jest powiedział. Przychodzę mieszkać do ciebie, tylko najpierw podwędzę coś niecoś do jedzenia swojemu gospodarzowi. Po godzinie Zbyszek wrócił niosąc za pazuchą lepioszki, a w kieszeni suszony ser. Na drugi dzień stopniowo zaczęli dołączać inni koledzy.

24 grudnia – dzień wigilii Bożego Narodzenia. Rano poszedłem w step nzbierać burzanów, toczących się po stepie, wyschłych, kulistych kokonów. Używaliśmy ich do palenia w naszym żelaznym piecyku. Zbyszek poszedł na wieś po zaopatrzenie. Przyniósł jednego lepioszka, garść sorga i kawałek suszonego owczego sera. Wigilia zapowiadała się nieźle. Wieczorem przyszło jeszcze kilku kolegów, w tym jeden Hucuł i jeden Żyd z Warszawy. Było nas ośmiu. Koledzy też przynieśli po kawałku nadgryzionego już lepioszka. Na piecyku ugotowałem sorgo z serem. Podzieliliśmy się lepioszkiem jak opłatkami. Zjedliśmy po kilka łyżek sorgo i po wigilii. Żyd zagrał na fajerkach. Za-

śpiewaliśmy kolędy. Wymownie brzmiała kolęda „W żłobie leży”. Wspominaliśmy dawne dobre czasy w kraju i swoje rodziny. Życzyliśmy sobie rychłego dostania się do wojska, w które jeszcze ciągle wierzyliśmy. Wigilia i Boże Narodzenie jak w Betlejem, stajnia, żłób, słoma zamiast siana, a na niej kilku młodych ludzi z mglistą przyszłością. Po Nowym Roku następnii Polacy porzucili pracę u kołchoźników i przyszli zamieszkać do mnie. Ledwie mogliśmy się pomieścić w tej małej stajence. W tej sytuacji kierownictwo kołchozu przydzieliło nam wolno stojącą chałupę z samanu, o jednym dużym pomieszczeniu z piecem kuchennym i *prygonem*, czyli dużą sienią.

W nowym lokalu zamieszkało dwanaście osób, a mianowicie: Paweł Pleśniewski – powiat Kołomyja, poczta Koszów, wieś Michałków; Halina Domińska – Suwałki, państwowy tartak, leśniczówka Płociczno; Iza Podobińska – woj. Białystok, poczta Tykocin, majątek Szelągówka; Stanisław Tracz – Jędrzejów, majątek Góry, pseudonim Powar Kopytko. Przed wojną kierowca dziedzica. W łagrach kucharz. W naszym zespole też pełnił tę funkcję; Piotr Boguty – inżynier z Warszawy; Jakub Młynarz – Warszawa ul. Podwale 40, sklep szkło, Żyd pseudonim Pytel Palimąka; Zbigniew Jabłoński – brak adresu. Zaopatrzeniowiec. Kolega z Kaczyr, pseudonim Rozsada; Kazimierz Engelgard – Rożyszcze, Wełniczka. Pseudonim Wajcha; Wacław Figlar – Zaośce, powiat Zborów, woj. Tarnopol; Aleksander Chemyn – Borysław, Chorodyszcz ul. Wysoka 11, powiat Drohobycz. Pseudonim Pytuch; Kazimierz Lisiak – Tarnopol, ul. Cementowa 16, pseudonim Sołtys; Katarzyna Łukaszewiczówna – woj. Nowogródek, Koroszyn koło Baranowicz; Ryszard Glijer – Kowel, ul. Monopolowa 89, woj. wołyńskie.

Mieszkaliśmy wszyscy razem. Leżeliśmy pokotem na podłodze wzdłuż ścian. Dziewczyny na lewo chłopaki na prawo. Pracowaliśmy w ładowni bawełny. Pakowaliśmy bawełnę do dużych worków i ubijaliśmy do wyznaczonej normy. Ubijanie odbywało się nogami. Dla zabawy, a właściwie dla rozgrzewki drażyliśmy tunele w piramidzie bawełny i ze środka braliśmy ciepłą bawełnę. W tunelu było ciepło i przyjemnie. Raz taki tunel zawalił się i odciął mi drogę na zewnątrz piramidy. Dobrze napracowali się koledzy zanim mnie odgrzebali na pół uduszonego. Wypadek ten zachowaliśmy w tajemnicy przed brygadzystą i od tego czasu nie zabawialiśmy się w ten sposób.

Za pracę dostawaliśmy po szklance mąki na pracującego. Dziewczęta i ja nie zawsze pracowaliśmy. Ja stale dostawałem nowych czyraków na całym ciele. Iza za łyżkę lub widelec ze swego zestawu ocalałej platerki dostawała od miejscowego felczera maść, którą próbowała leczyć moje rany i łagodzić cierpienie. Wiele tej dziewczynie zawdzięczam. Stasio Tracz był wspinałym kucharzem. Z mąki i wody codziennie wyczarowywał nowe potrawy. Jakby się nie nazywały, zawsze była to mąka i woda. Jadłospis mieliśmy ustalony na cały tydzień, a mianowicie: poniedziałek – rwoki; wtorek – szczypoki; środa – zacierka; czwartek – kluski; piątek – łazanki; sobota – kluski kładzione; niedziela – makaron.

To nieważne, że makaron był bez jajek, ale był cienko pokrojony i zawsze smakował inaczej niż rwoki. Apetyty dopisywały. Nic się nie marnowało. Po kilku tygodniach takiego odżywiania, zaczynały krwawić nam dziąsła i ruszać zęby. Szkorbut – brak białka i witamin. Stasio Tracz zdecydował. Polujemy na psy. W okolicy naszej chałupy często kręcił się ładny, duży, tłusty pies.

Ustaliłem ze Stasiem w jaki sposób zwabić go do sieni i zabić. Jeden z nas zostawi trochę gorących klusek w misce. Miskę wystawimy do sieni i otworzymy drzwi. Pies musi poczuć zapach klusek i wejdzie do sieni, a wtedy będzie nasz. Pies wszedł. Stasio wyskoczył przez okno i zamknął drzwi. Mieliśmy psa w sieni i co dalej? Stasio miał przygotowany żelazny pręt. Podczas gdy głodny pies wylizywał miskę, Stasio rąbnął go w łeb. Połowa sukcesu za nami. Pies nie żył. Stasio wbił pręt w ścianę. Związał tylne łapy i zawiesił psa na pręcie. Szybko ściągnął skórę i oprawił tuszę. Wnętrznosci, łeb i inne odpady zawinęliśmy w skórę i zakopali niedaleko naszej chałupy. Zakopaliśmy dość płytko i od tego czasu wszystkie psy omijały nas z daleka. Po następne psy musieliśmy chodzić na drugi koniec wioski. Iza następną łyżkę wymieniła na kilka główek cebuli. Część mięsa ugotowaliśmy, a resztę usmażyli z cebulą na psim tłuszczu. Zapach był przyjemny i wzbudzał apetyt. Pierwszego psa jadło nas tylko czterech: Stasio, Zbyszek, Kazik i ja. Trzeciego jedli już wszyscy. Właściwie nie jedliśmy, a żarliśmy. Mięso było twarde bez względu na to jak długo było gotowane czy smażone, ale kuracja poskutkowała. Krwawienie po pewnym czasie ustało, a zęby powróciły na swoje miejsca. Właścicielem pierwszego psa był prawdopodobnie przewodniczący kołchozu. Nie wiem w jaki sposób miejscowa ludność dowiedziała się, że Polacy jedzą psy. Rozeszła się wieść po wsi, że po psach Polacy zaczną jeść ludzi. Sprawą zainteresowało się NKWD, ale nie mogli nam udowodnić przestępstwa.

Odżyliśmy trochę podczas ślubów i wesel. U Uzbeków był bowiem taki zwyczaj, że w czasie godów, które odbywały się na dziedzińcu pana młodego, w bramie stał jeden z domowników i zapraszał na poczęstunek wszystkich przechodzących ulicą przed weselnym domem. Parami spacerowaliśmy ulicami przy których odbywały się wesela. Zapraszano nas i usadzano przy matach. Przy jednej macie siedziało zwykle około dziesięciu biesiadników, a czasami i więcej. Staraliśmy się siadać osobno. Uzbecy, zwłaszcza starsi, wiedzieli, że nie dojadamy, więc zostawiali na macie część lepiosków i mięsa. Ostatni odchodzący od maty miał prawo zabrać wszystko co pozostało jeszcze do zjedzenia. W ten sposób robiliśmy zapasy na kilka dni.

Minął styczeń, zaczął się luty, a o poborze do wojska nic nie było słychać. Co prawda siedzieliśmy w dziurze zabitej deskami. Któregoś dnia ustaliliśmy, że musimy wysłać kogoś do miasteczka dla przeprowadzenia rozeznania w sytuacji na świecie. Wybór padł na Zbyszka. Złożyliśmy się wszyscy na jego wyposażenie do podróży. Jeden dał buty, inny spodnie. Ja dałem kozuch i wojskowy pas. W ten sposób wyposażony Zbyszek ruszył w daleką drogę. Mijały dni i tygodnie, a naszego delegata nie było widać, nie wracał. Siedziałem w domu, bo bez kozucha nigdzie nie mogłem wyjść. Powoli traciliśmy nadzieję na powrót Zbyszka. Pod koniec miesiąca wreszcie się zjawił rozpromieniony, odżywiony z bagażem pomyślnych wiadomości. W Turkiestanie jest już polska delegatura i przyjmuje zgłoszenia do wojska. Za kilka dni wyrusza pierwszy transport na komisję wojskową gdzieś za Taszkent. W chałupie zrobił się ruch. Byliśmy gotowi natychmiast wyruszać w drogę. Rozsądek zwyciężył. Czterdzieści kilometrów do miasta, a wszyscy osłabieni. Trzeba było liczyć się z tym, że będziemy musieli maszerować co najmniej czternaście – piętnaście godzin. Tak też było. Wyruszyliśmy następnego dnia jeszcze po ciemku i dotar-

liśmy do miasta w nocy. Rozlokowano nas po kątach gdzie się tylko dało, a następnego dnia zaczęto organizować wyjazd. Do stacji maszerowaliśmy czwórkami śpiewając wojskowe piosenki.

Wysiedliśmy na małej stacji za Taszkentem. Opodal stacji było biuro Wojenkamatu – Sowieckiej Komisji Wojskowej. Tu władze sowieckie załatwiały wstępne formalności związane ze skierowaniem do wojska. Gdzieś w drodze, paczka nasza rozpadła się. Zostałem tylko ze Zbyszkim Jabłońskim, wiernym druhem. Stajemy przed komisją. Pierwszy przyjęty, drugi i następny też. Wychodzą na drugą stronę budynku. Kolej na mnie. Wasze papiery – dałem metrykę urodzenia i legitymację szkolną. Dwudziesty czwarty rocznik – mówi członek komisji – dzieci do wojska nie wysyłamy. Wracać. Następny. Gdzie wracać – pytam? Za drzwiami – dostaję odpowiedź! Wyszedłem. Rozpacz. Co robić?

W pewnym momencie podszedł do mnie żołnierz rosyjski. Nie przyjęli? Młody? Daj metrykę – wziął pióro, umaczał w kałamarzu, przerobił czwórkę na trójkę i kazał mi wracać na komisję. Wróciłem. Nieśmiało dałem przerobioną metrykę, tym razem innemu oficerowi. Spojrzał na mnie i powiedział: w porządku. Przyjęty. Dołączyć do czekających za domem. Po godzinie znów wsiedliśmy do pociągu i po jakimś czasie wysiedliśmy na stacji Czok Pak. Dostaliśmy skierowanie do 8 Dywizji Piechoty. Stacja, a obok niej jeden długi barak. Za barakiem u podnóża wysokiej góry ustawiono niewielkie namioty. Dostałem przydział do kompanii technicznej, zadaniem której było między innymi kucie jam w kamieniach w których chowaliśmy zmarłych. Były dni, że ich liczba sięgała dwudziestu ośmiu. Dowódcą kompanii był podporucznik Żyd z Łodzi, dobry chłop. W namiocie w którym mieszkałem było jeszcze pięciu innych wiarusów, towarzyszy niedoli. Namiot tylko z nazwy, a właściwie była to jama wykuta w skale i przykryta z góry płachtą brezentową. Spaliliśmy na słomie rzuconej na kamienie. Było zimno. Wiatr często zrywał płachtę i trzeba było od nowa zabezpieczać i obsypywać boki kamieniami, a w czasie deszczu kopać rowki odprowadzające wodę.

Któregoś dnia zachorowałem. Wysoka temperatura, bóle brzucha i nic więcej nie pamiętam. Straciłem przytomność. Oprzytomniałem po kilku dniach. W namiocie byłem sam. Nie wiedziałem gdzie jestem i co tu robię. Po jakimś czasie przyszedł obcy mi człowiek. Zapytał czy chce mi się pić. Dał mi blaszankę z jakimś ciemnym płynem, na dnie było coś miękkiego. Zapytałem co to jest. Mój opiekun powiedział, że to jest moczony, przypalony chleb. Kazał mi to wypić i zjeść chleb. Poprosiłem żeby powiedział co tu robimy i gdzie jesteśmy. Dowiedziałem się, że byłem bardzo chory na tyfus brzuszny. Pięciu moich kolegów zabrali do szpitala, a mnie komisja lekarska nie chciała zabrać. Powiedzieli „puskaj pomierajet здiesz”. Byłem najbardziej chory z nich wszystkich, a przy tym nieprzytomny. Mój wybawiciel przeniósł się do mojego namiotu i zaopiekował się mną, a w zamian fasował mój prowiant i może czekał na moja śmierć. Był to chłop spod Łucka. Nie wiem skąd wpadł na pomysł karmienia mnie zwęglonym chlebem, ale jak później się dowiedziałem, było to w tych warunkach dobre lekarstwo na moją chorobę. Stopniowo wracała mi pamięć, ale byłem bardzo słaby i nadal miałem gorączkę, która nie opuszczała mnie jeszcze bardzo długo.

Po wojnie dowiedziałem się, że jednym z członków komisji wizytującej nasz obóz był, z ramienia polskich władz, Panek z Pieszczan, z sąsiedniego kołchozu. Był on świadkiem mojej ciężkiej choroby. Słyszał decyzję komisji i nie mógł mi pomóc. Po jakimś czasie Panek pojechał po swoją matkę do Piesz-

czan i powiedział jej o mnie, że na pewno umarłem w Czok Paku. Wiadomość o mojej śmierci szybko dotarła do Kaczyr, do mojej matki. Od tego czasu, każdego pierwszego listopada świecono świece przy mojej fotografii na skrzyni pod oknem i odmawiano wieczny odpoczynek, modlono się za moją duszę.

W kilka dni później, wczesnym rankiem usłyszałem ruch koło namiotu, głośne komendy i nawoływania do zbiórki. Chwilę później uspokoiło się i szef kompanii zaczął wyczytywać nazwiska członków mojej kompanii. Usłyszałem swoje nazwisko i zaległa cisza. Ponownie głośniejsze powtórzone i padła odpowiedź – został w namiocie. W tym momencie usnąłem. Raptem czuję, że ktoś mnie tarmosi i coś krzyczy. Okazało się, że sam szef przyszedł zobaczyć co się ze mną dzieje. Wstawaj durniu – krzyczy szef – i dołącz do kompanii. Idziemy na szachty, do nieczynnej kopalni, do wojska. Nie zostaniesz tu sam żeby cię szakale pożarły. Wstałem, dołączyłem do kompanii i powlokłem się za nimi do baraku przy stacji. Tam znów komisja lekarska i odprawa na szachty. Staję przed stołem komisji jako ostatni. Nazwisko, imię, imię ojca – pyta członek komisji. Cisza. Nie pamiętam – odpowiadam przerażony. Co z wami? – słyszę podniesiony głos innego członka komisji. Nie pamiętam – odpowiadam potulnie i rozglądam się po sali.

Nie wiem jakby to się skończyło gdyby nie szef, który miał listę swoich podopiecznych i podał moje dane urzędnikowi. Lekarz spojrział mi w oczy, zbadał puls i zapytał. Dojdiesz dzieciaku do szacht osiem kilometrów po błocie i wodzie. Jesteś chory? Muszę dojść – odpowiedziałem i doszedłem, ale jak.? Przed wyruszeniem w drogę każdy kandydat na żołnierza musiał zabrać ze sobą jedno polano drewna na opał i zanieść na szachty, na miejsce koszar 8 Dywizji Piechoty. Mnie od tego obowiązku zwolniono. Koledzy rażno rozpoczęli marsz do wyznaczonego miejsca postoju. Dla nich droga nie była uciążliwa. Z każdą minutą powiększała się odległość pomiędzy mną, a kompanią. Na mnie już nikt nie zwracał uwagi.

Topniejący śnieg tworzył na drodze błotniste kałuże. W jednej z nich odpadła mi przegnita zelówka w jednym bucie. Na szczęście miałem w kieszeni kawałek sznurka. Przywiązałem ją do cholewki i choć w bucie było mokro, ale szło się lepiej niż boso. Często musiałem odpoczywać przysiadając na przydrożnych kamieniach. Kompania była już na miejscu, a ja miałem jeszcze kawał drogi do przybycia. Po południu zaczęły mijać mnie grupy żołnierzy w pięknych khaki mundurach i zielonych płaszczach. Szli na stację, mówiąc, że wszyscy po umundurowaniu wyjadą do ciepłych krajów, ale jakich nie było mowy, jak zwykle w wojsku. Obowiązywała tajemnica służbowa.

Do miejsca przeznaczenia dowlokłem się pod wieczór. Kazano mi iść do łaźni. Przed łaźnią dopalał się duży stos ludzkich łachów. Dorzuciłem też swoje. Białe sweterek zrobiony z wielbłądziej wełny trzeszczał w płomieniach, chyba dlatego, że w każdej dziurze siedziała wesz. Po kąpieli dostałem sorty mundurowe i pełne wyposażenie. Wszystko dobrze pasowało za wyjątkiem butów. Nie wiem jaki to był numer, ale ze trzy razy wymieniałem na mniejsze zanim dobrałem do nogi. Było to dopiero w Teheranie. Przez dłuższy czas nie poznawaliśmy się w tych pięknych mundurach.

Dostałem nowy przydział do 24 kompanii 8 Dywizji Piechoty. Kompania zakwaterowana była na strychu jednego z baraków. Na kolację dano nam ryż gotowany z mięsem wieprzowym. Co za ucztą. Kucharz spojrział na mnie. Musiałem bardzo źle wyglądać. Wylał zawartość chochli do kotła i jeszcze raz zaczerp-

nał nią i wrzucił mi do menażki ryż z dużym kawałkiem tłustego mięsa. Zjadłem z apetytem bo byłem bardzo głodny, ale co się potem działo trudno opisać przyzwoitymi słowami. Nie znałem ani minuty ani godziny mojej wędrówki do znanego przybytku. Spodnie nosiłem w garści nie zapięte. Właściwie nie powinienem wychodzić ze spokojnej przystani. Dopiero kieliszek spirytusu, który dostawaliśmy codziennie, jako lekarstwo mające chronić przed licznymi chorobami, złagodziło moje dolegliwości. Pracowałem w kancelarii. Przepisywałem papierki, robiłem listy, spisy, jednym słowem wykonywałem czynności urzędnicze.

24 marca wyjechaliśmy do Krasnowodzka. W moim transporcie był cały batalion, około tysiąca chłopca. Do Krasnowodzka dojechało około 650, reszta po drodze została zabrana do szpitali. Sowieci robili na stacjach kontrole sanitarne i podejrzanych o zły stan zdrowia z podwyższoną temperaturą zabierali. Mnie koledzy w czasie kontroli chowali w przedziale z prowiantem za skrzyżniami i w ten sposób dojechałem do plaży w Krasnowodzku.

Po drodze była dłuższa przerwa w Bucharze. Zaprowadzili nas do miejskiej łaźni. Ze stacji do łaźni maszerowaliśmy czwórkami, kompania za kompanią. W nowych zielonych płaszczach, żółtych skórzanych pasach i spinaczach, oraz w czarnych butach, na tle szarzyzny sowieckiej i w porównaniu z ich wojskiem, wyglądaliśmy fantastycznie. Ludzie na chodnikach zatrzymywali się, przyglądali się nam i żegnali bo takiego wojska nigdy nie widzieli, nawet na kolorowych obrazkach. Nie wiem dlaczego, ale nie śpiewaliśmy. Może dlatego, że nie wiedzieliśmy co nas czeka, ile jeszcze stracimy ludzi. W łaźni był tłok, ale ciepłej wody i mydła było pod dostatkiem. Chlapaliśmy się jak dzieci. Przed wyjściem z kąpieli w drzwiach stała hoża dziewczyna z kłakiem grubych nici na kiju, a obok niej na podłodze stało wiadro z jakimś brunatnym płynem. Wychodzący podnosili ręce do góry, a dziewczyna pędzlowała im pod pachami i w kroczu. Ja byłem prawie na końcu. Płyn w wiadrze został już prawie wychlapany. Na dnie zostało trochę gęstej mazi i tym uraczyło mnie dziewczę. Na drugi dzień nie mogłem chodzić. Miejsca poddane działaniu środka dezynfekcyjnego pokryły się bolesnymi bąblami. Mało jednej biedy. Do kilku nie gojących się ran po czyrakach doszło oparzenie i to w takich miejscach. Kilka dni byłem inwalidą wojskowym bez działań wojennych.

Plaża w Krasnowodzku robiła bardzo przykre wrażenie. Piasek czarny jak ziemia w ogrodzie mojego dziadka, stąd nazwa Kara Kum pustyni, która nad brzegiem Morza Kaspijskiego brała swój początek. Dzień był chłodny i pochmurny. Wszędzie, jak okiem sięgnąć plażę zalegali żołnierze. Ułożyłem się w jakimś dołku razem ze swoją drużyną i marzyłem o tym, żeby nie trzeba było nigdzie chodzić. Na szczęście suchy prowiant przynoszono na miejsce. Byłem oparzony, chory z podwyższoną temperaturą, a do rozmoczonych ran, zwłaszcza tych na nogach, przykleiła się wełniana bielizna. Przy ruchach odczuwałem ostre bóle. Jednym słowem nadawałem się do izby chorych, a nie do dalszej podróży. Zauważył to mój szef i wieczorem przyszedł do mnie i powiedział: Człowieku, jeżeli nie chcesz zostać w Związku Radzieckim to nawiewaj jutro rano pierwszym statkiem, bo inaczej wpadniesz w ręce lekarzy i zabiorą cię do szpitala, a potem nic nie wiadomo. Możesz zostać tu na stałe. Nie mogłem doczekać się dnia następnego, dnia 31 marca 1942 roku.

Z samego rana szef dał mi znak do ucieczki. W porcie stał już statek. Przed nędznym drewnianym mołem ustawiały się kompanie kawalerii. Przed wejściem

na molo stała drewniana skrzynia i dwóch żołnierzy. Wszyscy przechodzący wrzucali do niej ruble jakie jeszcze posiadali. Kawalerzyści mieli na kołnierzach kolorowe proporczyki. Ja miałem granatowy znaczek z żółtą wypustką, znak piechoty i w ten sposób łatwo było mnie rozpoznać. Tak też się stało. Jakiś gorliwy podoficer chwycił mnie za rękę na trapie przy wejściu na statek i krzyknął do sierżanta: Piechociaż na trapie. Co z nim zrobić? Wrzucić do morza – odpowiedzieli ze śmiechem żołnierze przechodzący obok podoficera.

Sierżant, na pewno szef okrętującej się kompanii, kazał wpuścić mnie na statek. Podeszedł do mnie i zapytał: Co tu robisz? Gdzie twoja kompania? Z jakiej jesteś dywizji? Jestem z 8 Dywizji Piechoty – odpowiedziałem przestraszony. To nie ten statek. Wasza dywizja odpływa następnym dziś po południu – poinformował mnie sierżant. Wyglądał na porządnego starego wiarusa, więc powiedziałem mu szczerze: Jestem chory. Jak mi pan nie pozwoli odpłynąć tym statkiem, to złapie mnie komisja lekarska i zatrzyma na Kara Kum chyba na zawsze. Choć synu, przeforsujemy cię. Poczekaj tu na mnie, zaraz wrócę.

Sierżant nie wrócił. Ostatni żołnierz wchodził na pokład. Przemknąłem razem z nim niezauważony. Statek począł powoli odpływać od brzegu. Teraz byłem pewien, że nikt mnie nie zatrzyma w Kraju Rad. Żegnałem ten kraj z radością w pochmurny, ciemny deszczowy dzień. Dzień ciemny i smutny jak wszystko w tym kraju. Statek miał tę samą nazwę jak kołchoz w Tadżykistanie. Płynąłem na sowieckim statku, a mnie mówiono, jak wróciłem do kraju, że wojsko nasze uciekło ze Związku Radzieckiego. A co to za ucieczka statkiem państwa z którego się ucieka. Prowiant na drogę to dwa śledzie i dwa suchary. Byłem głodny. Zjadłem jednego śledzia. Siedzący obok mnie starszy żołnierz kazał mi drugiego śledzia wyrzucić za burtę. Chłopie nie jedz śledzi – powiedział – nie wytrzymasz z pragnienia. Nie wiadomo czy dasz radę dopchać się do wody.

Miał rację. Już po chwili odczułem pragnienie po zjedzonym śledzia i z powodu podwyższonej temperatury. Wodę słodką pobierano tylko z jednego kranu, z którego sączyła się ona słabym strumieniem. Ponadto trudno było dopchać się z menażką do kranu. Położyłem się przy burcie i spijałem rozlewając wodę z pokładu. Następnego dnia – pierwszego kwietnia w godzinach popołudniowych zobaczyłem na horyzoncie skąpane w słońcu piaszczyste plaże Persji.

KRONIKA

• „KLUB POD BAOBABEM” WE WROCŁAWIU

Stowarzyszenie istnieje od 22 lat. Skupia zesłańców syberyjskich, którzy w latach 1940-1941 w czterech masowych deportacjach ludności polskiej z Kresów Wschodnich wywiezieni zostali na Syberię, do Kazachstanu, na Daleki Wschód i w inne rozległe rejony państwa sowieckiego. Wybuch wojny niemiecko-sowieckiej (22.06.1941 r.) spowodował, że w wyniku układu Sikorski-Majski (30.07.1941 r.) rozpoczęło się organizowanie w ZSRR armii polskiej pod dowództwem gen. Władysława Andersa, a zesłańcy zostali amnestionowani. Wyruszyli więc z rozległych przestrzeni Związku Radzieckiego ku południowym jego rejonom gdzie znajdowały się punkty rekrutacyjne do wojska. Znane są liczne relacje byłych zesłańców o reakcjach na tę wolność, rozważania o losie ludzi skazanych na zderzenie z siłą tej nowej sytuacji, męczącej drogi „do wojska” i licznych ograniczeń utrudniających tę drogę. Każdy kto to przeszedł wnosi do tej historii własne doświadczenia, własny obszar doznań i refleksji. Wspólne jest jednak dla tych wędrowców to, iż wszyscy w tej nowej rzeczywistości szukali wybawienia od koszmaru zesłańczego bytowania. W tym marszu ku wolności szukali oni ratunku od katorżniczej pracy i głodu, lecz zamiast tego dopadały ich jakże często wszystkie możliwe choroby, a sen o upragnionej wolności, coraz bardziej się oddalał, aż przyszło masowe umieranie tysięcy ludzi. Ale wielu udało się przeżyć.

Generał W. Anders zdołał uratować 116.543 osoby, z czego 78.631 to żołnierze, późniejszy II Korpus, reszta to ludność cywilna, której połowę stanowiły dzieci, częstokroć sieroty. W 1942 roku przez Persję (Iran) i Indie trafiły one do ówczesnych kolonii brytyjskich w Ugandzie, Kenii, Tanganiki (dziś Tanzania) Rodezji Płn. (Zambia), Rodezji Płd. (Zimbabwe) oraz Związku Południowej Afryki (RPA), sumie około 18 tysięcy Polaków. Po zakończeniu wojny rozjechali się oni po świecie, a do Polski powróciło około 3 tysięcy. Istnieje na ten temat dość obszerna literatura wspomnieniowa a historycy krajowi i zagraniczni poświęcili tej sprawie obszerniejsze studia. Dość wspomnieć, że w czasach PRL-u był to temat ograniczony cenzorskimi zapisami, a byli zesłańcy syberyjscy, którzy po wojnie znaleźli się w innej niż przedwojenna Polska skrywali przed ogółem swój zesłańczy los. Sporadycznie utrzymywali kontakty między sobą gdyż mieszkali w różnych rejonach kraju, a ponadto obawiali się różnych form szykanowania z strony władz „utrwalających przyjaźń polsko radziecką”. Pierwszą okazją sprzyjającą do odnowienia tych kontaktów i mówienia prawdy o syberyjskich zesłaniach był upadek komunizmu w Polsce, potem zaś reaktywowanie Związku Sybiraków.

W 1989 roku grupa zapaleńców z wrocławskiego Oddziału Związku Sybiraków utworzyła we Wrocławiu Stowarzyszenie „Klub pod Baobabem”, przy założeniu, że będzie to organizacja integrująca byłych Sybiraków-Afrykańczyków, którzy po zakończeniu drugiej wojny światowej rozeszli się szeroko po świecie. Zamierzenia te zrodziły potrzebę powiadomienia tych ludzi o powstaniu wspomnianego Stowarzyszenia. Tu wielce pomocne okazały się kontakty jakie posiadali mieszkający we Wrocławiu, a także i w innych miastach członkowie Związku Sybiraków. W obydwu przypadkach były one niezmiernie pożyteczne bowiem część Sybiraków-Afrykańczyków mieszkających w Polsce utrzymywała korespondencyjne związki ze znajomymi mieszkającymi w różnych krajach z którymi przed laty zawędrowali przez Syberię do Afryki. W ten sposób odradzały się nowe kontakty, przybywało członków „Klubu pod Baobabem”, którzy w listach sugerowali zorganizowanie spotkania byłych Sybiraków-Afrykańczyków mieszkających w różnych krajach.

Pierwszy taki Zjazd odbył się we Wrocławiu w dniach 27-28 maja 1989 r. i śmiało rzecz można, że ożywił on działalność „Klubu pod Baobabem”. Wysiłek organizatorów zaowocował autentycznością kontaktów i uniwersalną perspektywą na przyszłość. Jego uczestnicy mieli plakietki z imieniem i nazwiskiem, „dziewczęta” z nazwiskiem panięńskim i nazwą osiedla w Afryce (były 22 osiedla) co umożliwiała szybsze rozpoznanie się po wielu latach jakie upłynęły od czasu wyjazdu z gościnnego Czarnego Łądu, kiedy to meandry losów rzuciły ich do Polski oraz do innych krajów. Bo przecież od rozstania minęło wówczas przeszło 40 lat! Cóż to było za spotkanie, któremu towarzyszyło wzruszenie, łązy radości i zadziwienia. Coś niesamowitego! Podczas Zjazdu odbył się uroczysty wieczór w Kawiarni Lwowskiej, a artyści Operetki Wrocławskiej dali koncert pieśni patriotycznych. I tu znowu pojawiły się łązy wzruszenia i radość ze spotkania. Było wzniośle, wytwornie i radośnie, wprost cudownie! I tak dalej, i tak dalej, jednak z postanowieniem celowości kolejnych spotkań, by pełniej uchwycić ilustracyjność życia i biografii dawnych sybirskich dzieci, których lata wojny zaprowadziły aż do Afryki.

Następne zjazdy a było już ich 13 organizowano z coraz większym rozmachem, początkowo 3-dniowe, a od 2005 r. 4-dniowe. Jeden odbył się w Szklarskiej Porębie, pozostałe we Wrocławiu. Zwykle zjazdom towarzyszyła jakaś wycieczka. I tak: Karpacz, w tym świątynia Wang, Świeradów Zdrój; Trzebnica: Bazylika; Sobótka, Sulistrowiczki i Będkowiec (ognisko); Świdnica: Zamek, Krzyżowa, Zamek Krasków; Brzeg: Zamek Piastów Śląskich, Świdnica: Kościół Pokoju i ostatnio (2011) Duszniki Zdrój, koncert w Dworcu Chopina. Oprócz wspomnianych wycieczek zawsze było zwiedzanie Wrocławia: Hala 100-lecia, Ogród Japoński, Katedra i inne kościoły, Panorama Raławicka.

Wspólne dla uczestników tych spotkań jest to, iż niezależnie od stron z których przybywają do Wrocławia, cieszy ich możliwość spotkania się po wielu latach, opowiedzenia o swym życiu, podzielenia się radościami i smutkami, bo przecież każde z tych dzieci sybirskich nie miało łatwego życia wypełnionego ciągiem zdarzeń o przeróżnej sile wpisującej się w ich życiorysy! We wspomnieniach tych przytaczają oni wiele zdarzeń autentycznych ilustrujących ich trudny los, zdarzeń nierzadko przejmujących tragizmem. Wątki prze-

różne dotyczące np. matczynej opieki i jej braku gdy ta umarła a ojciec był w łagrze, głodu, spraw niełatwych w sowieckim sierocińcu, ateizacji i chamstwie różnej kategorii urzędników wpisanym w nurt toczącego się życia. Kwestie te mają więc zasięg rozległy i skupiają się na zagadnieniach związanych ze sprawami życia zesłańczego i nadziei jaka przyświecała w uciążliwym marszu do wojska tworzonego przez gen. W. Andersa.

W relacjach tych przekazywanych sobie podczas kolejnych zjazdów kryje się zbyt wiele smutnych dowodów w rozległych zasobach zesłańczego życia. Opowieści te są źródłem informacji o tym, co się wówczas działo, co przeżywały wtedy te „małolaty” chcące wraz z towarzyszącymi ich matkami opuścić ten mroźny i srogi „dom niewoli”. Tak więc cenne zasoby wiedzy na ten temat sączą się z różnych relacji uczestników tych zjazdów, a wszystko to służy celom pełniejszego poznania losów tych dzieci tułaczycy. Obrachunki tego rodzaju doświadczeń coraz częściej interesują historyków zajmujących się dziejami Polaków na Syberii w okresie drugiej wojny światowej, a faktografia jaka snuje się przez opowiadania tych nieletnich wówczas istot posiada z całą pewnością znaczenie ważne i inspirujące do pełniejszych studiów na ten temat!

Ciekawie przedstawia się uczestnictwo w zorganizowanych dotychczas Zjazdach: 1989 (187 osób, w tym 126 kobiet); 1991 (159 osób w tym 110 kobiet – 2 osoby z zagranicy); 1992 – Zjazd Światowy (427 osób, w tym 294 kobiet – 190 osób z zagranicy); 1994 (153 osoby, w tym 106 kobiet – 26 osób z zagranicy); 1996 (189 osób, w tym 130 kobiet – 18 osób z zagranicy); 1998 (178 osób, w tym 123 kobiet – 36 osób z zagranicy); 1999 (187 osób, w tym 141 kobiet – 22 osób z zagranicy); 2001 (188 osób, w tym 123 kobiet – 34 osób z zagranicy); 2003 (204 osób, w tym 134 kobiet – 53 osób z zagranicy); 2005 (165 osób, w tym 106 kobiet – 45 osób z zagranicy); 2007 (172 osób, w tym 127 kobiet – 60 osób z zagranicy); 2009 (131 osób, w tym 101 kobiet – 34 osób z zagranicy); 2011 (118 osób, w tym 82 kobiety – 37 osób z zagranicy).

Z zagranicy najwięcej „Afrykańczyków” przyjeżdżało z Wielkiej Brytanii, Kanady i USA, ale bywali także z Australii, Nowej Zelandii, Republiki Południowej Afryki, Argentyny, Włoch, Egiptu, Wenezueli, Francji, Szwajcarii. Tak rozproszeni są po szerokim świecie zesłańcy Sybiru/Afrykańczycy. Uczestnicy spotkań otrzymywali zawsze biuletyn z informacją i zdjęciami z poprzedniego Zjazdu, opisem i zdjęciami z afrykańskich osiedli oraz informacjami na temat działalności członków Klubu w prowadzeniu lekcji „żywej historii” w szkołach i innych organizacjach, udziału w wystawach itp. Stała ekspozycja, bogata i przyciągająca wzrok z racji egzotycznych afrykańskich eksponatów, mieści się w Sanktuarium Golgoty Wschodu przy ul. Wittiga we Wrocławiu. Oprócz „Afrykańczyków” jest tam zgromadzonych 14 organizacji kombatanckich, na czele ze Związkiem Sybiraków i Rodziną Katyńską. Są to główni inicjatorzy powstania tej Izby Pamięci, ale prawdziwym twórcą tego dzieła był śp. ks. Stanisław Golec.

Na zakończenie Zjazdów zawsze odprawiana jest Msza święta w kościele ojców Redemptorystów przy którym istnieje wspomniane Sanktuarium Golgoty Wschodu. Tę Mszę św. kończy zawsze pieśń powstała w obozie polskich oficerów, internowanych w Rumunii w 1939 roku, która bliska jest wszystkim Sybirakom-wygancom na całym świecie. Oto jej słowa:

O Panie, któryś jest na niebie
 Wyciągnij sprawiedliwą dłoń
 Wołamy z wszystkich stron do Ciebie
 O polski dach i polską broń.

Ref.

O Boże! Skrusz ten miecz, co siekł nasz kraj
 Do wolnej Polski nam powrócić daj
 By stał się twierdzą nowej siły
 Nasz dom, nasz kraj.

O Panie, usłysz skargi nasze
 O usłysz nasz tułaczy śpiew
 Znad Dżisny, Niemna, Sanu, Bugu
 Męczeńska do Cię woła krew.

Ref.

O Boże! Skrusz ten miecz...

W dniach 8-11 września 2011 r. odbył się we Wrocławiu XIII Zjazd „Sybiraków-Afrykańczyków”, kolejny już raz w gościnnej auli Uniwersytetu Ekonomicznego. I podobnie jak poprzednio spotkanie to obejmowało bardzo szeroko różne psychologiczne i społeczne uwikłania naszego losu, o których szczerze rozmawialiśmy między sobą, o tym, że naszą powinnością jest by historia ta miała zasięg rozległy i edukacyjny, pełen autentyzmów z których wyrastały nasze charaktery i woła przetrwania lat trudnych, zawsze wspierana przez naszych nauczycieli, wychowawców i duszpasterzy na tym niewielkim skrawku Czarnego Łądu gdzie osiedliśmy po syberyjskim zesłaniu. Wśród gości ostatniego wrocławskiego zjazdu byli ambasador RP w Kenii w latach 2002-2007 Wojciech Jasiński, prof. Antoni Kuczyński zajmujący się dziejami Polaków na Syberii, reżyser Ewa Misiewicz i inni wspierający nas w tym trudzie trwania pamięci! Zabrakło jedynie lokalnych mediów, mimo wielkiej staranności organizatorów o pełniejszy rezonans tego niezwykle interesującego wydarzenia. Wyświetlone zostały dwa filmy: „Z mrozów Syberii pod słońce Afryki”, zrealizowany przez Koło Naukowe Historyków Uniwersytetu Pedagogicznego w Krakowie oraz „Na nieludzką ziemię”, będący rekonstrukcją teatralno-historyczną o czterech masowych wywózkach Polaków do ZSRR, zrealizowany przez Zarząd Związku Sybiraków w Przemysłu wspólnie z Instytutem Pamięci Narodowej.

Według opinii „Afrykańczyków” Klub jest potrzebny i spełnia ważną rolę w edukacji historycznej społeczeństwa, a spotkania jego uczestników są przypomnieniem najszcześniejszego okresu w życiu wielu z nas po opuszczeniu Syberii, chociaż blisko połowa dzieci była wówczas sierotami i przebywała w sierocińcach, mimo to było to jakby przejście z dna piekieł do raju. Myśląc o świadomości, o sferze odczuć związanych z syberyjsko-afrykańską tułaczką nie zapominamy wszelako o tym, że pomimo naszego „wyżu starości” chcemy uchronić od zapomnienia tę historię tułaczych dzieci i licznych uwikłaniach ich losu rozumianego materialnie ale i psychologicznie, bo w każdym z nas tkwi ten podział, dający nieraz znać o sobie, gdy w rytmie codzienności powracamy nieraz ku tamtym wydarzeniom: wywózkom, zesłańcom losom, poniewierce, chorobom, śmierci, i do nagłej odmiany tego losu gdy znaleźliśmy się w Afryce, w kraju znanym nam z dzieciństwa z wierszyka o Murzynku Bambo.

Zofia Daniszewska

• XII ZJAZD SIEROT SYBERII

W dniach od 30 sierpnia do 1 września 2011 roku odbył się w Karpaczu XII Zjazd Sierot Syberii, w którym uczestniczyło 49 osób spośród wielu dzieci osieroconych na syberyjskim zesłaniu oraz zaproszeni goście: Zofia Czernow – wiceprezydent Jeleniej Góry; Jacek Polańczyk – przedstawiciel Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych; Marzena Machałek – posłanka; Andrzej Więckowski – starosta Jeleniej Góry; Stanisław Sikorski – Sekretarz Generalny Zarządu Głównego Związku Sybiraków; przedstawiciele szkół noszących imię Sybiraków; Mirosław Górecki – burmistrz miasta Kowary oraz Bronisław Malinowski – burmistrz miasta Karpacz.

Zjazd rozpoczął się Mszą św. w kościele parafialnym w Karpaczu celebrowaną przez trzech księży: homilię wygłosił kapelan Sybiraków Jeleniogórskich – ks. dr Józef Stec. Karpacz to miasto malowniczo położone u podnóża Śnieżki, nad rzeką Łomnicą. Ze względu na swe turystyczne walory Karpacz tętni życiem zarówno latem, jak i zimą. Są tu wymarzone warunki do wszelkich form rekreacji. Właśnie w „Wodomierzance”, pensjonacie prowadzonym przez Annę Sus, spotkaliśmy się po raz trzeci. Zjazd trwał trzy dni wypełnione zesłańczymi refleksjami, wspomnieniami i różnymi atrakcjami – rzecz można o charakterze rekreacyjno-poznawczym.

Pierwszy dzień: uroczystość otwarcia Zjazdu odbyła się w hotelu „Gołębiewski”, u podnóża Śnieżki i Małej Kopy, z przepięknym widokiem na Karkonosze. Zjazd otworzyli wiceprezesi Zarządu Głównego Związku Sybiraków: Eugeniusz Grabski i Bożena Dudzińska, która wygłosiła także słowo wstępne. Potem głos zabrali zaproszeni goście w tym przedstawiciel Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych oraz Sekretarz Generalny Zarządu Głównego Związku Sybiraków. Następnie młodzież z Gimnazjum im. „Polaków Zesłanych na Sybir” w Bolesławcu przedstawiła pełen patriotycznego uroku spektakl artystyczny. W trakcie uroczystości otwarcia gospodarz hotelu traktując nas Sybiraków jako gości szczególnych nie szczędził trudu byśmy czuli się „jak w domu” i przyznać należy, że tak było i nie brakowało nam kawy, herbaty, wspaniałych ciast oraz soków, i jak przystało na staropolską tradycję był to prezent dla gości mających za sobą trudny sybirski los i tułaczy szlak!

Po uroczystości otwarcia Zjazdu, specjalnym autobusem przybyliśmy wraz z gośćmi i młodzieżą na wspólny obiad do znanej już nam „Wodomierzanki”. I Tym razem, tak jak poprzednio licznym rozmowom „nie było końca”, podczas którym pojawiały się wspomnienia czerpane z syberyjskich doświadczeń, dodajmy tu zarazem, że tak było przez cały czas trwania Zjazdu. W popołudniowy czas pierwszego dnia wpisało się też spotkanie z Krystyną Braniak, autorką książki pt. *Sybiracka Odyseja*, Warszawa 2004, wieczorem natomiast gospodyni ośrodka przygotowała uroczystą kolację, którą uświetniały dyskretna muzyka i tańce. Był to jednocześnie czas powrotu do minionej zesłańczej przeszłości, a różne wspomnienia z tamtych lat pozwalały weryfikować znaną już historię, wzbogacać ją, korygować, przypominać fakty, które uleciały z pamięci.

Drugi dzień: po śniadaniu byliśmy zaproszeni na ranczo Vestern City w Ściegnach. Przygotowano tam wiele atrakcji: jazda dyliżansem, występy Indian, rzut do tarczy, napad na bank itp. Na pamiątkę każdy uczestnik otrzymał 1 \$ ze swoja podobizną. Pobyt tam zakończył się obiadem, którego fundatorem

był Jan Pokój – przewodniczący Sejmiku Dolnośląskiego. Po południu odbyło się spotkanie ze Zbigniewem Tomaszewskim, autorem książki pt. *Gdzie się kończą szerokie tory i nadzieja*, Warszawa 2011.

Trzeci dzień, czyli ostatni dzień Zjazdu wypełniły atrakcyjne wycieczki. Rozpoczęło je zwiedzenie „Miniatur Zamków Dolnośląskich” w Kowarach. Park tych miniatur powstał na terenie przylegającym do dawnej fabryki dywanów. Zwiedzający go mogą tam zobaczyć 49 obiektów – reprezentujących bogactwo architektury Dolnego Śląska. Po zwiedzeniu „Parku Miniatur” uczestnicy Zjazdu mieli możliwość sprawdzenia oryginalności wystawy – udając się do ciekawego pod względem architektonicznym Ratusza w Kowarach, gdzie zaproszeni zostali przez burmistrza Mirosława Góreckiego.

Po miłej wizycie u burmistrza udano się na zwiedzanie Sztolni Kowarskich – atrakcyjną podziemną trasę turystyczną liczącą około 1.200 metrów. Poznano więc fragment historii tego regionu związaną przez blisko 700 lat z poszukiwaniem kruszców, minerałów oraz wydobywaniem rud żelaza oraz rud uranowych eksploatowanych tutaj przez pewien czas pod specjalnym nadzorem przez Związek Radziecki. Wizyta w Sztolni dała także możliwość przeżycia emocji towarzyszących niełatwej pracy w kopalni. W Skarbcu Walonów obejrzano także skarby, które kryje ziemia dolnośląska.

Pobyt w Sztolniach Kowarskich zakończył się spektaklem iluminacji laserowej. Na zakończenie Zjazdu, już wieczorem odbył się koncert pożegnalny zespołu „Sybiraków i Kresowiaków”, działającego przy Oddziale Związku Sybiraków w Jeleniej Górze. Tak więc do zobaczenia na kolejnym XIII Zjeździe!

Bożena Dudzińska

• JAN STANISŁAW TUMIŁOWICZ – WSPOMNIENIE

Jan Stanisław Tumiłowicz – członek Zarządu Lubelskiego Oddziału Związku Sybiraków, Przewodniczący Komisji Historycznej, 13 listopada 2011 roku odszedł na Wieczną Wartę. Urodził się 27 marca 1933 r. w Hancewiczach, pow. Łuniniec, woj. Poleskie. 13 kwietnia 1940 r. został wywieziony wraz z matką i trzema siostrami do kołchozu Kizył-Ku, następnie przeniesieni zostali do kołchozu Czan-Czar w obłasti aktiubińskiej i kolejno do kołchozu Aleksandrowka. Dnia 22 września 1940 roku zmarła Jego siostra Helenka. W marcu 1941 roku przeniesiono całą rodzinę do kołchozu Zara-Swoboda, w kwietniu natomiast 1944 roku rodzina przeprowadziła się do Aktiubińska, w październiku zaś do sowchozu Telman. Z Telman rodzina przedostała się do Lwowa pod opieką Komitetu Repatriacyjnego i 17 października 1945 roku wróciła do Polski.

Po powrocie do kraju Jan S. Tumiłowicz ukończył Technikum Leśne w Głogowie Małopolskim, a w roku 1977 Akademię Rolniczą w Lublinie. Po reaktywowaniu Związku Sybiraków i powołaniu Oddziału w Lublinie został jego aktywnym członkiem i Przewodniczącym Komisji Historycznej. Intensywnie pracował na dokumentacją osobową członków Oddziału. Zgromadzone ankiety personalne przekazywał do Centralnego Rejestru w Łodzi. Wielokrotnie spotykał się z młodzieżą w szkołach, mówił o skutkach wojny 1939 roku oraz o dramacie Polaków wywiezionych w dzikie stepy Kazachstanu i syberyjskie tajgi.



Jan Stanisław Tumiłowicz
(1933-2011)

Śp. Jan Stanisław Tumiłowicz był współautorem wystawy „Wojna 1939-1945” prezentowanej w kilku miastach Lubelszczyzny oraz wystawy „Pamiętki rodzinne” – na którą składały się dokumenty, fotografie, listy, wspomnienia Sybiraków itp. Wystawa ta prezentowana jest do dzisiaj w szkołach Lublina. Często był on członkiem międzyszkolnych konkursów na temat „Symbole narodowe”. Dokumentował fotograficznie uroczystości z uczestnictwem członków Związku Sybiraków.

Z ramienia Oddziału Związku był członkiem Klubu Historycznego im. gen. Stefana Roweckiego „Grota” powołanego przez Oddział Instytutu Pamięci Narodowej w Lublinie. Kochał swoje Hancewicze, kochał Polesie, pisał o tym w wierszach, malował pejzaże swojej ukochanej ziemi. Aktywność społeczno-zawodowa śp. Jana Stanisława Tumiłowicza rozciągała się na inne obszary działalności upamiętniającej losy Polaków na zesłaniu w tajgach i tundrach Syberii oraz na rozległych stepach Kazachstanu. Posiadał odznaczenia: Honorowa Odznaka Sybiraka, Krzyż Zesłańców Sybiru (2005), Srebrny Medal Opiekuna Miejsc Pamięci (2007), Złoty Krzyż Zasługi (2008). Odszedł Człowiek szlachetny, serdeczny, Przyjaciół i Kolega. Pozostaje w naszej pamięci.

Zarząd Oddziału Związku Sybiraków w Lublinie

• ZMARŁ NAGLE – WSPOMNIENIE O KRZYSZTOFIE WALCZAKU

Każde niespodziewane odejście Człowieka oplata po wielokroć smuga myśli – dlaczego tak się stało? Są one bardziej żywe, jeśli dotyczą kogoś bliskiego znanego od wielu lat. Gdy w Środę Popielcową (22 lutego br.) zmarł nagle Krzysztof Walczak obudziło to we mnie pasmo wspomnień o wieloletniej współpracy w edycji kwartalnika „Zesłańca”. Właśnie teraz, gdy wracam do tamtej chwili, śp. Krzysztof jawi mi się jako postać wkorzeniona w dzieje „Zesłańca”, z którym był związany od ponad 10 lat. Cechowała Go pracowitość, znał się wybornie na fachu drukarza i w niewielkiej drukarni w Mirkowie nieopodal Wrocławia, której był właścicielem, potrafił nadać temu pismu znamiona staranności edytorskiej, a jego okładkom swoistego uroku przyciągającego wzrok, zachęcającego do sięgnięcia po lekturę kolejnego zeszytu.

Rzec można, że śp. Krzysztof był źródłem pomysłowości edytorskiej ubogacającej wydawane druki ulotne, kalendarze, czasopisma i książki. Cechowała go przywiązanie do tego, co czynił także poza drukarstwem, przede wszystkim zaś w życiu rodzinnym. Nie był Człowiekiem samotności, miał wielu Przyjaciół i Kolegów, z którymi grał w piłkę nożną oraz amatorsko uprawiał inne dziedziny sportu, w młodości, bowiem uczył się w szkole sportowej. Oni też żegnali go podczas Mszy św., a potem tłumnie odprowadzali na miejsce wiecznego spoczynku.

Wraz z powtarzającym się pytaniem dlaczego odszedł tak wcześnie – miał wszakże zaledwie 44 lat – ożywa w mej pamięci wszystko co wiązało się z wieloletnim drukowaniem przez niego „Zesłańca”, tomów o syberyjskiej tematyce będących pokłosiem międzynarodowych konferencji naukowych organizowanych przez Ośrodek Badań Wschodnich Katedry Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Wrocławskiego i Stowarzyszenie „Wspólnota Polska” oraz dwumiesięcznika „Literatura Ludowa” i książek z serii wydawniczej „Biblioteka Zesłańca” istniejącej przy Polskim Towarzystwie Ludoznawczym we Wrocławiu. Jest to wszystko głęboko osadzone w gruncie naszych byłych kontaktów wydawniczych, tym boleśniej więc odczuwam Jego niespodziewane odejście. Pamiętam ostatnie nasze spotkanie i telefoniczne rozmowy. Przygotowywał do druku kolejny numer „Zesłańca”, z którego uczył się historii Polaków na syberyjskim zesłaniu. Niestety niespodziewanie zakończyła się ta edukacja i droga jego życia. Od dwóch miesięcy nie ma Go wśród żywych a osierocając Rodzinę, osierocił też „Zesłańca”, w redakcji którego pozostał smutek niedoli.

Przypominają mi się także jeszcze inne wydarzenia z naszych wieloletnich kontaktów. Dobrze pamiętam, co go pasjonowało, czemu się dziwił, czego nie akceptował. Na szlaku Jego ziemskiego bytowania była zawsze szczególna miłość do Rodziców, do Żony oraz ukochanej Cóрки. I choć tak nagle Ich opuścił nie wątpię, że jest nadal z Nimi, a Oni z Nim – Synem, Mężem i Tatusiem! Dodajmy z żalem, że 8 kwietnia br. odszedł do Pana Ojciec Krzysztofa. Wszystko to powraca we wspomnieniach, w których jawi się On jako Człowiek szlachetny, pełen dobra dla innych. Cześć Jego pamięci!

Antoni Kuczyński

REGAŁ Z KSIĄŻKAMI

- **Martin J. Bollinger, *Flota Gułagu. Stalinowskie statki śmierci: transporty na Kołymę*, przekład Jacek Lang, Zakrzewo i Poznań, 2010, s. 348.**

Martin J. Bollinger jest autorem książki dokumentującej historię transportowania więźniów do łagrów kołymskich, najstraszniejszych w całym archipelagu Gułagu. Flotę Gułagu zaczęto tworzyć w 1932 roku decyzją Biura politycznego WKP(b), czyli Wszechzwiązkowej Komunistycznej Partii (bolszewików). Flota ta składała się maksymalnie z 34 statków, które w okresie 1932-1953 przewiozły około miliona więźniów, najwięcej w latach 1938-1939 i 1949-1951, rocznie rekordowo do 70 tys. Większość tych niewolniczych statków zbudowano w stoczniach USA i Europy a rządy sprzedały je chętnie ZSRR w czasie kryzysu lat trzydziestych, za niską wówczas cenę. Statki te były remontowane w latach 1942-1945 w USA i Kanadzie, gdy służyły do przewozu dostaw Lend-Lease, na zmianę z transportowaniem więźniów.

Kogo zsyłano na Kołymę? Lista jest długa, wiemy coś o tym. Ironią losu wysyłano tam także żołnierzy amerykańskich, których Armia Czerwona wyzwalała z niemieckich obozów. Byli oczywiście jeńcy niemieccy, jeńcy sowieccy po ich wyzwoleniu wracający do ojczyzny, mieszkańcy krajów przyłączonych do ZSRR, jak i zajmowanych podczas wojny. Zresztą, jak wiadomo, ludność ZSRR dzieliła się na tych co siedzieli, na tych co siedzą i na tych, co będą siedzieć. A gdy pewien zesłaniec trafił do łagru, na pytanie, ile dostał lat, odpowiedział, że 15, – Za co? – Za nic. – E, za nic to nie dają 10 lat. Są jeszcze okropniejsze „pogoworki”, na przykład w złagodzonej formie: „Żyć będziesz, no lubić nie zachcesz”.

Jeden statek zabierał na pokład (dokładniej – pod pokład) od 2 tys. do 7 tys. Więźniów stłoczonych w warunkach przerażających. I tu obowiązywała stalinowska zasada, że człowiek doroże złotą. Statki Gułagu kursowały między następującymi portami ZSRR, licząc od zachodniej części przejścia północnego: Murmańsk, Archangielsk, Amderma, Dikson, Nordwik, potem idąc na południe Pietropawłowsk na Kamczatce, Władywostok, Nachodka, Gawań, Wani-no i w końcu Magadan (nazwa ta brzmi jak wyrok śmierci).

Autor wykorzystał wszelkie możliwe źródła, z których po ich weryfikacji wynika, że w ciągu 23 lat działalności obozów kołymskich, trafiło do nich około miliona więźniów, z czego ponad 140 tys. Zginęło. Więzień tracił życie po około 1,5 do 2,5 roku a rocznie traciło życie od 20% do 35% więźniów, przy stanie rocznym zeków do maksymalnie 200 tys. Liczby te są orientacyjne z wielu powodów, często sprzeczne, autor na pewno ich nie zawyża, za tak uważając niektóre inne dotychczas kursujące w różnym obiegu. Jak łatwo żonglować liczbą jeszcze żywych i już umarłych.

Anglojęzyczny autor, podczas pisania książki mieszkający na Antypodach (Sydney) dokonał benedyktyńskiej pracy, także przy pomocy innych osób i instytucji, których wykaz zajmuje pełne 4 strony. Dotarł nawet do dokumentacji technicznej wszystkich statków, ich fotografii i przebiegu służby. Setki odsyłaczy z użyciem alfabetu rosyjskiego i japońskiego, świadczą o dokładności badań. Potwierdza to moje zdanie, że jeden człowiek może zrobić więcej, niż niejeden instytut.

Martin J. Bollinger pisze prawie beznamiętnie, obiektywnie, zwięźle, wytrzymuje napięcie związane z tematem, czego nie umiał polski czytelnik. Omawiana książka, zewnętrznie bardzo skromna, jest wydarzeniem epokowym, a wydawnictwa i tłumacz zasługują na wielkie uznanie za jej wydanie.

Zygmunt Jancewicz

- **E. N. Tumanik, *Józef Adamowski i stanowlenie parachodstwa w Zapadnoj Sibiri w sieriedinie XIX wieku*, Wyd. Rossijska Akademijska Nauk Sibirskoje Otdielenije Institut Istorii, Nowosibirsk 2011, ss. 181, ilustracje.**

Ekaterina Mikołajewna Tumanik jest pracownicą Instytutu Historii Oddziału Syberyjskiego Rosyjskiej Akademii Nauk (RAN). Rozprawę swą do druku przygotowała przy wsparciu warszawskiego Muzeum Historii Polski w ramach projektu *Dwa życia Józefa Adamowskiego – zesańca politycznego i przedsiębiorcy syberyjskiego w połowie XIX wieku*. Może dlatego na karcie tytułowej umieszczono dwóch redaktorów odpowiedzialnych: M.W. Sziłowski (z Rosji) i M. Wołos (stały przedstawiciel PAN przy RAN).

Autorce umożliwiono studia archiwalne w Polsce i na Litwie. Bardzo gruntownie przebadła także archiwalia wielu europejskich i azjatyckich placówek naukowych. Dodatkowo miała wyjątkowe szczęście, bo mogła korzystać z życzliwej pomocy prof. Wiktorii Sliwowskiej (Instytut Historii PAN), dr. Jana Trynkowskiego (Uniwersytet w Białymstoku), prof. Antoniego Kuczyńskiego (Ośrodek Badań Wschodnich Uniwersytetu Wrocławskiego) oraz dr. Jana Leończuka (Biblioteka Poleska w Białymstoku). W czasie swoich badań miała wyjątkowo dużo szczęścia, zważywszy iż w archiwach rosyjskich natrafiła na rękopisy Adamowskiego dotyczące tworzenia i prac kompanii żeglugi na rzekach zachodniej Syberii. Ważniejsze z tych dokumentów zamieściła w aneksach w książce.

Józef Joachim Adamowski (1815 – po 1862) został ostatnio przypomniany przez naszą historiografię dzięki pracom Wiktorii Sliwowskiej (hasło w książce z 1998 r. *Zesańcy polscy w Imperium Rosyjskim w pierwszej połowie XIX wieku. Słownik biograficzny*) oraz Jana Trynkowskiego (dane biograficzne w monografii z 2002 r. *Gimnazjum. Z dziejów Gimnazjum Białostockiego (1777) 1802-1915*). Zawarte w nich informacje, nb. skrupulatnie odnotowane przez Autorkę, stały się przewodnikiem dla E.N. Tumanik. Na podstawie źródeł archiwalnych ustaliła ona ponadto wiele szczegółów do biografii Adamowskiego, znacznie wzbogacając wiedzę o jego życiorysie także przed zesłaniem na Syberię (1842).

Przypomnijmy, że urodził się w Zabłudowie koło Białegostoku w zubożalej rodzinie szlacheckiej. Tamże uczył się w szkole początkowej, a później w gimnazjum w Białymstoku, wreszcie studiował przez trzy lata w wileńskiej

Akademii Medyko-Chirurgicznej. W czasie studiów miał już praktykę lekarską – nieoficjalną. Aresztowany za udział w konspiracyjnych kółkach studenckich nie ukończył nauki. Wysłany karnie do wojska w Tomsku, zastąpił w tej części Syberii jako lekarz – nie mając do tego prawa! Dosłużył się stopnia podoficerskiego, co dało mu możliwość wystąpienia o dymisję. Otrzymał ją w 1858 r. i został objęty amnestią, z prawem powrotu do Królestwa Polskiego. Wybrał się jednak do Petersburga z zamiarem dokończenia studiów medycznych. Zabiegał tam o koncesję na uruchomienie kompanii przewozów statkami na niektórych rzekach basenu Obu. Miała to być spółka z ograniczoną odpowiedzialnością (po rosyjsku „na dobrej wierze”), której jednym z dalekosiężnych celów było połączenie kanałem dwóch najważniejszych dorzeczy zachodniej i środkowej Syberii: Obu i Jenisieju.

Adamowski, jak to ustaliła Autorka, koncesję otrzymał. Zgromadził odpowiedni kapitał (akcjonariusze). Praktycznie do 1862 r. przygotował przedsiębiorstwo do prowadzenia przewozów. Tego roku wyjechał z Tomsku na teren projektowanego kanału. Co się z nim tam stało trudno jednoznacznie określić. Aż się prosi by przeprowadzić kwerendę ówczesnej prasy syberyjskiej. Przedsiębiorca był bowiem zbyt znaną postacią w tej części Rosji. Nawet gdyby zginął w wypadku, to nie tylko prasa, ale także parafia rzymskokatolicka w Tomsku odnotowałyby smutne zdarzenie.

Ustalenia Trynkowskiego o pobycie Adamowskiego na Syberii (m.in. wspomnienia Macieja Łowickiego w rękopisie), wskazują, że był on lekarzem-altruistą. Nie zdołał zgromadzić kapitału jak wzięci medycy stolic Rosji, czy choćby Warszawy. Z pewnością miał dużo przyjaciół, których zachęcił do udziału w kompanii na rzecz uruchomienia żeglugi na rzekach Syberii Zachodniej. Na tym polu nie był pionierem – wręcz przeciwnie. Z rodaków znał się z Alfonsiem Poklewskim-Koziełłem i z jego doświadczeń korzystał. Z treści zgromadzonych przez Autorkę dokumentów wynika jednoznacznie, że: 1 – przygotował się merytorycznie do zorganizowania towarzystwa żeglugowego jeszcze w czasie przymusowego pobytu w wojsku, 2 – powstała spółka „w dobrej wierze” dysponowała kapitałem zgromadzonym przez Polaków, zamieszkałych w Petersburgu, w guberniach zachodnich Imperium i w Warszawie. Można więc sądzić, że owe dwa lata po amnestii spędził w Petersburgu na rozmowach oraz poszukując akcjonariuszy w Królestwie Polskim. Jeżeli tak, to kwerenda prasy gospodarczej Kongresówki może przynieść dane i na ten temat. Syberię wówczas polskie koła przedsiębiorców traktowały jako przysłowiową żyłę złota. W związku z tym nasza prasa jest bogata w doniesienia o działalności Polaków za Uralem.

Autorka zapewne będzie kontynuowała swoje studia nad przedsięwzięciem przemysłowym Józefa Adamowskiego. W książce swej napisała, że liczył się on z przedwczesną śmiercią. Tego typu sformułowania w aktach prawnych były normą. Plany miał ogromne. Poza połączeniem kanałem dorzeczy dwóch wielkich rzek syberyjskich, chciał także zorganizować żeglugę wodną między azjatycką i europejską częścią Rosji. W tym czasie już funkcjonowała kolej na zachodzie tego kraju i stopniowo rozbudowywano ją na wschód. Żegluga wodna na Syberii, mimo stosunkowo krótkiego okresu spławności, nadal odgrywała dominującą rolę w przewozie towarów masowych. Sadząc z przytoczonych przez Autorkę dokumentów Adamowski prowadził szczegółową analizę parame-

trów fizjografii kraju. Konsultował się także – zwłaszcza w Petersburgu – ze specjalistami: technikami, którzy doradzali mu wyposażyć kompanię w silniejsze statki, geologami, którzy określili uwarunkowania gruntu w projektowanym kanale. Kanał zresztą wybudowano, choć w praktyce trwało to długo i nie odegrał tak znaczącej roli, jak to przewidywał pomysłodawca jego realizacji.

Tytuł projektu zrealizowanego przez Autorkę w 2010 r. w ramach Muzeum Historii Polski: *Dwa życia Józefa Adamowskiego...* jest – rzecz zrozumiała – metaforą. Choć nie zupełnie. W zamyśle projektantów „pierwsze” życie – to znane polskim historykom (zresztą nie tak dobrze jak Autorce), dotyczyło okresu do wyroku skazującego na zesłanie. Owe drugie życie wiązało się z latami pobytu za Uralem, a później w Petersburgu i Tomsku, już w charakterze przedsiębiorcy. Ustalenia Autorki są dla nas całkowicie nowe.

Jest jeszcze jeden nurt tematyczny w książce, odnoszący się do zajęć zesłańca na Syberii. Aczkolwiek bez dyplomu ukończenia studiów, był cenionym lekarzem „z powołania”. W chwilach wolnych od pracy poświęcał się studiom nad możliwością założenia dochodowego przedsiębiorstwa żeglugowego. Prowadził odpowiednie studia na ten temat. Oczywiście myślał o zyskach jakie mieli inni – zwłaszcza Poklewski-Koziełł. Przede wszystkim jednak był wizjonerem ożywienia gospodarczego Syberii przez połączenie kanałami dorzeczy między Pacyfikiem a Morzem Kaspijskim. Następcy w części zrealizowali śmiałe pomysły naszego rodaka.

Bolesław Orłowski

- ***Leopolda Niemirowskiego Podróż po Syberii Wschodniej / Putieszestwije po Wostocznoj Sibiri Leopolda Niemirowskiego, red. J. Dobrynina, Irkuck 2010.***

W 2010 roku minęła, w Polsce niemalże bez echa, dwusetna rocznica urodzin Leopolda Niemirowskiego. Jego dokonania są dziś prawie zapomniane, choć zapisał się w historii jako działacz niepodległościowy, zesłańca i artysta malarz, który utrwalił w swoich dziełach przyrodniczo-kulturowy obraz Syberii.

Rocznice upamiętniono natomiast w Irkucku, publikując z tej okazji piękny album litografii, wykonanych z jego rysunków i akwarel. Wszystkie zamieszczone tam prace pochodzą z czasów, gdy przebywał na zesłaniu.

Tytuł albumu *Putieszestwije po Wostocznoj Sibiri Leopolda Niemirowskiego* nawiązuje do książki, która ukazała się w 1856 roku w Sankt Petersburgu. Zawierała ona relację z ekspedycji podjętej w 1844 roku na północno-wschodnie rubieże imperium w celu gromadzenia danych statystycznych i geograficznych oraz zbadania, czy na Kamczatce można uprawiać ziemię. Jej tytuł brzmiał *Putieszestwije po Wostocznoj Sibiri I. Bułyczowa, Imperatorskiego Roskiego Geograficznego obszczestwa diejstwitielnogo czlena*.

O autorze tej publikacji wiadomo, że był urzędnikiem z Petersburga. W 1842 roku został członkiem komisji rewizyjnej kierowanej przez senatora Iwana Tołstoja, która zajmowała się kontrolowaniem zarządzania Syberią Wschodnią.

Nadanie albumowi tytułu zaczerpniętego z dziewiętnastowiecznego dzieła, ma, jak sądzę, proste wyjaśnienie. Chciano w ten sposób zaakcentować rolę Niemirowskiego w dokumentowaniu wyprawy na Kamczatkę. Wykonane przez

naszego artystę prace Bułyczow wykorzystał dwanaście lat później do zilustrowania swojej książki, jednak nazwisko autora rysunków nie zostało w niej ujawnione.

Niemirowski był jedynym polskim zesańcem, który w pierwszej połowie XIX wieku uczestniczył w rosyjskiej ekspedycji, zorganizowanej dla zbadania rubieży imperium. Według relacji Juliana Sabińskiego, kierownikowi tej wyprawy Iwanowi D. Bułyczowowi „poruczył senator [Iwan N. Tołstoj] udać się do Kamczatki w celu administracyjnym oraz dla zebrania na miejscu dokładnych wiadomości o tym kraju, tak mało znanym. Bułyczow chciał mieć ze sobą malarza dla rysowania widoków, ubiorów, typów ludzi tamtych pokoleń i innych ciekawości, żeby tymi obrazami przyozdobić potem opis podróży swojej”¹.

Odpowiednim kandydatem okazał się właśnie Niemirowski. W 1844 roku włączono go jako rysownika do petersburskiej komisji, która przemierzyła trasę wiodącą z Irkucka, poprzez Kaczug, Kireńsk, Olekmińsk, Jakuck, Ochock do Pietropawłowska na Kamczatce. W czasie tej wyprawy sporządził wiele rysunków przedstawiających miasta, osady, syberyjską przyrodę, sceny rodzajowe, portrety tubylców oraz szereg wytworów ich kultury materialnej.

Wydany w Rosji album składa się z dwóch części. W pierwszej, poza wprowadzeniem ówczesnego Konsula Generalnego RP w Irkucku Krzysztofa Czajkowskiego, zamieszczone są trzy opracowania, napisane przez tamtejszych badaczy życia i twórczości artysty: profesora Bolesława S. Szostakowicza *Leopold Niemirowskij – polskij chudożnik, politiczeskij ssylnyj w Wostocznuju Sibir epochi diekabrizma (K 200-letju so dnia roždienija)*, dyrektorkę Muzeum Dekabrystów Irinę A. Dobryninę *Wostocznaja Sibir w tworczeście chudożnika Leopolda Niemirowskogo* oraz historyka sztuki Tatianę Ogorodnikową *Słowo o chudożnikie*. Do artykułów dołączono krótkie streszczenia w języku polskim.

Druga część zawiera litografie wykonane według rysunków artysty, sporządzonych podczas wyprawy na Kamczatkę oraz reprodukcje z albumu Gustawa Radde’a *Atlas zum XXIII Baands Beitrage zur Kenntniss Des Russuschen Reiches... en Suden von Ost-Sibirien* (S.-Ptsb., 1861).

Według oceny Dobryniny, prace Niemirowskiego mają znaczną wartość. W artykule *Wostocznaja Sibir...* napisała: „Wysoki profesjonalizm wykonania litografii i rysunków, szeroki zasięg geograficzny, od Bajkału do Kamczatki, różnorodność widoków przyrody, miast i osad, bogactwo etnograficznych szkiców warunków bytowania, typów, mieszkań, odzieży, sprzętów aborygenów zamieszkujących Wschodnią Syberię powodują, że są one cennym źródłem ikonograficznym”².

Twórczość Niemirowskiego cieszyła się w XIX wieku sporą popularnością. Kilkanaście dzieł artysty prezentowano na okolicznościowych wystawach: Towarzystwa Zachęty Sztuk Pięknych (1870) oraz w Salonie Aleksandra Krywulta w Warszawie (1883). Ekspozowano je także w Paryżu (1867). Niestety, znaczna część prac Niemirowskiego spłonęła w czasie pożaru jego mieszkania w 1877 roku. Dwadzieścia cztery rysunki, pochodzące z paryskiej kolekcji Tadeusza Rudnickiego, zakupiło warszawskie Muzeum Narodowe. Sześć akwarel

¹ J. Glaubicz Sabiński, *Dziennik syberyjski*, t. 2, 2009, s. 30.

² J. Dobrynina, *Wostocznaja Sibir w tworczeście chudożnika Leopolda Niemirowskogo*, w: *Podróż po Syberii Wschodniej*, op. cit., s.16-18.

„Widoki miejscowości Zabajkalskiego i Tunkinskiego Kraju w irkuckiej gubernii” ze zbiorów P.W. Gubarowa zachowało się Muzeum A.S. Puszkina w Moskwie, tyle samo w Muzeum Historii Narodowej Buriacji im. M. N. Hangałowa w Ułan-Ude. Sześć przypisywanych mu i dwa uznane za jego autentyczne dzieła opublikowano w petersburskim wydaniu albumu krajobrazów Syberii Wschodniej Gustawa Radde’a.

Jesienią 2004 roku w irkuckim Obwodowym Muzeum Sztuki im. W.P. Sukaczewa zorganizowano wystawę litografii Niemirowskiego. 5 maja 2010 roku, w związku z dwusetną rocznicą urodzin artysty, kopie rysunków z warszawskich zbiorów zostały przekazane do Domu Wołkońskich w Irkucku i włączone do stałej muzealnej ekspozycji.

W kraju z dorobkiem artysty możemy się zapoznać przede wszystkim dzięki albumowi wydanemu w Rosji, ponieważ część nakładu przekazano kilku naszym instytucjom. Warto dodać, że jest on pierwszą publikacją z planowanej serii wydawniczej, noszącej tytuł „Galeria polsko-syberyjskiej biblioteki”.

Nota o artyście: Ludwik Niemirowski urodził się w 1810 roku w Tahaczynie, w pow. kowelskim na Wołyniu. Po ukończeniu szkoły w Łucku, przez kilka lat studiował prawo na Uniwersytecie Wileńskim. Później podjął podobno pracę aplikanta w Warszawie i był związany ze spiskiem podchorążych. Jako uczestnik powstania listopadowego, odbył kampanię z 2 Pułkiem Ułanów. Ranny pod Ostrołęką wraz z Korpusem generała Girolama Ramorino przedostał się do Galicji. W 1833 roku wrócił na Wołyń, gdzie go aresztowano i przez trzy lata więziono w kijowskiej Cytadeli. Po zwolnieniu przystąpił do Towarzystwa Filodemicznego (Przyjaciół Ludu) założonego przez Gaspara Maszkowskiego i Leonarda Łepkowskiego. Przyczynił się do nawiązania kontaktu z Szymonem Konarskim i do połączenia tej organizacji ze Stowarzyszeniem Ludu Polskiego, w którym został sekretarzem na powiat kowelski. W 1837 roku przeniósł się do Odessy, będąc tam oficjalnie komisantem zboża. Wraz z Edwardem Jełowickim i Ignacym Młodeckim ułatwiał Konarskiemu kontakty z emigracją, przede wszystkim z Joachimem Lelewelem. Aresztowany w lipcu 1838 roku, był więziony w Kijowie i skazany przez sąd wojskowy na karę śmierci. Na wniosek generała-gubernatora Dmitrija G. Bibikowa, car zmienił ten wyrok na 20 lat ciężkich robót w zakładach na Syberii. Od stycznia 1840 roku formalnie karę odbywał w Usolu, w warzelnii soli. Przebywał jednak głównie w Irkucku, gdzie uczył rysunku dzieci generała-gubernatora Wilhelma Ruperta. 25 października 1843 roku został przeniesiony na osiedlenie do wsi Okinino w gm. żyłkińskiej. Faktycznie nadal mieszkał w Irkucku. Odbywał stamtąd liczne podróże, dokumentując krajobrazy okolic Bajkału, Gór Jabłonowych i Sajanów. Po złagodzeniu kary przeniósł się do Tambowa, a po amnestii (1857) wrócił na Wołyń. Zmarł 23 grudnia 1883 roku w Lubomlu.

Anna Milewska-Młynik

- „My, Sybiracy”, nr 22, 2011, Związek Sybiraków Oddział w Łodzi, s. 352, 162 ilustracje.

Ukazał się kolejny rocznik „My, Sybiracy” wydawany przez Oddział Związku Sybiraków w Łodzi. Przeczytałem tom z zainteresowaniem bowiem ucząca i bardzo ciekawa jest jego tematyka, otwarta na wiele sybirackich tematów jak ręce, którymi pragnie się przyciągnąć kogoś do swojego grona. Czas nie poddał w wątpliwość słuszności powstania rocznika, tyle że znając trudności z pozyskiwaniem środków na jego edycję należy się szczególnie uznanie za

zabiegi wydawców by pismo trwało. Wartościowy i godny uwagi to tom, tylko czy jego niewielki nakład wystarczy na to, aby dotarł tam, gdzie dotrzeć powinien – do bibliotek, szkół, kuratoriów, wreszcie do szerokiego grona członków Związku Sybiraków? Rocznik ten to żywy pomnik naszego Związku, którego okładkę przyozdobiono awersem Medalu Pro Memoria, którym odznaczono go w lipcu 2010 roku, natomiast część tekstową poprzedza zdjęcie Ojca św. Jana Pawła II, którego pierwszego maja 2011 roku Papież Benedykt XVI ogłosił błogosławionym.

Zestaw prac zamieszczonych w tym roczniku jest dość zróżnicowany wszystkie one jednak korespondują w jakimś stopniu ze sobą, rzecz można w konwencji „tradycja i współczesność”. Artykułem wstępnym jest wywiad redaktora naczelnego rocznika „My, Sybiracy” Jerzego Rossowskiego przeprowadzony z założycielką Związku Panią Ireną Głowacką. Świetny tekst uczący pojmowania tradycji polskich losów na Syberii i jej trwania w dziejach naszego Narodu. Bez refleksji nad tymi dziejami, trudno o refleksję nad innymi fragmentami naszej historii związanych z dziejami Polaków za Uralem.

Zróbmy zatem kolejny krok przybliżający treść prezentowanego tomu, zaznaczając zarazem że jest ona różnorodna, pełnia opisów historycznych i współczesnych związanych z tematyką odnoszącą się do nazwy rocznika „My, Sybiracy”. Bo oto my Sybiracy na podstawie artykułu pt. Problemy repatriacji obywateli polskich z głębi terytorium ZSRR po zakończeniu masowego przesiedlenia (lipiec 1946-wrzesień 1947)” autorstwa M. Marciniaka z Uniwersytetu Łódzkiego poznajemy kolejny fragment związków polsko-syberyjskich. Z kolei A. Głowacki z tego samego Uniwersytetu w artykule pt. „Polacy – jeńcy i internowani – zmarli w Obwodzie Wołogodzkiem (1943-1946)” dopełnia mozaikę zespalałą w jedną całość polski zesłańczy los. Z losem tym koresponduje tekst Danuty Sedlak z Katowic poświęcony tułaczym losom polskich dzieci, które dzięki gen. Władysławowi Andersowi wyszły z „domu niewoli” i zawędrowały aż do Afryki a potem po zakończeniu wojny rozeszły się szeroko po świecie. Wreszcie wspomnieć też należy o relacjach zesłańczych wzbogacających faktograficzną treść rocznika dających możliwość oglądania wydarzeń sprzed lat oczami ich uczestników i trudno o bardziej wiarygodne świadectwa tamtych doświadczeń. Czytając je podziwiamy szczególnie niezwykłą chłonność pamięci, która pozwoliła autorom tych tekstów na odtworzenie po latach wielkiej ilości szczegółów z tamtych syberyjskich lat pogardy dla ich życia.

Dopełniając informacji o zróżnicowaniu tematycznym tego rocznika wspomnieć jeszcze należy o artykule Z. Teligi-Martens z Wrocławia zatytułowanym „Prywatne sprawy starej, pomyłonej – ale nieszkodliwej Pani”. Autorka oddała cały swój majątek (ponad 600 tysięcy złotych) uzyskanych jako rekompensata za mienie pozostawione „za Bugiem”, 40 rodzinom repatriantów z Kazachstanu (prawie 200 osobom), które samodzielnie sprowadziła do Polski. Zachęcam do zapoznania się z tym tekstem pełnym opisem różnych sytuacji związanych z przeznaczeniem własnych środków finansowych by pomagać innym.

W tym tak bardzo zróżnicowanym tematycznie roczniku interesująco przedstawia się dział „Wydarzenia ogólnozwiązkowe”, w którym znalazły się opisy pielgrzymek Sybiraków, Zjazdu Klubu Pawłodarczyka, kolejnego Zjazdu Sierot Polskich – wychowanków Syberyjskich Domów Dziecka, XI Międzyna-

rodowego Marszu Żywej Pamięci Polskiego Sybiru, XXII Pielgrzymki Sybiraków na Jasną Górę oraz bogate informacje z działalności 16 Oddziałów Związku Sybiraków. Z tego też względu badaczom poszukującym źródeł wspólczesności związanej z działalnością Związku Sybiraków polecam te teksty mające szczególną dokumentacyjną wartość. Tom wzbogacają liczne fotografie. Gratulacje dla Wydawców!

Wiesław Krawczyński

- **S. Teresa Antonietta Frącek RM, *Zesłaniec nad brzegami Wołgi. Miniatury z życia abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego 1822-1895, pod red. nauk. Antoniego Kuczyńskiego, Wrocław 2011, s. 491.***

W książce ukazano dziedzictwo duchowe i instytucjonalne abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego, którego działalność i życie niosą refleksję oraz zadumę, godne aby zachować je w dziejach Ojczyzny i pamięci Narodu. Otrzymałmy książkę pożyteczną i interesującą poznawczo porządkującą w sposób przejrzysty złożone etapy biografii jej Bohatera zesłanego po powstaniu styczniowym na 20 lat do Jarosławia nad Wołgą, jego działalność duszpasterską, patriotyczną i humanitarną, prowadzoną tam, gdzie los wyznaczył mu miejsce. A to wystarczy by wysiłek autorki uznać za owocny. Dla wszystkich książka ta jest świetnym przewodnikiem po „miniaturach z życia abp. Zygmunta Szczęsnego Felińskiego” wyniesionego na ołtarze 11 października 2009 roku przez Ojca Świętego Benedykta XVI.

Tematyczna różnorodność książki przyczynia się do dopełnienia rodzimej historiografii z zakresu poniewolnych losów Polaków i wpisuje się do kanonu literatury poświęconej zesłańczym szlakom naszych Rodaków po rozległych obszarach imperium rosyjskiego. Książkę poprzedza „Słowo wstępne” Józefa kardynała Glempa, kończy zaś tekst Profesor Jolanty Ługowskiej z Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu Wrocławskiego. A zatem jak widać z powyższego przeglądu książka poświęcona abp. Zygmuntovi Szczęsnemu Felińskiemu stanowi ważne świadectwo jego życia, bogactwo tematów i informacji czyniących z niej nie tylko ważną, ale i interesującą lekturę. Na tak wielostronnych miniaturach związanych z Jego biografią wsparło się dzieło s. Teresy Antonietty Frącek RM. Zarysowawszy tu w wielkim skrócie tematykę tego dzieła podkreślić należy, że zwraca ono uwagę obfitością i wielostronnością tematyczną o różnych proporcjach informacji.

Tak wygląda w głównych zarysach tematyka książki popularyzującej życie i dzieło jej bohatera. Autorskie nachylenie się nad historią Jego losu to wspaniała umiejętność odczytania krzyżujących się przeróżnych sytuacji wypełniających biografię tego patrioty i duszpasterza. Książkę wzbogacają liczne przypisy i bogaty materiał ilustracyjny. Tak więc dzięki wspaniałej autorskiej narracji mamy możliwość oglądania wydarzeń sprzed lat.

Zainteresowanych książką informujemy, że można ją kupić (30 zł) w Polskim Towarzystwie Ludoznawczym, ul. Szczytnicka 11, 50-382 Wrocław, tel. 71/321-16-10.

Maria Ziegler

LISTY DO REDAKCJI

POLKA Z BUCHARY

72-letnia Polka z Buchary (Uzbekistan) szuka swojej tożsamości. Pani Margarita Petrovna zwraca się do różnych polskich mediów z nadzieją na pozytywne wyniki poszukiwań swoich korzeni. List ten przedrukujemy z Biuletynu Informacyjnego Sekretariatu Misyjnego Franciszkanów (OFM Conv) w Krakowie – „Nasze Misje Franciszkańskie” nr 17/2010, s. 4 i zwracamy się do Czytelników „Zesłańca” o przyjsście z pomocą zatroskanej o swój los naszej Rodaczce z dalekiego Uzbekistanu. (red.)

*

W czasie II wojny światowej dostałam się do Uzbekistanu. Odprawiono mnie do „Domu niemowląt” w mieście Kagan, w bucharskim rejonie (dzisiaj Buchara 1). Ile czasu tam spędziłam, tego dzisiaj nie wiem. W 1943 r. byłam adoptowana i otrzymałam imię z nazwiskiem Djakonova Ritta Petrovna. Kiedy podrosłam „dobrzy” sąsiedzi powiedzieli mi, że jestem przybraną córką. Potem, kiedy uczyłam się w technikum pedagogicznym, moja przybrana matka opowiedziała mi, jak mnie wzięli chorą, jak mnie leczyli i pielęgowali. Wtedy pokazała mi te fotografie, które jej dali w „Domu niemowląt”.

Minęły dziesiątki lat. Zachowałam te fotografie, chociaż nie wiem, kto na nich się znajduje. Wydaje mi się jednak, że na fotografii z dziewczynkami, ta z lewej strony, to właśnie ja. Myślę, że na dwóch innych fotografiach, jest moja prawdziwa mama i mój ojciec.

Całe moje życie męczą mnie myśli i pytania: Kim ja jestem? Skąd mnie przywieźli? Gdzie ja byłam urodzona? Kim są moi krewni? Nie zostało mi wiele lat życia. Jestem emerytką, mam rodzinę i niczego mi nie brakuje. Nie daje mi spokoju tylko ta jedna myśl: Kim ja jestem? Gdzie moja Ojczyzna?

Rozumiem, że wiele lat minęło i ludzie na fotografiach już nie żyją. Jednak na pewno żyją jeszcze ich dzieci i wnuki, które mogą rozpoznać kogoś. Nieraz zwracałam się z podobną prośbą do rosyjskiego programu „Czekaj na mnie”, jednakże nie otrzymałam odpowiedzi. Pokładam nadzieję w Waszej pomocy.

Z góry wyrażam moje podziękowanie.

Kotova Margarita Petrovna

*

Kotova Margarita Petrovna utrzymuje stały kontakt z o. Wojciechem Kordasem OFMConv, proboszczem katolickiej parafii św. Andrzeja Apostoła w Bucharze, który przetłumaczył na język polski jej list napisany w języku rosyjskim. To właśnie przez niego Autorka listu zwraca się do różnych polskich źródeł informacyjnych z nadzieją na pozytywne wyniki poszukiwań.

Redakcja „Zesłańca” prosi o szczególne zainteresowanie się losem naszej zatroskanej Rodaczki, która znalazła się w dalekim Uzbekistanu i osierocona przez Rodzi-

ców zesłanych za Ural w ramach sowieckich deportacji w okresie drugiej wojny światowej pozostała w tym kraju i do dzisiaj jak pisze w tym liście: „Nie daje mi spokoju tylko jedna myśl: Kim ja jestem? Gdzie moja Ojczyzna”?

Wszelkie informacje prosimy kierować do redakcji „Zesłańca” lub bezpośrednio do o. Wojciecha Kordasa; Glavpochtamt, a/y 160, 200100 Buchara, Uzbekistan e-mail: Kordas@msn.com



*

Warszawa, 12.XII.2011 r.

Pan
Prof. dr hab. Antoni Kuczyński
Redaktor Naczelny „Zesłańca”
54-215 Wrocław, ul. Bystrzycka 61/3

Szanowny Panie Profesorze!

Dzięki gruntownemu przeczytaniu i przemyśleniu treści „Zesłańca” Nr 47, poświęconego w całości dzieciom polskim deportowanym w czasie II wojny światowej na Wschód, uświadomiłam sobie w pełni tę straszliwą gehennę. Ten rozmiar krzywd doznanych przez najmłodszych mieszkańców Kresów, a także ogrom niepowetowanych strat poniesionych przez naród i państwo polskie.

Jestem Sybiraczką deportowaną w czerwcu 1941 roku z Baranowicz do Krasnojarskiego Kraju. Podróż odbywała się latem, miejsce przeznaczenia, klimat i warunki były nieporównywalne z opisanymi w „Zesłańcu”. Te w większości są wstrząsające. Doświadczenia fizyczne i psychiczne porażają okrucieństwem, niejednokrotnie obojętnością dorosłych tubylców na głód i cierpienia dzieci.

Z drugiej strony podziwem napęłnia męstwo, odwaga i siła przetrwania nieletniego chłopca w samotnym zmaganiu z trudami, którym nie każdy dorosły mężczyzna potrafiłby sprostać. Przekonuje o tym opowieść Bohdana Ancerewicza „Byłem małym samotnym zesłańcem” (s.153). A ten niewyobrażalny koszmar, jaki przeżyły dzieci na szlaku z Syberii czy Kazachstanu przez Persję do Afryki! Z jednej strony opuszczenie miejsc zesłania wydawało się i zasadniczo było ratunkiem. Ale dla jakże wielu długi, lądowo-wodny szlak naznaczony był ciężką chorobą a nawet śmiercią.

W świetle takich losów moje zesłanie było nieomal sielanką. Opisałam je w książce pt.: *Retrospekcja. Z Baranowicz przez Syberię do Gdańska*, Wydawnictwo ASKON, Warszawa 2010. Porównywalne do moich wydają się dwa wspomnienia: Ireny Głowackiej *Dwie wredne małe dziewczynki* (s.100) – poprzez humanitarny stosunek enkawudzystów przy wywozie, oraz kilka innych szczegółów; wspomnienie Henryka Kuczyńskiego *Kołchoz Barzanowo i życie w mieście Tara* (s. 145) – w części drugiej pozwala odnaleźć zbieżność historii autora z moją, zarówno pod względem warunków bytowania i chronologii wydarzeń, jak też datą powrotu do Polski.

Dużą wartość poznawczą mają opracowania naukowe zamieszczone w numerze. Kolaż na okładce, fotografie z zesłania, wykaz dzieci z Domu Dziecka w Zudiłowie podkreślają autentyzm tekstu. Uważam, że monotematyczna całość kwartalnika jest bezcennym dokumentem historycznym. Dziękuję Redakcji za ten wielki dar.

Z poważaniem

Zofia Machowska

*

Szczecin, 5.XII.2011 r.

Szanowny Pan
Prof. dr hab. Antoni Kuczyński
Redaktor Naczelny „Zesłańca”

Po dość dokładnym zapoznaniu się z treścią „Zesłańca” nr 47/2011 składam serdeczne podziękowania na Pana ręce za bardzo dobry dobór poszczególnych materiałów i ich zestawienie. Popularyzują one wyjątkowo dobrze sybi-racki los. A jest to ważny okres historii Narodu polskiego.

Jego znajomość powinna w znacznym stopniu wpłynąć na wychowanie patriotyczne młodzieży w duchu umiłowania Ojczyzny, która jest najwyższym dobrem. A z kolei patriotyzm jest gwarantem niepodległości i suwerenności.

Zasylam serdeczne pozdrowienia dla Rady Naukowej
i całego Zespołu Redakcyjnego.

Z wyrazami szacunku

Ryszard Rybicki

*

Redakcja
Kwartalnika „Zesłaniec”
we Wrocławiu

Czytam od pewnego czasu kwartalnik „Zesłaniec” przybliżający dzieje Polaków na Syberii i coraz częściej nabieram przekonania, że znalazła redakcja wystarczająco zręczny sposób popularyzowania tej tematyki od której stroną inne czasopisma i lokalne gazety. Są w „Zesłańcu” teksty, które z pewnością utrwala się w pamięci czytelnika, jak choćby losy wywiezionych na Syberię w okresie drugiej wojny światowej, przedstawiane w dziale „Relacje z zesłania”.

Zajmujące są też publikowane nieraz artykuły ukazujące odległe czasy kontaktów Polaków z Syberią i ich wkładu w różne dziedziny życia tej krainy oraz współczesnej pamięci o tym utrwalanej przez badaczy rosyjskich, nieraz posiadających polskie korzenie. Interesujący był zamieszczony w jednym z numerów wywiad z Profesorem Bolesławem Szostakowiczem z Irkucka, dzie-dzicem polskich tradycji na tej ziemi.

W sumie „Zesłaniec” wprowadza czytelnika w gąszcz spraw związanych z dziejami Polaków na Syberii, nieznanymi ogółowi dotyczącymi zagadnień spo-łeczno-politycznych, gospodarczych, kulturowych i cywilizacyjnych. I to jest także fragment historii Polski. Żałuję, że nie można zaprenumerować „Zesłańca” w stałym abonamencie.

Kończąc te wynurzenia życzę dalszej wytrwałości w redagowaniu pisma.

Stanisław Wyżgowski



MGR

EDWARD
DUCHNOWSKI
1930 – 2010

SEKRETARZ GENERALNY ZWIĄZKU SYBIRAKÓW
W LATACH 1993 – 2010

Z POŚWIECENIEM I PEŁNYM ZAANGAZOWANIEM
REALIZOWAŁ ZADANIA STATUTOWE
UTRWALAŁ PAMIĘĆ O POLSKIEJ GOLGOCIE WSCHODU

ZGINAŁ ŚMIERCIĄ TRAGICZNĄ
W KATASTROFIE LOTNICZEJ POD SMOLEŃSKIEM
10 KWIECZNIA 2010 ROKU

CZEŚĆ JEGO PAMIĘCI

10 KWIECZNIA 2012 ROKU

